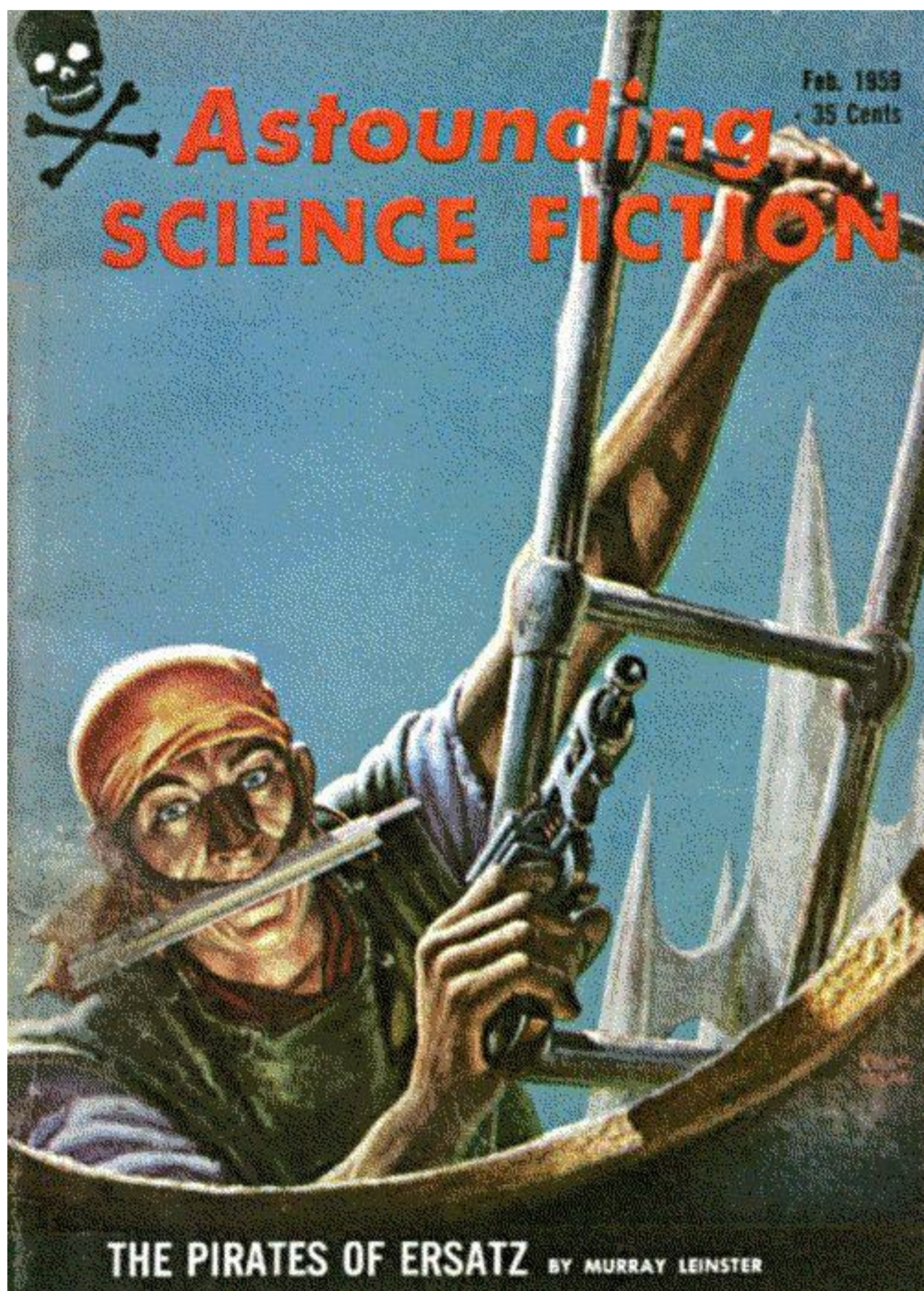

Astounding
SCIENCE FICTION
Feb. 1959
35 Cents
THE PIRATES OF ERSATZ BY MURRAY LEINSTER

Murray Leinster

Piraci z konieczności

(The Pirates of Ersatz)

Astounding Science Fiction, February, March and April, 1959.
Reissued the same year by Ace Books as a double novel under the title “The Pirates of Zan” (coupled with Leinster's Med Ship story “The Mutant Weapon”).
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

I

Kiedy Bron Hoddan wyruszył na planetę Walden, ukrywając się na statku, który przybył na jego ojczystą planetę, aby powywieszać wszystkich jego krewnych, nie było to tylko działanie pod wpływem impulsu. Zaplanował bowiem wszystko już dużo wcześniej. Był to długo dopieszczany i pieczołowicie wypracowany projekt. Oczywiście, spodziewał się, że do wieszania krewnych w końcu nie dojdzie. Wiedział, że odegrają oni wzruszającą komedię skrzywdzonej niewinności, dowodząc, że są prostymi ludźmi prowadzącymi nieskazitelnie uczciwe życie. Dzięki temu ich niedoszli egzekutorzy poczują się zawstydzeni i skruszeni, samym faktem, że mogli mieć o nich złe mniemanie. Równie oczywiste było, że natychmiast po odlocie obcych, rodacy Brona wrócą do swojego normalnego stylu życia, czyli do piractwa. A w trakcie odgrywania tych rozdzierających serce scen niewinności, Bron mógł się ukryć na tym groźnym statku. I tak wkrótce dotarł na ojczystą planetę przybyszów. Jego ambicją jednak było znaleźć się na Waldenie, tak więc skoncentrował się na tym, aby tam dotrzeć. Zajęło mu to sporo czasu, ponieważ musiał zarabiać na przelot statkiem z jednego systemu gwiezdnego do drugiego, trzymał się jednak tego pomysłu. Walden był najbardziej cywilizowaną planetą w tej części galaktyki. Kiedy już tam dotarł, Hoddan zamierzał po kolei (a) osiągnąć wspaniałe rzeczy jako inżynier elektronik (b) stać się satysfakcjonująco bogatym (c) ożenić się z cudowną dziewczyną i w końcu (d) zakończyć swoje życie jako wielki człowiek. Próby realizacji chociaż pierwszego punktu, zajęły mu jednak kolejne dwa lata.

Tym niemniej w chwili, gdy policja wyłamała w nocy drzwi jego pokoju, osiągnięcie przynajmniej części celów, zdawało się już bliskie. Położył się do łóżka i smacznie sobie spał. Był święcie przekonany, że jego ambicje właśnie zaczynają się realizować. Praktycznie niemal w każdej chwili powinny zostać odkryte jego zdolności, dzięki czemu stałby się zamożnym człowiekiem, jego przyjaciel Derec zacząłby go podziwiać, a nawet Nedda prawdopodobnie zdecydowałaby się wtedy, natychmiast za niego wyjść. A ona była naprawdę uroczą dziewczyną. Takie perspektywy mogły więc przynieść dobry sen.

Sam Walden był zresztą, jak najwłaściwszą planetą do beztroskiego snu. Jego port kosmiczny, położony opodal stolicy, otrzymywał dostawy zarówno luksusowych towarów, jak i surowców dla przemysłu, z połowy galaktyki. Jego sieć lądownicza wznosiła się niemal do samego nieba, odciągając z jonosfery planety, energię potrzebną do wynoszenia jednych statków w przestrzeń kosmiczną i ściągania z niej innych. Tutaj kwitł handel i przemysł, zdrowie i kultura, a Walden skromnie ogłaszał, że jego standard życia był najwyższy w Skupisku Nurmiego. Jego obywatele nie

mieli powodów, by martwić się o cokolwiek, poza dostawą używek umożliwiających im zniesienie nudy ich życia.

Jak na tę chwilę, nawet Hoddan czuł się usatysfakcjonowany. Na jego rodzinnej planecie, w ogóle nie było sieci lądowniczej. Tych kilka zniszczonych, połatanych statków, jakie posiadali jej mieszkańcy, musiało narażać się, lądując na silnikach rakietowych. Wracały one ze swoich wypraw, poczerniałe i czasami jeszcze bardziej zniszczone niż przedtem, często w towarzystwie wielkich pustych kadłubów statków, których załogi i pasażerowie wcześniej gdzieś tajemniczo zniknęli. Te dodatkowe statki musiały lądować na rakietach awaryjnych, i oczywiście, nigdy nie byłyby w stanie z powrotem wystartować. Nie było z tym żadnego problemu, ponieważ i tak zawsze szybko znikały. A kiedy przybywały inne, zazwyczaj dobrze uzbrojone statki, ze wściekłością żądając ich wydania, ludzie z Zan, wśród których urodził się Hoddan, udawali urażoną niewinność.

Niektórzy ludzie twierdzili, że wszyscy mieszkańcy Zan są piratami kosmicznymi i powinni zostać powieszeni. W porównaniu z taką planetą, Walden wydawał się naprawdę przemiłym miejscem. Tak więc pewnej nocy Bron Hoddan niczego nie podejrzewając położył się do łóżka i smacznie spał, mniej więcej do trzeciej, tuż po wschodzie słońca. Wtedy to bowiem, przez jego drzwi, do domu wtargnęła policja.

****

Wyłamując drzwi, narobili strasznego huku, działali w strasznym pośpiechu. Hałas obudził Hoddana i otworzył mu szeroko oczy. Zanim zdołał się poruszyć, czterech umundurowanych ludzi chwyciło go i wyciągnęło z łóżka. Gwałtownie go obmacali, szukając czegokolwiek co mogło służyć jako broń. Potem postawiono go pod ścianą, pod strażą dwu paralizatorów, a główna grupa gliniarzy zaczęła przewracać jego pokój do góry nogami, czegoś ewidentnie szukając, Nawet się nie domyślał, czego. Wtedy w drzwiach z wahaniem stanął jego przyjaciel Derec, patrząc na niego z widocznymi wyrzutami sumienia.

– Musiałem to zrobić, Bron – oświadczył z poruszeniem. – Nic by nie dało, gdybym tego nie zrobił.

Hoddan zamrugał oczami. Był kompletnie oszołomiony. Sprawy nie stały się jaśniejsze, kiedy zobaczył, jak gliniarz rozcina jego poduszkę i przesiewa jej zawartość przez palce. Inny gliniarz rozciął szwy jego materaca, aby zajrzeć do środka. Ktoś inny uważnie przeglądał mały stosik listów, które napisała do niego Nedda, spoglądając na nie koso, tak jakby obawiał się zobaczyć coś, czego by nie chciał.

– Ale, co się stało? – zapytał tępo Hoddan. – O co chodzi?

Derec odparł nieszczęśliwym tonem.

– Zabiłeś kogoś, Bron. Niewinnego człowieka! Nie miałeś takiego zamiaru, ale to zrobiłeś, i… to straszne!

– Ja kogoś zabiłem? To śmieszne! – zaprotestował Hoddan.

– Znaleźli go koło elektrowni – gorzko powiedział Derec. – Obok siłowni na Mid-Continent, którą ty…

– Mid-Continent? O! – Hoddan poczuł ulgę. Zadziwiające było, jak olbrzymią ulgę. Wcześniej przez cały czas, czuł niewiarygodny strach, że ktoś mógł odkryć fakt, że urodził się i dorastał na Zan, co mogłoby zrujnować wszystko. To było niemal nie do wyobrażenia, ale ciągle czuł dużą ulgę, nawet wiedząc że jest jedynym podejrzanym o morderstwo, którego przecież nie popełnił. A w dodatku jest tym podejrzanym, ponieważ odkryto jego pierwsze wielkie osiągnięcie, w roli inżyniera elektronika. – Znaleźli to urządzenie na Mid-Continent, co? Ale ja nikogo nie zabiłem. I nikt nie poniósł żadnej szkody. Ono przecież działa już od dwu tygodni. A zgłosiłem to do Zarządu Energii po kilku dniach. – Zwrócił się do policjantów. – Teraz już wiem o co chodzi – powiedział. – Dajcie mi jakieś ubranie i chodźmy to wyjaśnić.

Gliniarz machnął na niego paralizatorem.

– Jeszcze jedno słowo bez pozwolenia i… pffft!

– Nic nie mów, Bron! – zawołał Derec w panice. – Po prostu siedź cicho! Jest już wystarczająco źle! Nie pogarszaj swojej sytuacji!

Glina podał Hoddanowi jakiś kawałek ubrania. Włożył go na siebie. Widział wyraźnie, że gliniarz był ciężko wystraszony. Tak samo Derec. Wszyscy w pokoju, poza nim samym, byli wręcz przerażeni. Hoddan nie mógł w to uwierzyć. Na supercywilizowanym, znajdującym się na najwyższym stopniu kultury Waldenie, ludzie po prostu nie zachowują się w taki sposób.

– Kogo to niby miałbym zabić? – zażądał wyjaśnień. – I dlaczego?

– Nie mogłeś go znać, Bron – powiedział Derec żałobnym tonem. – Nie miałeś zamiaru popełnić morderstwa. Ale jedynie szczęściu zawdzięczamy, że zabiłeś tylko jego, a nie nas wszystkich!

– Wszystkich!? - wytrzeszczył oczy Hoddan.

– Koniec gadania! – warknął stojący najbliżej glina. Aż szczękał zębami. – Siedzieć cicho, bo w przeciwnym razie…!

Hoddan się zamknął. Obserwował, ubierając się w międzyczasie, jak jego rzeczy są sprawdzane, a potem mu podawane. Jednocześnie gliniarze skończyli sprawdzanie pokoju. Byli przy tym szalenie dokładni, chociaż Hoddan nie miał zielonego pojęcia, czego mogli u niego szukać. Kiedy zaczynali zrywać podłogę i rozbierać ściany inni gliniarze wyprowadzili go na zewnątrz.

****

Na dworze, w ciemnej ulicy, stała wręcz kawalkada wozów policyjnych. Wrzucili go do jednego z nich, a za nim wsiadło czterech policjantów, podczas tego manewru, przez cały czas trzymając wycelowane w niego paralizatory. Kątem oka zauważył Dereca zajmującego miejsce w innym pojeździe. Cała kawalkada jednocześnie odjechała spod jego domu. Widział, że sprawa traktowana jest przez policję, niesamowicie poważnie.

Na drodze ich przejazdu, zatrzymano nawet ruch uliczny. Kiedy wjechali na trasę szybkiego ruchu, z obu stron gęsto obsadzoną wysokimi drzewami, jak okiem sięgnąć, nie było nawet jednego pojazdu. Popędzili w kierunku śródmieścia.

Zjechali z drogi ekspresowej, kierując się dalej równie opustoszałą aleją. Hoddan rozpoznał budynek aresztu śledczego. Jego brama otworzyła się szeroko. Samochód, którym jechał znalazł się w środku. Bramę natychmiast zamknięto, tuż za ich plecami. Inne pojazdy zniknęły gdzieś, w mgnieniu oka. Hoddan wysiadł i zobaczył, że ponure szare ściany dziedzińca obsadzone zostały przez zaskakującą liczbę strażników, gotowych zalać całą otwartą przestrzeń ogniem z broni palnej, gdyby ktokolwiek zrobił choć jeden podejrzany ruch.

Pokręcił z niedowierzaniem głową. Nikt, jak na razie, nie wspomniał nawet Zan, tak że wszystko to, po prostu nie miało sensu. Miał zupełnie czyste sumienie, poza sprawami dotyczącymi jego rodzimej planety. To był jakiś obłęd! Nawet z pewną ciekawością wszedł do budynku, i dalej do sali przesłuchań. Jego strażnicy przekazali go straży sądowej i wyszli w niemal histerycznym pośpiechu. Wszyscy chcieli znaleźć się jak najdalej od niego.

Hoddan rozejrzał się wokół siebie. Sala sądowa wyglądała wysoce nieformalnie. Sąd siedział za zwykłym biurkiem. Stały w niej wygodne krzesła. Powietrze było czyste. Atmosfera przypominała tę z sali konferencyjnej, gdzie rozsądni ludzie mogli bez pośpiechu, w spokoju, dyskutować różnice swoich zdań. Tylko na takiej planecie jak Walden, więźniowie doprowadzani przez policję, mogli być przesłuchiwani w podobnym otoczeniu.

Derec wszedł przez inne drzwi, w towarzystwie człowieka, w którym Hoddan rozpoznał adwokata, reprezentującego ojca Neddy, na pewnych wcześniejszych spotkaniach. Oczywiście nikt nawet nie wspominał wtedy, że Nedda nosi się z myślą poślubienia Hoddana. Chodziło wyłącznie o interesy. Ojciec Neddy był przewodniczącym Zarządu Energii, prezesem Planetarnego Związku Przemysłowców, członkiem komitetu Ligi Bankierów, i wielu innych ważnych ciał. Hoddan kilka razy został wyrzucony z jego biur. Teraz popatrzył z niechęcią na prawnika, który polecił go wtedy wyrzucić. Zobaczył jak Derec ściska mu rękę.

W jego stronę podszedł zmieszany człowiek, w mundurze sądu.

– Jestem Przedstawicielem Obywateli – z trudem wykrztusił. – Moim zadaniem jest dopilnowane pańskich interesów. Czy chce pan wezwać swojego osobistego prawnika?

– Dlaczego? – zapytał Hoddan. Czuł się całkowicie pewny.

– Zarzuty… Czy chce pan zostać poddany badaniom psychiatrycznym… zwalniają od odpowiedzialności? – z niepokojem spytał Przedstawiciel. – To mogłoby… to mogłoby być naprawdę najlepsze…

– Nie jestem szalony – powiedział Hoddan, – chociaż to wszystko dookoła wygląda jakby było.

Przedstawiciel Obywateli przemówił do sądu.

– Wysoki Sądzie, oskarżony zrezygnował z badania psychiatrycznego, bez uszczerbku dla późniejszego domagania się zwolnienia od odpowiedzialności.

Adwokat ojca Neddy przyglądał mu się ironicznym wzrokiem. Hoddan powiedział z niecierpliwością:

– Zacznijmy już, może wreszcie to wszystko nabierze jakiegoś sensu. Wiem przecież co naprawdę zrobiłem. O jaką to więc monstrualną zbrodnię jestem oskarżony?

– Zarzuty przeciw panu – uprzejmie poinformował go sędzia, – dotyczą tego, że w nocy, o trzeciej dwadzieścia siedem, wtargnął pan na ogrodzony teren otaczający stację odbioru energii Mid-Continent. Zarzuca się panu, że przeszedł pan dwa znaki zabraniające wejścia. Dotarł pan do drzwi oznaczonych tabliczką „Tylko dla upoważnionego personelu". Wyłamał pan zamek tych drzwi. Wewnątrz zniszczył pan odbiornik energii, przyjmujący transmisję mocy z atmosfery. Ten odbiornik energii przekształca transmitowaną energię, dostarczając ją dla dwu jednostek produkcyjnych, zatrudniających dwieście tysięcy ludzi. Zniszczenie odbiornika, zagrażało więc ich miejscom pracy. – Sędzia przerwał na chwilę. – Czy chciałby pan zaprzeczyć któremuś z tych zarzutów, jako niezgodnemu z rzeczywistymi faktami?

Przedstawiciel Obywateli szybko wtrącił.

– Ma pan oczywiście prawo zaprzeczyć każdemu z nich.

– Dlaczego miałbym to robić? – zapytał Hoddan. – Zrobiłem to wszystko! Ale co z tym, że kogoś niby zabiłem? Dlaczego rozwalono w kawałki moje mieszkanie, czegoś szukając? A w każdym razie kogo to niby miałbym zabić?

– Proszę nie poruszać tego tematu! – błagał Przedstawiciel Obywateli. – Proszę nie poruszać tego tematu! Będzie dużo, dużo lepiej dla pana, jeśli w ogóle nie będziemy o tym wspominać!

– Ale ja nikogo nie zabiłem! – upierał się Hoddan.

– Nikt nie wspomniał o tym nawet jednym słowem – powiedział Przedstawiciel Obywateli, machając ręką. – Niech nie będzie tego w zapisie rozprawy. Zapis musi zostać opublikowany. – Zwrócił się do sędziego. – Wysoki Sądzie, przyznajemy, że fakty są takie jak stwierdzono.

– W takim razie – powiedział sędzia do Hoddana, – czy chciałby pan teraz na te zarzuty odpowiedzieć?

– Dlaczego nie? – zapytał Hoddan. – Oczywiście!

– Kontynuujemy więc dalsze postępowanie – ogłosił sędzia.

****

Hoddan wziął głęboki oddech. Nie rozumiał, dlaczego tak unika się każdej wzmianki o zarzucanej mu śmierci człowieka. Nie podobały mu się wystraszone spojrzenia, jakimi obrzucali go wszyscy, siedzący wokół niego ludzie. Ale…

– Przejdźmy do sprawy włamania – powiedział z wiarą w swą niewinność. – Co takiego zrobiłem na stacji energetycznej przed zniszczeniem odbiornika?

Sędzia spojrzał na adwokata ojca Neddy.

– Otóż, – powiedział uprzejmie ten dżentelmen, – występując tutaj jako oskarżyciel posiłkowy z ramienia Zarządu Energii, stwierdzam, że zanim zniszczył pan standardowy odbiornik, podłączył pan do przewodów energetycznych urządzenie pańskiego własnego projektu. Była to jednostka odbiorcza bez wątpienia oryginalnej budowy. Wydaje się być ona bardzo interesującym urządzeniem.

– Oferowałem ten odbiornik Zarządowi Energii, – stwierdził z satysfakcją Hoddan, – i zostałem wyrzucony. To pan mnie wyrzucił! I jak działało to urządzenie?

– Zastąpiło ono odbiornik, który pan zniszczył – powiedział adwokat. – Kontynuowało dostawę około dwustu milionów kilowatów dla obszaru przemysłowego Mid-Continent. Faktycznie, pańska zbrodnia została odkryta tylko dlatego, że oryginalny odbiornik musiał być przez cały czas ustawiony na moc szczytową, a niewykorzystana energia powodowała straty w spalaniu paliwa węglowego. Pańskie urządzenie dostosowuje się do obciążenia i nie wymaga zbędnego zużycia węgla. Tak więc kiedy pracownicy obsługi przybyli do stacji, aby uzupełnić zapasy paliwa, stwierdzili że nie zostało ono wykorzystane i w ten sposób odkryli, co pan zrobił.

– A więc urządzenie daje oszczędności węgla – zauważył tryumfalnie Hoddan. – To znaczy, że daje ono oszczędności pieniędzy. Od czasu kiedy zostało zamontowane, zaoszczędziło Zarządowi Energii olbrzymie kwoty. Nie chcieli mi uwierzyć, że mógłbym tego dokonać. Teraz już wiedzą. Dokonałem tego!

Sędzia oznajmił tylko:

– Nieistotne dla sprawy. Słyszał pan zarzuty. W nomenklaturze prawnej został pan oskarżony o włamanie, naruszenie prywatnej własności, bezprawne wejście, spowodowanie złośliwych szkód, pogwałcenie spokoju, sabotaż, spowodowanie zagrożenia dla zatrudnienia obywateli. Proszę odpowiedzieć na postawione zarzuty!

– Kiedy właśnie odpowiadam! – zaprotestował Hoddan. – Zaoferowałem to urządzenie Zarządowi Energii. Odpowiedzieli mi, że są usatysfakcjonowani tym co mają, i nie chcieli mnie słuchać. A więc udowodniłem im, że jednak powinni to zrobić. Mój odbiornik dał im oszczędności węgla o wartości rzędu dziesięciu tysięcy kredytów na tydzień! Oszczędziłby więc pół miliona kredytów na rok, dla każdej stacji, w której zostałby zainstalowany! O ile wiem Zarząd Energii, dobrze wychodzi na jego wykorzystaniu, podczas gdy mnie kazali aresztować za jego uruchomienie!

Wszyscy na sali sądowej w sposób widoczny zadrżeli.

– Czy to nie jest prawdą? – wojowniczo zawołał Hoddan.

– Nie, nie jest – powiedział sędzia, zaciskając wargi. – W swoim czasie urządzenie zostało zniszczone. A dokładniej mówiąc, zostało nawet przetopione.

– A więc sprawdźcie moje patenty! – nalegał Hoddan. – To głupie…

– Rejestry patentowe – przerwał sędzia z niepotrzebną gwałtownością – zostały zniszczone. Pańskie rzeczy zostały przeszukane w celu odnalezienia kopii. Nikt już nigdy nie ujrzy pańskich projektów na oczy… przynajmniej jeśli będzie rozsądny.

– Cooo?! – z niedowierzaniem wyjąkał Hoddan. – Cooo?

– Skoryguję protokół tego przesłuchania, zanim zostanie opublikowany – kontynuował sędzia drżącym głosem. – Nie powinienem wygłaszać mojej poprzedniej uwagi. Proszę Przedstawiciela Obywateli o zgodę na dokonanie poprawek.

– Udzielam – zgodził się skwapliwie Przedstawiciel, zanim jeszcze sędzia skończył mówić.

Sędzia natychmiast zaczął wygłaszać wyrok:

– Zarzuty - zostały - przyjęte - przez - pozwanego. Ponieważ - poszkodowany - nie - żąda - zastosowania - w - stosunku - do - oskarżonego - żadnej - kary…

– Byłby głupi, gdyby to zrobił – jęknął Hoddan.

– I - żąda - jedynie - zabezpieczenia - przed - powtórzeniem - się - podobnego - najścia, zarządzam, że - pozwany - może - zostać - zwolniony, po - uiszczeniu - stosownej - kaucji, gwarantującej - jego - właściwe - zachowanie - w - przyszłości. Tak - więc - będzie - on - musiał - opłacić - kaucję - ulegającą - przepadkowi - jeśli - kiedykolwiek - wejdzie - do - elektrowni - przekraczając - znaki - zakazu - wejścia, ignorując - znaki - zakazu - dostępu - i/lub - zniszczy - aparaturę - należącą - do - poszkodowanego.

– W porządku – z oburzeniem powiedział Hoddan. – Jakoś ją zbiorę. Jeśli są zbyt głupi by oszczędzać pieniądze… Ile wynosi kaucja?

– Sąd - ustali - jej - wysokość - po - naradzie - i - powiadomi - o - tym - oskarżonego - w - zwyczajowym - czasie - dwu - godzin – powiedział sędzia z szybkością karabinu maszynowego. Kontynuował. – Oskarżony - pozostanie - w - ścisłym - areszcie - dopóki - kaucja - nie - zostanie - uiszczona. Przesłuchanie - zostało - zakończone.

Nie nawet spojrzał na Hoddana. Strażnicy sądowi wymierzyli w jego kierunku paralizatory i wyprowadzili go z sali.

****

Po pewnym czasie, w celi ze stali narzędziowej, w której umieszczono Brona, odwiedził go jego przyjaciel Derec. Derec wyglądał blado, tak jakby był chory.

– Mam już kłopoty, z tego powodu, że jestem twoim przyjacielem, Bron – oznajmił zgnębionym tonem. – Ale poprosiłem o pozwolenie aby wyjaśnić ci całą sprawę. Przede wszystkim, to ja spowodowałem twoje aresztowanie. Mówiłem ci przecież, żebyś nie podłączał swojego odbiornika bez zezwolenia!

– Wiem – burknął Hoddan, – ale niektórzy ludzie są na tyle głupi, że trzeba im wszystko naocznie pokazać. Nie zdawałem sobie tylko sprawy z istnienia ludzie aż tak bezdennie głupich, że nawet pokazać im niczego nie można.

– Ty… pokazałeś coś, czego nie zamierzałeś – powiedział Derec jeszcze bardziej nieszczęśliwym tonem. – Bron… muszę ci to powiedzieć. Kiedy ludzie z obsługi weszli do elektrowni by wymienić zasobniki z węglem, Bron, oni… znaleźli martwego człowieka!

Hoddan wyprostował się na krześle.

– Co takiego?

– Twoja maszyna… go zabiła. Leżał obok budynku, pod drzewem. Twój odbiornik zabił go poprzez grubą, betonową ścianę! Połamał mu wszystkie kości i zabił… Bron… – Derek uścisnął jego ręce. – Na którymś z etapów pobierania energii, twój odbiornik generuje promienie śmierci!

Hoddan w dniu dzisiejszym naprawdę przeżył już zbyt wiele wstrząsów. Kiedy wszedł Derec, właśnie z niedowierzaniem porównywał sposób traktowania, jakie go spotkało, oraz panującą wokół niego panikę, z zarzutami które postawiono mu w sądzie. To wszystko zupełnie do siebie nie pasowało. Ostatnia nowina, element mu wcześniej nieznany, sprawiła że wręcz zaniemówił. Wytrzeszczył oczy na Dereca, który prawie łkał.

– Czy nie rozumiesz? – błagalnie zapytał Derec. – Właśnie dlatego, musiałem powiedzieć policji, że to ty zrobiłeś to urządzenie. Nie możemy pozwolić na powstanie promieni śmierci! Policja nie może wypuścić na wolność nikogo, kto wie jak je wytworzyć! To jest cudowna planeta, ale na jej wizerunku znajduje się wiele rys. Oni zrobią naprawdę wszystko, żeby ukryć tę sprawę. Policja nie ośmieli się niczego ujawnić, nawet jeśli pojawiło się tylko podejrzenie, że chodzi o wygenerowanie promieni śmierci. Dlatego właśnie nie zostałeś oskarżony o morderstwo. Ludzie na całej planecie mogliby zacząć prowadzić badania, mając nadzieję na wyrównanie swoich pieczołowicie pielęgnowanych uraz i niechęci, przez popełnienie samobójstwa, razem ze wszystkimi nieprzyjaciółmi. Dla zachowania cywilizacji, twoja tajemnica musi pozostać w mroku tajemnicy. Wiem, że to dla ciebie jest straszne, ale nie wolno nam zrobić niczego innego!

Hoddan stwierdził, oszołomiony:

– Ale przecież muszę tylko uiścić kaucję i zostanę wypuszczony!

– Sprawiedliwość… – powiedział Derec płaczliwie, – nie mogli wymierzyć jej w sądzie, ponieważ wówczas musieliby wszystko ujawnić. Ale wyznaczą wysokość twojej kaucji na pięćdziesiąt milionów kredytów! Nikt tyle dla ciebie nie zbierze, Bron! A z tych samych powodów, dla których kaucja będzie taka wysoka, nigdy nie uda ci się uzyskać jej obniżenia.

– Ale jeśli ktokolwiek spojrzy tylko na plany odbiornika, zorientuje się natychmiast, że nie może on wytwarzać żadnych promieni śmierci! – na próżno protestował Hoddan.

– Nikt do nich nawet nie będzie próbował zajrzeć – ze smutkiem odparł Derec. – Każdy, kto się dowie, jak go zbudować, będzie musiał zostać zamknięty. Sprawdzili nawet recenzentów biura patentowego. Musieli

wszystko zapomnieć. Nikt nie ośmieli się badać urządzenia nad którym pracowałeś. Jeśli ktokolwiek zrozumie jego budowę, znajdzie się w więzieniu! Nikt nigdy nie zaryzykuje poznania sposobu wytwarzania promieni śmierci… nikt na tak cywilizowanej planecie, jak nasza, gdzie tak wielu ludzi pragnie zabić wszystkich pozostałych. Musisz pozostać w zamknięciu na zawsze, Bron. Po prostu musisz!

Hoddan niezbyt adekwatnie stwierdził:

– O.

– Błagam cię o wybaczenie, – z najwyższym żalem powiedział Derec, – ale nie mogłem zrobić niczego innego, tylko powiedzieć…

Hoddan wpatrywał się w ścianę swojej celi. Derek wyszedł od niego łkając. Był wspaniałym, honorowym, bezinteresownym młodym człowiekiem, a przede wszystkim jedynym przyjacielem Hoddana.

Hoddan gapił się pustym, niewidzącym spojrzeniem. Całe zdarzenie było absurdalne, ale całkowicie naturalne. Kiedy w wyniku jakichś ludzkich spraw ktoś zrobi coś, co sprawi komuś innemu kłopot zmiany rutyny jego codziennego życia, to zmieniający czuje się tym faktem urażony. Im bardziej jest bogaty, im bardziej jego dotychczasowe życie go satysfakcjonowało, tym mocniej jest urażony z powodu każdej zmiany, nawet najmniejszej. A już przede wszystkim z powodu wszystkich tych zmian, które dotykają ludzi, zmian które powodują, że czują się oni pomijani.

Najwyżsi notable z Zarządu Energii uważali, że wszystko idzie gładko. Nie było więc potrzeby zastanawiania się nad nowymi urządzeniami. Po prostu nigdy nawet nie zainteresowali się schematami i planami Hoddana, ponieważ nie uważali, aby były one potrzebne. A kiedy już zostali zmuszeni do uznania faktu, że jego odbiornik działa, ta niepożądana demonstracja, została przez nich uznana za niesłychanie obraźliwą. Było to naturalne, było to nieuniknione i można było mieć absolutną pewność, że chwycą się każdej dowolnej wymówki, żeby tylko nie rozważać kwestii samego odbiornika. A samotny martwy człowiek znaleziony w pobliżu działającego demonstrowanego urządzenia… Jeśli ktoś założył, że właśnie to urządzenie go zabiło, a przecież człowiek mógł zareagować emocjonalnie, to oni natychmiast podchwycili tę tezę, ze świętym oburzeniem, szaleńczo zaczęli dowodzić, że urządzenie i jego wynalazca powinni zostać potępieni, robiąc to wyłącznie w tym celu, aby potem można było wrócić do swojego szczęśliwego życia, pozbawionego zupełnie konieczności myślenia, czy też dokonywania jakichkolwiek zmian.

Hoddan był przerażony. Teraz, kiedy cała sprawa potoczyła się już tak, a nie inaczej, zrozumiał, że to musiało się tak skończyć. Planeta Walden stała na najwyższym szczeblu rozwoju cywilizacji ludzkiej. Znalazła się na tak wysokim poziomie cywilizacji, że nikt nie był w stanie nawet sobie wyobrazić żadnych ulepszeń… chyba że mówimy o zaprojektowaniu lepszych środków uspokajających, które uczynią życie na niej, bardziej znośnym. A przecież nie można zapragnąć czegoś, o czym by się nie pomyślało. Nikt nie może pragnąć rzeczy, o których nie wie że istnieją, albo których nie może sobie wyobrazić że istnieją. Na Waldenie nikt nie pragnął więc niczego, chyba że dawałoby to ulgę od nudy

supercywilizowanego życia. Urządzenie Hoddana nie wynikało z potrzeb ludzkich, a jedynie technicznych. Nie miało więc wartości, która mogłaby kogokolwiek uczynić dla niego przychylnym.

A ponieważ Hoddanowi nie udało się dostrzec tego faktu wcześniej, miał spędzić resztę swojego życia, w więzieniu.

Natychmiast zbuntował się w duchu. On też czegoś pragnął! Chciał się stąd wydostać. A przy tym był takim typem człowieka, który od razu zaprzęga umysł do pracy, starając się wymyślić sposób realizacji swojego pragnienia, w sposób najprostszy i najszybszy. Skupił się na zaplanowaniu ucieczki. Zmusił się do zmiany punktu widzenia i jako podstawę przyjął postulat, polegający na oferowaniu swoim oskarżycielom i strażnikom więziennym, czyli jak on to uważał, prześladowcom, tego co chcieli.

Najchętniej widzieliby go martwym, chcieli jednak zachować czyste sumienie. Planował więc, opierając się na tym założeniu.

****

Tuż przed nadejściem nocy, podjął pewne tajemnicze działania. Wyplątał ze swojej koszuli parę nitek i odłożył je na bok. W suficie celi powinien być ukryty obiektyw kamery i ktoś pewnie zauważy to, co zrobił. Zapalił ogień. Włożył nitki do ust, przystawił ogień do materaca i spokojnie się na nim położył. Materac był doskonałej jakości. Kiedy się tlił, śmierdział niesamowicie.

Zrobione. Leżąc plackiem, zaczął przez kilka sekund kopać konwulsyjnie nogami. Wyglądał jak ktoś, kto przyjął truciznę. Potem cierpliwie czekał.

Minęło sporo czasu, zanim do celi podszedł korytarzem strażnik, ciągnąc za sobą wąż przeciwpożarowy. Hoddan miał zupełną rację, zakładając, że go obserwowano. Urządził wszystko tak, tak, że strażnik pomyślał o ewentualności popełnienia samobójstwa, przy użyciu trucizny ukrytej w szwie koszuli. Strażnik nie śpieszył się, ponieważ jeśli ktoś taki, jak wynalazca promieni śmierci zdecyduje się popełnić samobójstwo, wszyscy poczują się znacznie lepiej, jeżeli mu się to uda. Zostawił więc Hoddanowi dostatecznie dużo czasu, aby umarł.

Młody człowiek wyglądał na zupełnie martwego, tak więc strażnik otworzył drzwi jego celi, wyciągnął go na zewnątrz, usunął nienadpalone meble i otworzył przepustnicę węża przeciwpożarowego, rozpylając aerozolową mgiełkę, która powinna stłumić ogień. Wrócił do korytarza, aby poczekać aż ogień zostanie ugaszony.

Hoddan walnął go od góry stołkiem, czując nieoczekiwaną satysfakcję z tego czynu. Strażnik runął na podłogę.

Nie miał jednak przy sobie, żadnych kluczy. System polegał na tym, że z tego korytarza musiał go wypuścić strażnik znajdujący się na zewnątrz. Hoddan burknął coś pod nosem i złapał leżący wąż. Przekręcił jego nasadkę tak, by zamiast mgiełki uzyskać strumień. Woda trysnęła pod ciśnieniem setek funtów. Przy jej pomocy wyłamał drzwi prowadzące do

korytarza. Przeszedł przez nie i takim samym strumieniem zwalił z nóg zaskoczonego strażnika. Zabrał mu paralizator. Wybił wodą kolejne drzwi, tym razem prowadzące na dziedziniec. Wyskoczył na zewnątrz, zmywając dwu strażników, którzy właśnie celowali do niego paralizatorów. Spłukiwał ich przez cały chodnik, aż do chwili gdy zaklinowali się w otwartym włazie studzienki kanalizacyjnej. Potem pomysłowo przełączył wąż, wypełniając dziedziniec wodną mgiełką, wskoczył na siedzenie pojazdu, który go tutaj przywiózł – to znaczy chyba był to ten sam pojazd – i wywalając bramę wjazdową, wydostał się na ulicę. Zostawił za sobą dziedziniec nadal wypełniony gęstą białą mgłą.

Był wolny, ale jedynie chwilowo. Wokół niego rozciągała się stolica Waldena, najwspanialszej cywilizacji w tej części galaktyki. Ulice miasta ocieniały gęste drzewa. W kierunku nieba dumnie wznosiły się wieżowce, z tysiącami mniej ambitnych budowli między nimi. Można było tam znaleźć otwarte place, parkowe aleje i reprezentacyjne ulice, i w ogóle nie czuło się zapachu miasta. Ale nie upłynęły nawet trzy minuty, kiedy komunikator w jego pojeździe zaskrzeczał odgłosami wywołanego jego ucieczką, alarmu dla całej policji.

Tego należało się spodziewać. Całe miasto dookoła mogło w krótkim czasie stać się pułapką, mającą na celu pochwycenie Brona Hoddana. Na całej planecie, tak naprawdę, było tylko jedno miejsce, w którym byłby bezpieczny, ale nie mógłby się tam schronić, gdyby został oficjalnie oskarżony o morderstwo. Ale ponieważ policja taktycznie nie wspomniała nic o morderstwie, mógł uzyskać choć krótki czas na oddech, przyjmując schronienie w Ambasadzie Międzygwiezdnej.

Ruszył więc w jej kierunku, jadąc szybko i bez żadnych poważniejszych problemów. Samochód policyjny pokonał już pół mili, trzy czwarte. Widać było już nawet wielki, pusty plac przed Ambasadą. Nie była to oczywiście ambasada należąca do jakiejś jednej konkretnej planety. Z czystej konieczności, wszystkie zamieszkałe przez ludzi światy były niezależne od siebie, ale na każdej planecie całą ludzkość reprezentowała Międzygwiezdna Służba Dyplomatyczna. Jej ambasador był jedyną osobą, jaka przychodziła Hoddanowi do głowy, która mogłaby go wysłuchać, ponieważ pochodził on z innej planety, podobnie jak Hoddan. Ale przede wszystkim liczył w Ambasadzie na chwilową przerwę na oddech, podczas której będzie mógł poczynić dalsze plany jak dotąd nieukształtowane i nieformalne. Zaczynał w końcu dostrzegać pewne zalety w prostym, pozbawionym prawa, pirackim społeczeństwie, w którym spędził swoje dzieciństwo.

****

Nagle z bocznej ulicy wyskoczył samochód policyjny, szaleńczo pędząc w jego kierunku. Na kadłubie pojazdu Brona, zabrzęczało ciche *ping* trafień paralizatorów. Dodał gazu, ale pomimo tego, ścigający go samochód zaczął go doganiać. Zrównał się z nim, a siedzący w środku

policjanci gestykulowali rękoma, wydając groźne sygnały do zatrzymania. Następnie, próbowali ostro skręcić, aby zepchnąć go z drogi, ale zamiast tego ich pojazd zarzucił i wpadł na drzewo. Rozbił się z olbrzymim hukiem. W jednym z kół samochodu Brona pękła opona. Jechał dalej, z kołem pozbawionym powietrza, gwałtowne podskoki w górę i w dół, przyprawiały go niemal o mdłości. Z tyłu dolatywały do jego uszu głośne wrzaski. Gliniarze wyroili się z rozbitego samochodu i gonili go na piechotę.

Zza pomnika Pierwszych Osadników na Walden, widać było już wysoką, zbudowaną z surowego kamienia, ścianę Ambasady. Wyskoczył z samochodu i zaczął uciekać. Wyładowania paralizatorów, tuż poza ich skutecznym zasięgiem, parzyły jak ogień. Były dla niego tylko dodatkowym bodźcem.

Brama Ambasady była zamknięta. Obiegł dookoła narożnik i zaczął się wspinać korzystając z wygodnych nierówności, tkwiących w murze kamieni. Był już spory kawałek w górze, zanim gliniarze go zauważyli. Bez chwili zwłoki zaczęli strzelać i wszędzie wokół niego zatrzaskały wyładowania.

Udało mu się jednak dotrzeć na górę i już przełożył obie ręce przez parapet na szycie muru, kiedy jedno z wyładowań trafiło go w nogi, porażając je i paraliżując. Natychmiast zawisł w powietrzu, kurczowo trzymając się parapetu i przeklinając swojego pecha.

Niespodziewanie czyjeś ręce chwyciły go za nadgarstki. Po drugiej stronie parapetu pojawił się białowłosy człowiek. Złapał go mocno, zaciskając dobry, solidny uchwyt, i szarpnął do góry. Przeciągnął Hoddana przez szczyt muru, znajdujący się na wysokości jego piersi, i położył młodego człowieka, na ścieżce spacerowej.

– Było blisko, nieprawdaż! – uprzejmie stwierdził białowłosy. – Spacerowałem sobie właśnie po ogrodzie, kiedy usłyszałem na zewnątrz jakieś poruszenie. W samą porę dobiegłem do muru. – Na chwilę przerwał i dodał. – Mam nadzieję, że nie jest pan jakimś zwykłym mordercą, z policją na karku! Takim ludziom nie możemy udzielić azylu, tylko krótkiego oddechu i szansy na ponowne podjęcie ucieczki. Ale jeśli jest pan przestępcą politycznym…

Hoddan zaczął rozcierać nogi, aby przywrócić w nich czucie. Po chwili poczuł, jak stopniowo wraca, i nie było to przyjemne wrażenie.

– Jestem Międzygwiezdnym Ambasadorem – przedstawił się uprzejmie białowłosy.

– Nazywam się – gorzko wyjaśnił Hoddan, – Bron Hoddan i opracowałem dla Zarządu Energii sposób zaoszczędzenia kilku milionów kredytów na rok! – Dodał jeszcze bardziej gorzkim tonem: – Jeśli chce pan wiedzieć, uciekłem z Zan, próbując zostać cywilizowanym człowiekiem i żyć cywilizowanym życiem. To był błąd! Mam zostać zamknięty na stałe w więzieniu, tylko za wykorzystywanie swojego mózgu!

Ambasador z zamyśleniem pochylił głowę na jedną stronę.

– Zan? – powiedział. – Nazwisko Hoddan trochę do tego pasuje. O, tak! Piractwo kosmiczne! Mówi się, że ludzie z Zan zdobywają i łupią tuzin statków na rok, lub coś koło tego, tyle że nie ma żadnego sposobu aby im

to udowodnić. A jest tam człowiek nazywany Hoddan, który jak się sądzi, jest głową szczególnie niebezpiecznego, zbójeckiego gangu.

– To mój dziadek – wyzywająco oznajmił Hoddan. – Co ma pan zamiar z tym zrobić? Zostałem wyjęty spod prawa! Okazałem nieposłuszeństwo rządowi planetarnemu! Jestem niegodziwy nawet z pochodzenia, a co ze wszystkiego najgorsze, próbowałem używać swojego mózgu!

– Godne ubolewania! – łagodnie odparł ambasador. – Niech pan zrozumie, nie uważam aby samo wyjęcie spod prawa było godne ubolewania, czy też rzucanie wyzwania rządowi planetarnemu, lub bycie niegodziwym. Ale próba użycia mózgu, to naprawdę kiepski pomysł. Poważna zbrodnia! Czy z pańskimi nogami już wszystko w porządku? Proszę więc pójść ze mną, dam panu jakąś kolację, coś ze świeżych ubrań i tak dalej. Tak wstępnie mówiąc – dodał uprzejmie, – wydaje się, że na Waldenie, próba użycia przez kogoś mózgu, powinna zostać zakwalifikowana raczej jako przestępstwo polityczne niż kryminalne. Ale jeszcze zobaczymy.

Hoddan gapił się na niego.

– Czy uważa pan, że jest jakaś możliwość, że…

– Oczywiście! – powiedział zaskoczony ambasador. – Nie wyraził pan tego w ten sposób, ale faktycznie rzecz biorąc jest pan buntownikiem. Rewolucjonistą. Przeciwstawia się pan autorytetom, tradycji, rządom i takim tam rzeczom. Naturalnie Międzygwiezdna Służba Dyplomatyczna skłania się do tego, aby stanąć po pańskiej stronie. A jak pan myśli, po co ona została stworzona?

II

Po około dwu godzinach, Hoddan został wprowadzony do biura ambasadora. W tym czasie zdołał się odświeżyć, wymienić poszarpane ubranie, na bardziej właściwą odzież, posmarować maścią przeciwbólową miejsca w które oparzyły go paralizatory. Ale co ważniejsze wypracował i stanowczo wbił sobie w głowę swój nowy punkt widzenia.

Nie potrafił pogodzić się ze swoim życiem na Zan, ponieważ nie był zadowolony z monotonii i jednostajności życia członka społeczności pirackiej w kosmosie. Piractwo wiązało się co prawda z niebezpiecznymi startami, z odpalanymi na korbę statkami rakietowymi, ale po tych ekscytujących wydarzeniach, następowały tygodnie lub nawet miesiące jednostajnej nudy w wysoce niezdrowym, wielokrotnie wykorzystywanym powietrzu. W trakcie każdego rajdu, nigdy nie trafiało się więcej, niż dziesięć sekund satysfakcjonującej akcji, a wszystkie bitwy w przestrzeni miały miejsce tuż poza atmosferą planety, którą próbowano akurat podbić, ponieważ nie da się zatrzymać statku, lecącego podróżną szybkością w przestrzeni międzygwiezdnej. Niezależnie od wyniku walki, po jej zakończeniu trzeba było uciekać, z największą możliwą prędkością, zanim pojawiły się posiłki z sąsiednich planet. Wszystko to było, w stopniu absolutnie nie do zniesienia, pozbawione jakichkolwiek elementów, istotnych dla ambitnego młodego człowieka.

Nawet jeśli komuś w końcu udało się zdobyć dobry pryz –– w gąszczu szalup ratunkowych śmigających szaleńczo w kierunku powierzchni ziemi –– i nawet kiedy udało mu się wrócić ze zdobytym statkiem na Zan, nawet wtedy kariera piracka dostarczała bardzo niewiele satysfakcji. Zan nie miało dużej populacji. Z piractwa nie mogło utrzymać się zbyt wielu ludzi. Zan nie było w stanie obronić się nawet przed pojedynczymi ciężko uzbrojonymi statkami, które przybywały czasami z żarliwym postanowieniem pomszczenia jakiegoś zaginionego, suto wyładowanego frachtowca lub szybkiego nowego liniowca. Tak więc aby uniknąć powieszenia, ludzie z Zan musieli odgrywać niewinnych. Musieli być przekonywująco prostym, nieszkodliwym ludkiem, uprawiającym swoje pola i prowadzącym ciche, nieskazitelne życie. Mogli co prawda grabić i rabować, ale musieli ukrywać swoje łupy w miejscach, w których ekipy dochodzeniowe nie potrafiły ich znaleźć. Tak naprawdę, nie mieli z tego żadnych zysków. Musieli sami budować swoje domy, robić swoje ubrania i produkować własną żywność. Tak więc, reasumując, życie na Zan, było ponure i nudne. Po prostu nie był to żaden wybór dla kogoś takiego jak Hoddan.

A więc odrzucił je. Studiował elektronikę z książek znalezionych w bibliotekach zdobytych statków pasażerskich. Poprzez miesiące pobytu na

praworządnej planecie, był w stanie zarabiać i żyć w uczciwy sposób z elektroniki.

Ciągle go to jednak nie satysfakcjonowało. Praworządne społeczeństwa, wcale nie były, jakoś specjalnie bardziej porywające i dochodowe, niż te pirackie. Krótkie chwile radości dnia wypłaty, nie mogły przeważyć nudy wieczności pracy. Nawet jeżeli ktoś miał pieniądze, nie za bardzo było co z nimi zrobić. Na Waldenie, konkretnie mówiąc, poziom rozwoju cywilizacyjnego był tak wysoki, że wielu ludzi potrzebowało leczenia psychiatrycznego, żeby to jakoś wytrzymać, a liczba neurotyków w znacznym stopniu przekraczała liczbę normalnych ludzi. Ponadto na Waldenie, elektronika nie była już zabawą, tylko zwykłą pracą, taką samą jak piractwo.

Powinien wiedzieć, że tak będzie. Jego dziadek często dyskutował ten problem, frustracji w życiu ludzkim.

– My, ludzie – jak zazwyczaj mawiał dziadek Hoddana, – jesteśmy kompletnie bez sensu! Są wśród nas tacy, którzy pracują tak ciężko, że są za bardzo zmęczeni, żeby cieszyć się życiem. Są również tacy, którzy pracują tak ciężko nad tym, aby się z niego cieszyć, że nie czują żadnej przyjemności ze skończenia pracy. A reszta z nas spędza swoje życie narzekając, że w ogóle nie ma żadnej przyjemności z pracy. Człowiek zamiast wykorzystywać swoje najlepsze lata, wybiera sobie pracę, której nie ma szans wykonywać, i zamienia swoje życie w piekło, ponieważ nie pozwala mu się jej wykonywać. Podczas gdy – i to podsumowanie dziadek Hoddana zazwyczaj podkreślał z wyraźną emfazą – lepiej powinien pomyśleć, o tym czy mógłby ją wykonywać!

Oczywiście tym, czego pragnął Hoddan, była duma ze swoich osiągnięć, robienie rzeczy, które są tego warte, i to robienie ich dobrze. Technicznie wokół siebie miał pełno sposobności. Wykorzystał jedną z nich, która jeśli zostałaby wprowadzona w życie, dałaby rocznie miliony kredytów oszczędności. Ale nikt nie chciał z tego skorzystać. Próbował wymusić jej realizację, przez co wpadł w kłopoty, a teraz mógł mieć żal tylko do siebie, że pomimo rad swojego dziadka nie był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

****

Ambasador przyjął go kordialnym skinięciem ręką.

– Sprawy idą szybko – oznajmił, dodając mu otuchy. – Nie przebywa pan u mnie jeszcze nawet pół godziny, a już przy bramie pojawił się kapitan policji. Wyjaśnił, że z więzienia uciekł niesłychanie groźny przestępca i widziano go, jak wspina się na mur Ambasady. Wspaniałomyślnie oferował się, że weźmie kilku ludzi, schwyta pana i zabierze stąd, oczywiście za moją zgodą. Był wręcz zaszokowany, kiedy mu odmówiłem.

– Myślę, że jestem w stanie to zrozumieć – powiedział Hoddan.

– Przy okazji – powiedział ambasador. – Młody człowiek taki jak pan… Czy jest w to wmieszana jakaś dziewczyna?

Hoddan przyznał, że istnieje taka możliwość.

– Ojciec dziewczyny – potwierdził, – jest tym, który tak naprawdę, wniósł przeciwko mnie oskarżenie.

– Czy oskarża pana – zapytał ambasador – dlatego, że chce pan się z nią ożenić, czy dlatego że pan nie chce?

– Ani jedno, ani drugie – powiedział mu Hoddan. – Ona jeszcze nie do końca zdecydowała, czy jestem wart przeciwstawienia się przez nią, jej bogatemu ojcu.

– Dobrze! – powiedział ambasador. – Jeśli ta kobieta jest naprawdę praktyczna, to raczej nie może powstać z tego zbyt duże zamieszanie. Sprawdziłem pańską historię. Pomijając pewne oczywiste różnice w punktach widzenia, zgadza się ona z wersją oficjalną. Zarządziłem w związku z tym, że jest pan uchodźcą politycznym i ma pan prawo azylu w Ambasadzie. Na razie tyle.

– Dziękuję, proszę pana – powiedział Hoddan.

– Nie ma wątpliwości co do rodzaju samego przestępstwa – zauważył ambasador, – ani co do tego, że ma ono charakter przede wszystkim polityczny. Zaproponował pan ulepszenie procesu technologicznego w społeczeństwie, które uważa się za nie do ulepszenia. Gdyby panu się udało, idea zmiany mogłaby się rozprzestrzenić, ludzie w obecnej chwili biedni, mogliby się stać bogaci. Ludzie teraz bogaci staliby się wtedy biedniejsi, a wszystkie rządy tworzone są właśnie po to, aby zapobiegać takim sytuacjom. Tak więc, nigdy już nie będzie pan mógł wyjść stąd bezpiecznie, na ulice tej planety. Wystraszył pan tych ludzi niesamowicie.

– Tak, proszę pana – powiedział Hoddan. – Uczucie strachu, jest dla nich niemiłą niespodzianką.

Ambasador złożył razem koniuszki palców.

– Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, - zapytał, – że głównym celem cywilizacji jest usunięcie niespodzianek z naszego życia, tak że może ono każdego zanudzić na śmierć? Zaś taki okres cywilizacji, w którym nigdy nie dzieje się nic nieoczekiwanego, faktycznie nazywany jest Złotym Wiekiem. A jeżeli przytrafi się okres, w którym nikt nie jest nawet w stanie wyobrazić sobie niczego dziejącego się nieoczekiwanie, to potem pieszczotliwie określa się go, jako Stare Dobre Czasy.

– Nigdy nie myślałem o tym dokładnie w takich słowach, proszę pana…

– To jest jeden z najczęściej pomijanych faktów w naszym życiu – powiedział ambasador. – Rząd, w lokalnym lub planetarnym tego słowa znaczeniu, jest organizacją, której celem jest usunięcie z naszego życia przygody. Podatki są, w pewnym sensie, stawkami ubezpieczeniowymi, płaconymi za ochronę przed nieprzewidywalnym. A pan popełnił wykroczenie przeciwko wszystkiemu co jest podstawą stabilnego, uporządkowanego i piekielnie nudnego sposobu życia… faktycznie przeciwko samej cywilizacji.

Hoddan spojrzał na niego z dezaprobatą.

– Udzielił mi pan przecież azylu…

– Naturalnie! – zapewnił go ambasador. – Służba Dyplomatyczna działa w celu zapewnienia powodzenia ludzkości. To wcale nie oznacza, że promujemy takie zakisłe bagienko. Po Złotym Wieku każdej cywilizacji, zawsze przychodzi jej załamanie. W dawnych czasach, przybywali barbarzyńcy i rozbijali swoje namioty obok murów supercywilizowanych miast. Byli nieumyci, pozbawieni manier i niehigieniczni. Supercywilizowani ludzie nie chcieli o nich nawet myśleć! A więc, wkrótce barbarzyńcy burzyli mury miast i na scenę wchodziła kolejna cywilizacja.

– Ale przecież – sprzeciwił się Hoddan, – w dzisiejszych czasach nie ma żadnych barbarzyńców.

****

– Znajdą się, znajdą – odparł ambasador. – Zresztą ja tylko chciałem powiedzieć, że Służba Dyplomatyczna dopieszcza indywidualistów oraz ludzi walczących z tym całym rozkisłym bagienkiem samozadowolenia, Złotymi Wiekami i innymi podobnie potwornymi rzeczami. Oczywiście nie chodzi nam o zwykłych kryminalistów. Są pasożytami, jak wszy na ciele człowieka. Ale buntownicy, obrazoburcy i rewolucjoniści, którzy chronią przed zwapnieniem żyły gospodarki i wnoszą świeży powiew do świata polityki, tak, ci są warci tego aby ich dopieszczać.

– Wydaje mi się… wydaje mi się, że zrozumiałem, proszę pana – powiedział Hoddan.

– Mam nadzieję – stwierdził ambasador. – Moje działanie w pana imieniu jest dokładnie zgodne, z linią naszej polityki dyplomatycznej. Ma ona na celu ośmielanie niezadowolonych ludzi, do oporu przeciwko wszechogarniającemu zadowoleniu, które oznacza stagnację i śmierć. Walden jest na złej drodze. Pan jest najbardziej obiecującym przypadkiem, jaki mi się przytrafił, i to od bardzo długiego czasu. A w dodatku, pan nie pochodzi stąd.

– N - i - e - e… – zgodził się Hoddan. – Przybyłem tu z Zan.

– Mniejsza już o to. – Ambasador odwrócił się w stronę rozłożonego atlasu gwiezdnego. – Proszę myśleć o sobie, jako pozytywnym czynniku, o wysokiej wartości. Gdyby jeszcze udało się panu kogoś zarazić swoimi ideami, dobrze by się pan przysłużył współobywatelom. Jacyś barbarzyńcy muszą w końcu się gdzieś pojawić. Ale starczy już tej całej apologii. Postanówmy coś w pańskich sprawach. – Spojrzał do atlasu. – Gdzie chciałby się pan udać, kiedy będzie pan musiał opuścić Walden?

– Nie za daleko, sir…

– Dziewczyna, co? – Ambasador nie uśmiechnął się. Zjechał palcem na dół strony. – Najbliższymi zamieszkałymi światami są Krym i Darth. Krym jest miejscem ożywionej działalności gospodarczej, gdzie inżynier elektronik powinien łatwo znaleźć zatrudnienie. Określany jest jako postępowy i jest tam prowadzonych wiele zorganizowanych badań…

– Nie chcę już dłużej pracować jako inżynier – skwaszonym tonem wyznał Hoddan. – Wolałbym raczej… cóż… zacząć działać na własną rękę.

– Niepraktyczne, ale zrozumiałe – skomentował ambasador. Odwrócił stronę. – A więc Darth. Jego system społeczny jest praktycznie feudalny. Planeta jest dosyć zacofana technologicznie. Ma sieć lądowniczą, ale na jej eksport międzygwiezdny składają się przede wszystkim skóry, wytopione metale i… praktycznie, to już wszystko. Nie ma transmisji energii. Przybysze z zewnątrz uważają lokalne cła za skomplikowane. Brak jest miast powyżej dwudziestu tysięcy mieszkańców, a tylko parę zbliża się do tej granicy. Większość zasiedlonych miejsc, to po prostu wioski w pobliżu czegoś w rodzaju zamku feudalnego, a dróg jest mało i są kiepskie, tak więc transport kołowy należy do rzadkości.

Odchylił się do tyłu i oznajmił obojętnym tonem:

– Kilka miesięcy temu dostałem stamtąd list. Dosyć arogancki, zresztą. Autorem był jakiś Don Loris, który wyjaśniał, że jego godność nie pozwala mu na wystosowanie oferty biznesowej, ale inżynier elektronik, który oddał by się pod jego protekcję, na pewno by na tym nie stracił. Podpisał się jako książę czegoś tam, lord czegoś innego, baron jakiejś innej rzeczy i roszczący pretensję do tytułu książęcego jeszcze czegoś innego. Czy jest pan zainteresowany? Na Darth nie ma królów, tylko zwykli feudalni thanowie.

Hoddan zastanawiał się przez chwilę.

– Polecę na Darth – zdecydował. – Wydaje się to być lepsze rozwiązanie, niż powrót na Zan, a chyba nie może być gorsze niż Walden.

Ambasador wyglądał na zupełnie beznamiętnego. Do środka wszedł pracownik Ambasady i podał bezprzewodowy komunikator. Ambasador przyłożył go do ucha. Po chwili powiedział:

– Wpuścić go. – Zwrócił się do Hoddana. – Wywołał pan niezłą burzę! Pojawił się u mnie sam Minister Stanu, domagając się pańskiego wydania. Sprzeciwię się temu i złożę formalne żądanie zezwolenia na opuszczenie planety. Wrócimy do naszej rozmowy, kiedy stąd wyjdzie.

****

Hoddan wyszedł. Zamyślony krążył po drugim pokoju, w którym czekał na zakończenie rozmowy Ambasadora. Na Darth nie było Złotego Wieku! Teraz był już dużo mądrzejszy, niż jeszcze dzisiaj rano. Zdawał sobie sprawę z tego, że popełnił wiele błędów. Zrozumiał ze smutkiem, że było zupełnie nieprawdopodobnym, aby ktokolwiek zdołał rozpowszechnić nowe urządzenie techniczne, jedynie poprzez zademonstrowanie skuteczności jego działania, a nie przekonanie ludzi, że jest ono im potrzebne. Z żalem kręcił głową nad popełnionym błędem.

Ambasador przysłał po niego.

– To był całkiem przyjemnie spędzony czas – wesoło relacjonował Hoddanowi zakończone spotkanie. – Mówię panu, wspaniała awantura. Naprawdę przeraził pan tych ludzi, panie Hoddan. Dobrze się pan przysłużył społeczeństwu. Od czasu do czasu każdy rząd i każdy człowiek potrzebuje solidnej dawki strachu. To uelastycznia mózg.

– Tak, proszę pana – odpowiedział Hoddan. – Ja…

– Rząd planetarny – powiedzial ambasador z widoczną przyjemnością – nalega aby został pan zamknięty, najlepiej gdzieś głęboko, w ciemnicy, a klucz do pańskiej celi wyrzucony. Ponieważ podobno wie pan, jak wytworzyć promienie śmierci. Powiedziałem im, że to jest nonsens, a pan jest uchodźcą politycznym z prawem azylu. Na to Minister Stanu stwierdził, że jeżeli pan się nie podda, Rada Ministrów rozważy usunięcie pana z terenu Ambasady, siłą. Odpowiedziałem, że jeśli Ambasada zostanie zajęta przemocą, to żaden statek z żadnej cywilizowanej planety nie wyląduje na Waldenie. Nie chcą stracić swojego handlu pozaplanetarnego! Oświadczył więc, że w takim razie rząd nie wyda panu zezwolenia na opuszczenie planety oraz że czyni mnie osobiście odpowiedzialnym, jeśli zabije pan wszystkich mieszkających na Waldenie ludzi, włączając w to jego i mnie. W odpowiedzi stwierdziłem, że obraża mnie, sugerując że mógłbym pozwolić na taką zbrodnię. Na to on, z kolei powiedział, że rząd poweźmie ekstremalnie negatywny obraz mojego nastawienia, a ja, że jeśli to zrobią, to będzie z ich strony kompletna głupota. Na to wyszedł z wielkim dostojeństwem… ale trzęsąc się ze strachu… aby wymyślić więcej podobnych nonsensów.

– Ewidentnie – z ulgą powiedzial Hoddan, – uwierzył mi pan, kiedy powiedziałem, że moje urządzenie nie generuje promieni śmierci.

Ambasador wyglądał na lekko zaambarasowanego.

– Żeby być szczerym – przyznał, – nie mam wątpliwości, że wynalazł pan je całkowicie niezależnie, ale takie urządzenie zostało kiedyś już wprowadzone, pół wieku temu, w gromadzie Cetis. Nie mieli z nim żadnych tego rodzaju problemów.

Hoddan skrzywił się.

– Czy powiedzial pan o tym ministrowi?

– Niestety nie – powiedzial ambasador. – Nie przyniosłoby to zresztą panu żadnych korzyści. Podniósł pan otwarty bunt i dopuścił się jawnych aktów przemocy przeciwko policji. Poza tym, z mojej strony, niegrzecznie byłoby sugerować, że lokalny rząd zachował się głupio. A udowodnienie tego, byłoby już absolutnie niedyplomatyczne.

Hoddan wcale nie czuł się dumny z tego powodu.

– Myślę, że gliniarze, zupełnie nieoficjalnie, mogą próbować mnie porwać z Ambasady. Będą zaprzeczać, że to zrobili, zwłaszcza jeśli im się uda. Ale wydaje mi się, że spróbują.

– Bardzo możliwe – przyznał ambasador. – Podejmiemy odpowiednie środki ostrożności.

– Chciałbym również coś przygotować, oczywiście nic śmiertelnego, tak na wszelki wypadek – zaproponował Hoddan. – Oczywiście, jeśli mi pan zaufa, że nie zbuduję żadnego emitera promieni śmierci. Chciałbym stworzyć generator nieregularnie ukształtowanych mikrofal. Tego typu urządzenia opisywane są w podręcznikach. Przy strzale, emiter będzie jonizował powietrze. To wszystko. Dzięki temu powietrze zmieni się w przewodnik o wysokiej oporności. Nic więcej.

Ambasador zadumał się:

– Służyło to kiedyś, jako taki staroświecki sposób produkcji ozonu… - Kiedy Hoddan przytaknął, nieco zaskoczony, ambasador powiedział: – Niech pan się bierze do pracy. Może pan wymontować niezbędne części z odbiornika wizyjnego w swoim pokoju. – Potem dodał: – Dyplomaci muszą znać się na rzeczach, które służą do kontrolowania biegu wydarzeń. Kiedyś najważniejsza była pozycja społeczna. Przez jakiś czas broń. Potem handel. Teraz, jest to technologia. Zastanawiam się tylko, jak pan chce wykorzystać jonizację powietrza do ochrony przed porywaczami! Proszę mi nic nie mówić! Spróbuję sam to wymyślić.

Potrząsnął jego ręką w serdecznym pożegnaniu i pracownik Ambasady odprowadził Hoddana do jego kwatery. Dziesięć minut później inny pracownik przyniósł mu narzędzia, niezbędne do pracy nad zestawem wizyjnym. Został w pokoju sam.

****

Hoddan delikatnie rozłożył odbiornik w swoim pokoju i zaczął składać niektóre jego podzespoły, w nowy, ale absolutnie celowy, sposób. Nauki elektroniczne, podobnie jak matematyczne, rozwinęły się dalece poza punkt, w którym wszystko w nich miało zastosowanie praktyczne. Można było spędzić całe życie zgłębiając fakty i zjawiska, odkryte w przeszłości, w wyniku prowadzonych w tej dziedzinie badań, których przemysł nigdy nie wykorzystał. Na Zan, pilnie czytając zagrabione przez piratów książki, Hoddan nie wiedział, w którym miejscu kończy się użyteczność. Nauczył się więc dużo więcej niż praktyczny młody człowiek, studiujący tylko w celu otrzymania dobrze płatnej pracy.

Każdy z inżynierów elektroników mógłby zbudować, przygotowywane przez Hoddana urządzenie. Musiał tylko chcieć to zrobić, i najwidoczniej pierwszą osobą, która spełniała ten warunek, był właśnie on. Pod tym względem, urządzenie to było podobne do odbiornika energii, który wpędził go w całą tę kabałę. Jednak kiedy składał razem małe części, poczuł nagle coś w rodzaju samotności. Człowiek w wieku Hoddana potrzebował jakiejś dziewczyny, która, przynajmniej od czasu do czasu, by go podziwiała. Gdyby Nedda siedziała przy nim, ze skrzyżowanymi nogami, zasłuchana w jego wyjaśnienia, Hoddan pewnie byłby absolutnie szczęśliwy. Niestety, nie było jej tutaj. I było mało prawdopodobne, aby kiedykolwiek się pojawiła. Hoddan ponuro zmarszczył brwi.

W ciągu pół godziny skonstruował ręczny pięciowatowy emiter fal o nieregularnym kształcie. Wysyłany przez niego promień jonizował powietrze. W miejscu, w którym projektor ten emitował mikrofale, powietrze stawało się przewodnikiem wysoko-oporowym, porównywalnym do przewodu nichromowego[*].

[*] Nichrom jest stopem niklu i chromu, wykorzystywanym między innymi do budowy oporników, oraz elektrycznych urządzeń grzewczych.

Właśnie owijał taśmą uchwyt pistoletu, kiedy służący przyniósł mu ręcznie nabazgraną notatkę. Została przekazana w bramie Ambasady przez jakąś kobietę, która uciekła po jej pozostawieniu. Wyglądało to na charakter pisma Neddy. Również styl brzmiał podobnie do jej stylu. Wydawało się, że napisana została przez kogoś w stanie wysoce rozemocjonowanym. Nie była jednak do końca –– nie absolutnie –– przekonywująca.

Poszedł aby odszukać ambasadora. Przekazał mu wiadomość. Ambasador po jej przeczytaniu uniósł brwi.

– A zatem?

– Może być autentyczna – stwierdził Hoddan.

– Innymi słowy – powiedział ambasador, – nie jest pan pewien, czy czasami nie jest to pułapka… zaproszenie na randkę z policją?

– Nie jestem pewien – przyznał Hoddan. – Chyba powinienem się uszczypnąć, widać po dzisiejszym poranku jeszcze mi pozostały jakieś złudzenia. Jednak, muszę się o tym przekonać osobiście. Sądziłem, że Nedda dosyć mocno mnie lubiła.

– Powstrzymam się od komentarzy – odparł ambasador. – Czy w jakiś sposób mogę panu pomóc?

– Muszę wydostać się z Ambasady – powiedział Hoddan, – a na zewnątrz jej murów policja sformowała praktycznie nieprzerwany kordon. Czy mógłbym pożyczyć jakieś stare ubranie, kilka poduszek i kawał sznura?

Pół godziny później sznur wisiał, rozwinięty na zewnątrz muru Ambasady, w najciemniejszym jego załomie. Sięgał aż do samej ziemi. Było to na tyłach terenu Ambasady. Tej nocy gwiazdy świeciły wyjątkowo jasno, a wieżowce miasta błyszczały setkami świateł. Jednak w tym miejscu, panowała niemal zupełna czerń i ta charakterystyczna cisza miasta, która czasami jest takim przyjacielem.

Sznur ciągle zwisał z muru. Żadne ze świateł nie sięgało ziemi u jego podnóża. Mały półksiężyc najdalszego satelity Waldena, nie błyszczał wystarczająco jasno. W jego świetle nic nie dało się dojrzeć.

Sznur powędrował do góry, ponieważ został opuszczony tylko po to, aby upewnić się, że jest wystarczająco długi. Po chwili opadł znowu. Na jego końcu wisiał jakiś niewyraźny kształt. Zjeżdżał na dół, lekko się kołysząc. Szybko osiągnął najczarniejszą część cienia, u podstawy muru. Tam też pozostał.

Żadnej reakcji. Nic się nie działo. Kształt szybko ruszył do góry, wciągany gwałtownymi szarpnięciami sznura. Potem lina znów zjechała w dół, a na jej końcu ponownie coś się zsuwało. Tym razem jednak kształt się poruszał. Sznur kołysał się i drgał. Kształt zsunął się niemal na wpół drogi do ziemi. Zatrzymał się na chwilę, a potem opadł z mocniejszym szarpnięciem do dwu trzecich odległości, od góry.

Zsuwającą się postać chyba coś zaalarmowało. Wydawało się, że zaczęła uciekać w górę z potężnymi szarpnięciami sznura. Wspinała się coraz wyżej…

Rozległ się nagły trzask. Paralizator. Kształt wydawał się wspinać jeszcze bardziej szaleńczo. Kolejne trzaski. Pół tuzina… tuzin ostrych,

szczekających odgłosów. Były to wyładowania paralizatorów, a w miejscach w które trafiały rozbłyskiwały małe iskry. Zwisający kształt wydawał się wić w konwulsjach. Wspinał się kulawo, ale nie spadał. Trafiły w niego kolejne wyładowania. Zawisł bez ruchu w połowie wysokości muru Ambasady.

W ciemnościach rozpoczęły się jakieś tajemnicze ruchy. Pojawił się jakiś człowiek, mówiący coś przyciszonym głosem i wytężający oczy w kierunku nieruchomej już postaci. Zebrali się pod nią. Ktoś pobiegł w pośpiechu, niosąc jakąś wiadomość. Inny z przybyłych policjantów ciężko dyszał. Odbyły się kolejne szeptane dyskusje. Pojawiało się tam coraz więcej ludzi. U podstawy muru znajdowało się już ze czterdzieści, pięćdziesiąt postaci.

Jedna z tych postaci zaczęła się wspinać po sznurze, ręka za ręką. Dotarła do nieruchomego obiektu. Nagle zaczęła kląć wstrząśniętym głosem. Z dołu doleciały odgłosy uciszania. Postać zeskoczyła razem z nieruchomym kształtem, nie wydając przy lądowaniu najmniejszego szmeru.

Potem zapanował wielki pośpiech, gdy strażnicy pilnujący Ambasady, szaleńczo pobiegli z powrotem na swoje właściwe posterunki, pilnować aby nikt nie wyślizgnął się na zewnątrz. Na miejscu zostało dwóch mężczyzn, gorzko przeklinając pod nosem, stojąc nad kukłą zrobioną ze starych ubrań i poduszek. Ale ich przekleństwa były daremne.

****

Hoddan wtedy był już bowiem kilka przecznic dalej. Cierpiał bolesne rozterki związane z domniemaną wiadomością od Neddy. Akcja przy murze wykazała wyjątkową czujność policjantów. Tak jakby na niego czekali. Co prawda posterunki rozstawione wokół Ambasady próbowałyby go schwytać w każdym przypadku, ale uważał za bardzo prawdopodobne, że notatka została wysłana tylko po to, aby skłonić go do próby wyjścia poza obręb jej murów. Z drugiej strony, fałszywa ucieczka kukły, została przeprowadzona w dosyć wiarygodny sposób. Być może ściągnęł+a ona strażników w tamto miejsce, tylko potwierdzając ich zwyczajną czujność.

Spory kawałek dalej, spokojnie skręcił w wąski zaułek pomiędzy budynkami. Biegł on równolegle do innej uliczki, przy której znajdował się dom przyjaciółki Neddy. W notatce wymieniono jako miejsce spotkania, ogród za tym domem. Hoddan nie poszedł jednak prosto do niego. Chciał najpierw upewnić się. Jeśli gliniarze sfałszowali wiadomość…

Ostrożnie ocenił swoje położenie. Jeśli wejdzie na to drzewo… hmmm… Niektórzy z architektów planujących miasta Waldena, szafowali drzewami tak rozrzutnie… jeśli wejdzie na to drzewo, to będzie mógł zajrzeć do ogrodu, w którym teoretycznie czeka zapłakana Nedda. Wspiął się na nie. Usiadł okrakiem na grubej gałęzi w wypełnionej intensywnymi zapachami ciemności i myślał dalej. Wkrótce wyciągnął swój pięciowatowy emiter. Dookoła panowała najgłębsza ciemność. Drzewa i zarośla były tylko

nieznacznie bardziej czarne od swojego otoczenia. Były jednak powody do podejrzliwości.

Ani w domu przyjaciółki Neddy, ani w najbliższym domu po sąsiedzku, nie było ani jednego okna, w którym paliło się światło.

Hoddan przestroił głowicę swojego emitera i nacisnął jego spust. Uważnie wycelował go w pobliski ogród.

Jakiś człowiek jęknął zaskoczonym tonem. W mroku panującym w ogrodzie coś się zaczęło ruszać. Trafiony mężczyzna wystraszony przeklinał straszliwie. Dobiegające do Hoddana słowa niezbyt chyba pasowały do przypadkowego spacerowicza, który po prostu wyszedł sobie na dwór, odetchnąć świeżym powietrzem.

Hoddan zmarszczył brwi. A więc wiadomość od Neddy wyglądała na coraz bardziej podejrzaną. Aby jeszcze się upewnić, przestroił głowicę na emisję cienkiego, wachlarzowatego promienia. Ponownie wycelował. Starannie przesunął nim po miejscach, w których, jeśli prośba o spotkanie była fałszywa, powinni znajdować się ludzie czyhający, aby go złapać. Gdyby była tam Nedda, nie powinna nawet niczego zauważyć. Jeśli natomiast leżeli tam czekający policjanci, muszą to poczuć. Od razu.

Zauważyli. Jakiś człowiek zawył. Dwu innych wrzeszczało jednym głosem. Ktoś ryczał. Ktoś skarżył się głośno. Policjant odpowiedzialny za flary, przygotowane, aby oświetlić teren dla kolegów, był tak przerażony tymi osobliwymi sensacjami, że szarpnął za sznurek. Rozbłysło się potężne, zimno-białe światło. Ogród, w którym definitywnie nie było Neddy, był cały skąpany w jaskrawym blasku. Światło rozlewało się nad płotem do innych ogrodów, ujawniając również i tam skłębioną masę policjantów. Niektórzy z nich dziko i niezgrabnie podskakiwali jakby ktoś ich rozszarpywał pazurami. Kolejni stali w miejscu i desperacko usiłowali dosięgnąć czegoś z tyłu, podczas gdy jeszcze inni przyglądali się im pustym wzrokiem, oczywiście tylko do czasu, gdy Hoddan nie zwrócił swojego instrumentu także w ich kierunku.

Jeden z policjantów zrzucił spodnie i fenomenalnym skokiem przefrunął przez ogrodzenie, starając się uciec z zasięgu jakiegoś nieznośnego zjawiska. Inni próbowali go naśladować, ratując się ucieczką w różnych kierunkach. Niektórzy z policjantów zerwali spodnie jeszcze przed startem do biegu, inni próbowali zrobić to w jego trakcie. Ci ostatni zazwyczaj nie wychodzili na tym zbyt dobrze. W większości przypadków potykali się o spuszczone spodnie, zderzając się z innymi, przewracając się i kłębiąc na ziemi. Nad tym wszystkim unosiły się ochrypłe i straszliwie fałszywie brzmiące lamenty –– po prostu wyli pod niebiosa.

Hoddan poczekał aż zamieszanie osiągnie szczyty, nie pozostawiając nikogo na boku, a potem szybko zsunął się z drzewa i przyłączył się do gonitwy. Mając w górze za sobą oślepiające światło, udawał tylko, że zderza się z jedną postacią po drugiej. Raz aż jęknął, kiedy oparzył sobie palce. Ale wybiegł z uliczki, niosąc jako trofeum, tuzin zdobytych w zasadzce paralizatorów, w większości strasznie gorących.

Kiedy trochę ostygły, poutykał je za paskiem i po kieszeniach, oddalając się szeroką, trzypasmową ulicą. Z tyłu gliniarze zdali sobie sprawę ze stanu swoich spodni, a właściwie z ich braku, i płaczliwie prosili

mieszkańców pobliskich domów o zawiadomienie kwatery głównej o ich sytuacji.

Hoddan nie był jakoś szczególnie rozczarowany. Wydawało mu się nawet, że to konkretne wydarzenie może mu pomóc wydostać się z Waldena. Jeśli tak łatwo udało mu się opuścić Ambasadę, pomimo wysiłków policji, wskazywałoby to, że nie działa ona z najwyższą efektywnością. A ponadto człowiek, któremu właśnie spalono spodnie, nie jest zdolny do zbyt jasnego myślenia. Hoddan czuł, jak w jego głowie nieco wzrasta poczucie pewności siebie. Załatwił tę sprawę całkiem zgrabnie. Jonizacja zmieniała powietrze w wysoko-oporowy przewodnik, tak więc promień jonizujący mógł spowodować wysoko-oporowe zwarcie w zasobnikach energii paralizatorów. Przy mocy, jaką miał paralizator, zwarcie sprawiało, że zasobnik robił się naprawdę gorący. Razem z nim, cały paralizator. Faktycznie robił się on na tyle gorący, aby podpalić stykające się z nim ubranie. Co właśnie się stało.

Gdyby dało się ten efekt osiągnąć w zelówkach policyjnych butów, Hoddan mógłby wszystkim gliniarzom trochę przysmażyć stópki. Ale ponieważ nosili oni swe paralizatory w kaburach na biodrze…

Całą satysfakcję rozproszyła myśl o Neddzie. Wiadomość od niej mogła być czystą mistyfikacją, albo policja dowiedziała się o jej treści od służącej, która przyniosła ją do Ambasady. Warto byłoby się tego dowiedzieć. Ruszył w kierunku domu jej ojca. Jeśli pozostała w stosunku do niego lojalna… no cóż, to mogło znacznie skomplikować całą sprawę. Czuł jednak, że musi to sprawdzić.

Zbliżał się już do miejsca, gdzie mieszkała Nedda. Była to wyjątkowo luksusowa willowa dzielnica. Domy były duże, efektownie zaprojektowane, z olbrzymimi, wyjątkowo bujnymi ogrodami. Niebawem usłyszał przed sobą muzykę, graną przez żywych wykonawców. Podszedł bliżej. Stanął w miejscu, gdzie przechadzający się ludzie przystawali pod ulicznymi drzewami, aby posłuchać melodii i dźwięku głosów, które jej towarzyszyły. Muzyka i odgłosy zabawy dochodziły z domu, w którym mieszkała Nedda. Wyprawiała przyjęcie, wieczorem, tego samego dnia, w którym on został zamknięty w więzieniu, do końca życia.

To był prawdziwy wstrząs. Dookoła kręciło się mnóstwo najróżniejszych pojazdów, a samochody policyjne wylewały z siebie przed drzwiami morze gliniarzy. Tworzyli oni kordon wokół domu, a niektórzy z nich pukali do niego i pospiesznie byli wpuszczani. Hoddan kwaśno sam sobie skinął głową.

Jego ucieczka z Ambasady została więc już zauważona. Niemal na pewno, zgłoszono fiasko pułapki, w której przynętą była wiadomość od Neddy. Policja próbowała teraz zamienić całe miasto w pułapkę na niejakiego Brona Hoddana, tak więc najpierw sprawdzano najbardziej prawdopodobne miejsca, a później przeszukają inne możliwe miejsca, w których mógłby się znajdować. Jednocześnie, w tym samym czasie ściągają z innych miast posiłki gliniarzy, którzy aby go znaleźć, przeszukają każdy cal kwadratowy. I z całą pewnością podejmą pilne i jak najbardziej niezawodne środki zabezpieczające, przed jego powrotem do Ambasady.

Była to sytuacja, która jeszcze dzisiaj rano mogłaby Hoddana przerazić. Teraz jednak, pokręcił tylko głową ze smutkiem. Ruszył w drogę powrotną. Wpadł w kłopoty, próbując skłonić cywilizację przemysłową, do akceptacji czegoś, czego nie chciała –– technicznego ulepszenia standardowego urządzenia elektronicznego. Częściowo wygrzebał się z kłopotów, dając swoim ciemiężycielom to, czego zdecydowanie pożądali – – widok jego zwłok, po upozorowaniu samobójstwa, w celi aresztu śledczego. Wydostał się z Ambasady, znowu, dając strażnikom na zewnątrz widok tego czego usilnie pożądali –– postaci schodzącej w sekretny sposób po murze Ambasady. Być może zaczynał popadać w przesadę, ale jego sposób powrotu do Ambasady…

****

Nieopodal domu Neddy, dekoracyjnie umiejscowiona na rogu ulicy, stała budka bezpieczeństwa publicznego. Wszedł do środka. Oczywiście, nie było w niej żadnej obsługi. Był to po prostu wolno stojący kiosk, z którego można było wezwać gliniarzy, zgłosić pożar lub wypadek, niezależnie od regularnych komunikatorów domowych. Hoddanowi wydawało się, że władze planetarne będą wielce zobowiązane, jeśli usłyszą o zdarzeniu, które mogłoby wskazywać na jego obecność, właśnie w tym miejscu. Było wiele rodzajów służb publicznych, które powinny być zachwycone możliwością pracy na swoich własnych liniach. Były również pewne biura, które powinny wręcz skakać w górę z radości, mając szansę wykazania swojej sprawności.

Skorzystał ze swojego generatora mikrofal, który z tak niewielkiej odległości, powinien wywołać zwarcia we wszystkim, również w urządzeniach znajdujących się w budce. Było to bardzo proste do zrobienia, jeśli tylko wiedziało się jak to zrobić. Pracował z dużą dokładnością, robiąc zwarcie w tym elemencie, następnie w tamtym, co spowodowało wysłanie szaleńczego wezwania alarmowego, oczywiście całkowicie bezpodstawnego. Kiedy wyszedł z budki, energicznie powędrował w kierunku miejsca zorganizowanego spotkania.

Wkrótce w szmer nocnego miasta wplotły się zupełnie nowe odgłosy. Rozpoczęło się od słabego, niepewnego zawodzenia, gdzieś na peryferiach miasta. Wrzawa przemieszczała się w kierunku centrum, i w miarę zbliżania stawała się coraz głośniejsza. Składały się na nią jakby dźwięczące dzwonki, syreny i rożki sygnałowe, ostrzegające wszystkie prywatne pojazdy o tym, że trzeba usunąć się z drogi. Na estakadzie trasy szybkiego ruchu, warczące metalowe potwory śpieszyły z jęczącym podnieceniem. Po węższych, bocznych ulicach, śmigały małe pojazdy z proporcjonalnie głośniejszym zawodzeniem. Pojazdy policyjne wylały się ze swoich legowisk i mężnie zanurkowały w ciemność. Jednostki łączności odebrały sygnał alarmu i pruły powietrze nad miastem, aby udostępnić władzom spokojne zazwyczaj fale eteru.

Cały ten hałas i tumult zmierzał w kierunku jednego punktu. Zewnętrzne dzielnice miasta odzyskały już swój dawny spokój. Ale dźwięk pędzących pojazdów, jęczących natychmiast-z-drogi stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej zdecydowany, w miarę jak koncentrował się on w okolicach dużego otwartego placu, przy którym znajdowała się Ambasada Międzygwiezdna. Z każdej ulicy i każdej alei wlewały się na niego pojazdy strażackie. Pomiędzy nimi, i zza nich wyjąc głośno swe żądania pierwszeństwa pojawiały się i wyprzedzały je samochody policyjne. Razem z nimi jechały również pojazdy wszystkich możliwych służb, wszystkie przepełnione przekonaniem o swoim niezmiernym znaczeniu.

Pusty plac, rozpościerający się przed Ambasadą, był po prostu olbrzymi. Patrząc z każdego z jego krańców, stojący pośrodku pomnik Pierwszych Osadników, wyglądał jakby był zupełnie malutki. Ale nawet ta gigantyczna przestrzeń wypełniła się całkowicie samochodami i pojazdami każdego możliwego do wyobrażenia rodzaju, od potężnych samochodów gaśniczych, które mogły wyrzucać strumienie wody na wysokość czterystu stóp, aż do miniaturowych samochodów naprawczych Pogotowia Energetycznego. Samochody alarmowe pracowników służb przeciwpożarowych, policyjnych i sanitarnych tłoczyły się i zderzały błotnikami, z pojazdami Zieleni Miejskiej, przygotowanymi do usuwania powalonych drzew czy też samochodami komunikacji publicznej, gotowymi użyczyć stentorowych tonów swoich megafonów każdemu głosowi władzy.

Nie było tam jednak żadnego zagrożenia, za wyjątkiem tego, że nie ma zagrożenia. Nie było pożaru. Nie było rozruchów. Nie było nawet bezpańskich psów, za którymi mogłyby pogonić pojazdy hycli, ani pękniętych arterii wodnych, które technicy wodociągów miejskich mogliby odciąć i zreperować. Dla nikogo nie było nic do roboty, poza wypytywaniem wszystkich innych, co u diabla tutaj robią, i nieustannego przeklinania na wszystkich innych, że korkują drogę.

****

Zgiełk zbliżających się klaksonów i syren, ucichł po przyjeździe ostatniego pojazdu, zastąpiony przez rosnący szmer przekleństw. Pojawił się jeszcze jeden ambulans, który zdecydowanie wyjechał z bocznej alei, stanowczo zmierzając w kierunku konkretnego miejsca, tak jakby dokładnie wiedział, po co się tutaj pojawił. Kiedy był blokowany, trąbił niecierpliwie domagając się przejazdu. Jego światła migotały gwałtownie czerwienią zmuszając do oczyszczenia drogi. Gigantyczny samochód strażacki szybko usunął się na bok. Ambulans dojechał do grupy samochodów policyjnych, wyjąc im syreną. Usunęły mu się z drogi. Trąbił na zbierających się zirytowanych ludzi, którzy wysiedli z poszczególnych pojazdów. Utorował sobie przez nich drogę. Zmierzał w prostej linii ku bramie Ambasady Międzygwiezdnej.

Ambulans dotoczył się energicznie w pobliże bramy Ambasady. Tam zatrzymał się. Z fotela kierowcy zeszła jakaś postać, i śmiało ruszyła piechotą, w kierunku bramy.

Potem przez pewien czas nic się nie działo, dopóki z ambulansu, z siedzenia za kierowcą nie wytoczyła się i nie upadła na ziemię jakaś inna postać. Postać kopała nogami i wiła się na ziemi. Po chwili podszedł do niej policjant, żeby sprawdzić, co się stało.

Był to kierowca ambulansu. Nie ten, który go prowadził w drodze do bramy Ambasady, ale ten właściwy. Miał związane ręce i nogi, był niezbyt mocno zakneblowany. Po uwolnieniu klął niesamowicie i wysapał, że został porwany i związany przez kogoś, kto powiedział, że nazywa się Bron Hoddan i musi natychmiast wrócić do Ambasady Międzygwiezdnej.

Nie wywołało to specjalnego zamieszania. Ci, którym nazwisko Hoddana coś mówiło, zaniemówili wręcz ze wściekłości. Furia policji sięgnęła nawet łez.

Ale Bron Hoddan wtedy siedział już bezpiecznie, w przydzielonej mu kwaterze w Ambasadzie. Wyjął ze najróżniejszych kieszeni tuzin zimnych już paralizatorów, i wysłał ambasadorowi wiadomość, że wrócił, oraz że notatka pozornie pochodząca od Neddy, była w rzeczywistości policyjną pułapką.

Przygotowując się do odpoczynku, jeszcze raz przeanalizował swoją sytuację. Pod pewnymi względami, nie była wcale aż taka zła. Ale udział Neddy w próbie ujęcia go, i urządzenie przyjęcia w tę samą noc… Z przygnębieniem wpatrywał się w ścianę. Wtedy zorientował się, że tak właściwie, to ona mogła nawet nic nie wiedzieć o jego aresztowaniu. Żyła przecież niemal zupełnie pod kloszem. Jej ojciec mógł polecić, aby utrzymywano ją w pełnej ignorancji…

Natychmiast wpadł w euforię. To mogła być jego ostatnia noc na Walden, jeśli oczywiście dopisze mu szczęście, ale pewne mgliste plany już zaczęły mu krążyć po głowie. Tak… Jeśli dokona wspaniałych rzeczy, stanie się bogaty, wróci tutaj i poślubi Neddę, tę cudowną dziewczynę i zostanie wielkim człowiekiem. Już wcześniej, dzisiaj, zrobił wiele rzeczy, którymi można się pochwalić, i to generalnie wykonał je całkiem nieźle.

III

Kiedy nad stolicą planety Walden wstał świt, widok był naprawdę uroczy. Wszędzie dookoła widać było jaśniejące wieżowce i krzyżujące się obsadzone drzewami drogi, ponad którymi wzlatywała tłumnie niezliczona ciżba ptaków. Sam świt był zapowiadany przez ich wszechobecny świergot i szczebiot. Tłumił on wyraźnie słyszalny w nocy, w całym mieście, niski szumiący dźwięk. Był to odgłos pracy sieci lądowniczej z portu kosmicznego, sprowadzającej na dół liniowiec o ładowności dwudziestu tysięcy ton, przybyły z Rigela, Cetis i Wewnętrznego Pogranicza. Wkrótce poleci on w dalszą drogę, na Krym, Darth i do Gwiazd Worka Węgla, i jeżeli Hoddan będzie miał szczęście, to powinien się w nim znaleźć.

W bramie ogrodzenia Ambasady, jej pracownicy układali na stos różne skrzynie, bele i paki, aby przetransportować je do portu kosmicznego, a stamtąd do różnych miejsc przeznaczenia, których nazwy brzmiały niemal jak pieśni. Były tam przesyłki na Delil, gdzie Międzygwiezdna Służba Dyplomatyczna miała w tym sektorze swoją centralę, były też pakiety ostemplowanych przez ambasadę faktur na Lohalę, Tralee i Famagustę. Były skrzynie na Sind i Maję, oraz metalowe kasetki na Kent. Dawni badacze tego rejonu galaktyki ponadawali wielkim gwiazdom nazwy małych wiosek i regionów na Ziemi, z których mniej niż jedna osoba na dziesięć tysięcy, w ogóle kiedykolwiek ujrzała je na oczy.

Hałas układanych pak z ładunkiem, w porannej ciszy, brzmiał wyraźnie i donośnie. Rosa zbierająca się w czasie nocy nie wyparowała jeszcze z nawierzchni placu. W pobliżu wałęsały się jakieś mokre i nieszczęśliwe postaci. Byli to oczywiście tajni funkcjonariusze policji, dotąd jeszcze nie zwolnieni po nocnej służbie wokół nieprzystępnych murów Ambasady. Chciało im się spać, wilgotne ubrania lepiły im się do ciała, a żaden z nich nie miał nic ciepłego w żołądku już od wielu godzin. Nie mogli też oczekiwać niczego dobrego, ze strony swoich przełożonych.

Hoddan znów był bezpieczny w środku Ambasady, której tak nieskutecznie pilnowali w ciemnościach. Wydostał się z niej, pomimo ich obecności, spowodował że wielu z ich kolegów długo jeszcze będzie siadać z wyraźną niechęcią, a potem ośmieszył całą policję i władze miejskie sposobem w jaki wrócił. Policjanci pełniący straż wokół Ambasady z całą pewnością nie byli w dobrym nastroju. Jeden z nich dostrzegł jednak znajomego pracownika Ambasady. Wiedział, że mężczyzna pije, i wykorzystał to kiedyś do nawiązania kontaktu, który teraz może okazać się użyteczny. Przylepił na usta uśmiech i skinął na niego.

Pracownik Ambasady energicznie podszedł do niego, rozcierając ręce po położeniu na wierzchołku stosu niezbyt ciężkiego pudła z dokumentami.

– Ten Hoddan – powiedział tajniak, próbując szczerego żalu – dał nam w kość ostatniej nocy!

Służący przytaknął.

– Słuchaj – powiedział tajniak, – mogłoby z tego coś dla ciebie skapnąć, jeśli… hmmm… chciałbyś zarobić trochę dodatkowej forsy.

Służący popatrzył z żalem.

– Nie ma na to szans – powiedział. – On dzisiaj wyjeżdża.

Tajniak aż podskoczył.

– Dzisiaj?

– Na Darth – powiedział służący. – Ambasador ma go wysłać tym liniowcem kosmicznym, który przyleciał ostatniej nocy.

Tajniak zadrżał z przejęcia.

– W jaki sposób ma zamiar dotrzeć do portu kosmicznego?

– I tak bym nie wiedział – powiedział służący. – Coś tam wykombinowali. Wystarczy, żeby dostać trochę tej ekstra forsy?

Ociągał się jeszcze przez chwilę, ale tajniak tylko gapił się na niewinne, nienaruszalne paczki, które wyjeżdżały z Ambasady do różnych odległych miejsc przeznaczenia. Zastanawiał się nad ich rozmiarami i opisami. Nie. Jeszcze nie. Ale jeśli Hoddan miał wyjechać, musiał opuścić Ambasadę. Kiedy zaś już opuści Ambasadę…

****

Tajniak, pędząc ze wszystkich sił, pobiegł na bok, w spokojne miejsce. Zdyszany natychmiast zdał raport, korzystając z przenośnego komunikatora, w który został wyposażony do takich właśnie celów. Przekazał wszystko co opowiedział mu pracownik Ambasady, wnioski jakie można z tego wyciągnąć, nasuwające się podejrzenia. Na tym skończył zwięzły meldunek. Wkrótce z powrotem przez komunikator otrzymał nowe rozkazy. Rozkazy zresztą rozsyłane były jednocześnie, we wszystkich kierunkach. Ktoś miał się wyróżnić chwytając Hoddana, i nieznani bliżej politycy próbowali zdecydować, kto to ma być. Nawet robota strażnika na zewnątrz Ambasady, nagle stała się bardzo pożądana. W trybie alarmowym przybyli nowi tajniacy. Przejęli obowiązki. Byli wypoczęci i gęsto rozstawieni. Zmęczeni, głodni ludzie zdawali posterunki. Szli do domu. Tajniak, który zdobył ten niezawodnie pewny trop, także szedł do domu, utyskując nieco, ponieważ obawiał się, że nie będzie miał swojego udziału w zasługach schwytania Hoddana. Miał jednak nadzieję że później jego wkład zostanie doceniony.

W Ambasadzie Hoddan kończył właśnie śniadanie, spożywane w towarzystwie ambasadora.

– Daję panu – powiedział ambasador, – list do tego osobnika na Darth. Mówiłem panu już o nim. Jest kimś w rodzaju szlachcica i potrzebuje inżyniera elektronika. Na Darth jest ich na tyle mało, że właściwie, można powiedzieć, że nie ma ich w ogóle. Jednak ten list nie był zbyt szczegółowy.

– Pamiętam – zgodził się Hoddan. – Przyjrzę się sytuacji, na miejscu. Dziękuję.

– Jakoś – stwierdził ambasador, – żywię w stosunku do pana irracjonalne nadzieje, Hoddan. Psycholog powiedziałby, że paska identyfikacja grupowa jest niewielka, pańska zmienność nastrojów praktycznie ujemnej jakości, pańska zdolność koncentracji, przyjemnie wysoka. To oznacza, że przy odrobinie szczęścia może pan rozpętać większe piekło niż inni. Życzę panu tej odrobiny szczęścia. I, Hoddan…

– Tak?

– Nie nalegam na to, aby poświęcił pan swoje życie zemście – wyjaśnił ambasador. – Mam jednak nadzieję, że nie wybacza pan zbyt łatwo, tego rodzaju osobnikom, jak ci którzy chcieli zamknąć pana na resztę życia w więzieniu. Wystraszył ich pan śmiertelnie. To im bardzo dobrze zrobi. Gdyby mógł pan kiedyś uczynić cokolwiek więcej w tym kierunku, to byłaby to w stosunku do nich prawdziwa uprzejmość, chociaż niestety podobnie jak poprzednio, stanowczo nie zostałaby ona doceniona. Ale naprawdę warto by się nad tym zastanowić… Mówię to, ponieważ podoba mi się sposób w jaki planuje pan swoje działania. I zawsze, kiedy tylko będę mógł służyć…

– Dziękuję – powiedział Hoddan, – ale lepiej będzie, jeśli udam się już do portu kosmicznego. – Zdecydował, że do Neddy, napisze z Darth. – Idę wszystko przygotować.

Podniósł się. Ambasador również wstał.

– Lubię sposób w jaki planuje pan swoje sprawy – powtórzył z uznaniem. – Sprawdźmy lepiej tę skrzynię.

Razem wyszli z jadalni Ambasady.

****

Kiedy Hoddan, razem z ambasadorem, kończyli wspólne śniadanie, było już dobrze po wschodzie słońca, a czujni i sprytni tajniacy, na zewnątrz, byli już bardzo podekscytowani. Światło dnia, do tej pory, straciło już swój poranny, purpurowy odcień i rosnące wokół miasta drzewa nabrały koloru soczystej zieleni, a niebo odpowiednio błękitnej barwy –– takiej jak na wszystkich planetach zajmowanych przez ludzi. Na ulicach zaczęły pokazywać się już pierwsze samochody i przechodnie. W wielu przypadkach był to codzienny, zwykły ruch uliczny. W niektórych jednak miał on specjalny charakter.

Przykładem mogły być tu ciężarówki, które przyjechały, aby przewieźć przesyłki z Ambasady do portu kosmicznego. Były to zupełnie normalne ciężarówki, wynajęte w najzupełniej normalny sposób, przez sekretariat ambasadora. Przetoczyły się powoli przez plac, a następnie bramę Ambasady. Ostentacyjnie snujący się w pobliżu tajniacy, mogli bez przeszkód przyglądać się, jak leżące na stosie paczki, są na nie po kolei ładowane. Ładunek pierwszej ciężarówki nie wzbudził żadnych podejrzeń.

Wśród mnóstwa paczek nie było żadnej, w której mógłby zmieścić się człowiek, nawet gdyby skulił się w najbardziej niewygodnej pozycji.

Policjanci nie chcieli jednak uciekinierowi dać żadnej, najmniejszej nawet szansy. Gdzieś, około dziesięć bloków za Ambasadą, gliniarze zatrzymali ciężarówkę pod pretekstem sprawdzenia prawa jazdy i karty identyfikacyjnej kierowcy oraz jego pomocnika. Ślimaczyło się to wyjątkowo długo. Podczas trwania kontroli, tajniacy sprawdzali paczki przewożone przez ciężarówką, osłuchując stetoskopami wszystkie, które miały więcej niż stopę sześcienną objętości.

Odprawili ciężarówkę kiwnięciem ręki. W międzyczasie załadowana została druga ciężarówka. A przyglądający się temu ostentacyjni snuje, zauważyli, że jednym z ostatnich włożonych na nią ładunków, była duża skrzynia, której wcześniej jakoś nie było widać, w stosie leżących bagaży. Przenoszono ją z wyraźną ostrożnością, oznaczona była jako ładunek delikatny, wrażliwy na uszkodzenia, a kiedy ustawiono ją na swoje miejsce, szybko poobkładano ją innymi pakunkami.

Tajniacy spoglądali po sobie, z nieukrywaną radością. Jeden z nich natychmiast przesłał informację o wypatrzonej dużej pace, niemal z poetycką werwą. Kiedy druga ciężarówka opuściła Ambasadę, niemal znikąd pojawił się za nią samochód policyjny, niewinnie, niby to przypadkowo, jadący tą samą drogą. Dziesięć bloków dalej, druga ciężarówka z ładunkiem paczek z Ambasady, została również zatrzymana i sprawdzono prawo jazdy i dokument tożsamości jej kierowcy. Jeden z tajniaków przyłożył do podejrzanej paki stetoskop. Po chwili rozpromienił się wręcz i wysłał umówiony sygnał.

Ciężarówka odjechała, podczas gdy szczegółowo przygotowane makiaweliczne plany, zaczęły przynosić odpowiednie efekty.

Pięć bloków dalej, nioznakowana pusta ciężarówka wyjechała gwałtownie z bocznej ulicy, uderzyła w bok ciężarówki z Ambasady i nie zatrzymując się uciekła z miejsca całego zdarzenia. Jadący z tyłu samochód policyjny nawet nie podjął próby pościgu. Zamiast tego troskliwie zatrzymał się, aby pomóc ciężarówce, która została uderzona. Miała poważnie uszkodzone koło. Tak więc umundurowani policjanci, z wyraźnie zadowolonym wyrazem twarzy, oczyścili teren wokół stojącej ciężarówki, pilnując paczek z pieczęciami dyplomatycznymi. Z gorliwą troskliwością, posłali po inny transport, do przewozu ładunku Ambasady.

Ze środka stosu pak pilnowanego ładunku doleciało wyraźnie słyszalne kichnięcie, i policjanci zaczęli sobie ściskać nawzajem ręce i gratulować. Kiedy podjechała zastępcza ciężarówka –– pojawiły się tam nawet dwie –– załadowali jedną do pełna pakunkami z Ambasady i odesłali, z błogosławieństwem, do portu kosmicznego. Pozostawili tylko jedną, jedyną, dużą skrzynię, aby włożyć ją na drugi pojazd. Po drodze upuścili ją na ziemię, a ze środka dał się słyszeć zaskoczony jęk.

Kiedy policjanci ostrożnie ładowali wielką skrzynię na drugą ciężarówkę, w całej ich ekipie, panowała atmosfera sztubackiej zabawy, a gdy ciężarówka potoczyła się już dalej, zaczęli obwieszać się girlandami i wieńcami. Jakimś dziwnym trafem, ciężarówka nie skierowała się bezpośrednio do portu kosmicznego. Policjanci skrupulatnie wyjaśniali to

sobie wzajemnie podniesionymi głosami. Ponieważ niektórzy z nich obawiali się, że skrzynia nie słyszała, więc pukali w nią palcami. Skrzynia nagle rozkaszlała się, co wydawało się niesamowicie bawić wszystkich obecnych w ciężarówce policjantów, wyraźnie zaskoczonych faktem, że pudło z ładunkiem może kaszleć. Szyderczo wyrażali swoje głębokie zdziwienie i –– zwracając się do skrzyni –– wyjaśniali, że zabierają ją do budynku aresztu, gdzie znajdzie się dla niej trochę syropu na kaszel.

Skrzynia zaczęła na nich przeklinać z rozpaczą. W odpowiedzi zanosili się sztubackim śmiechem i wyciem, zapewniając pakunek, że po otworzeniu jej i zaordynowaniu syropu przeciwkaszlowego bardzo ostrożnie zamkną ją z powrotem –– uważając aby nie naruszyć pieczęci dyplomatycznych –– i dostarczą do portu kosmicznego, tak by mogła wyruszyć w dalszą drogę.

Skrzynia ponownie odezwała się, tym razem kusząc błagalnymi obietnicami. W odpowiedzi wiozący ją samochód przyśpieszył. Skrzynia kołysała się, podskakiwała i huśtała w rytm ruchów pojazdu, podobnie jak zebrani wokół policjanci. Dobiegały z niej coraz bardziej rozpaczliwe, gniewne i nie nadające się do publicznego powtórzenia, słowa.

Policjanci byli wręcz oczarowani. Nawet pomimo tak wczesnej pory, wydawało się jakby mieli ochotę wybuchnąć śpiewem. Kiedy bramy aresztu miejskiego otworzyły się przed nimi, a następnie zamknęły za nimi, na dziedzińcu czekał już cały komitet powitalny. Obejmował on strażnika więziennego z obandażowaną ręką i mściwą satysfakcją na twarzy, oraz nie mniej niż trzech innych strażników, którzy mieli tę wątpliwą przyjemność, zażycia kąpieli z wysokociśnieniowego węża przeciwpożarowego, kiedy Bron opuszczał swoją celę. Miny na ich twarzach, również były wyjątkowo niesympatyczne.

Po chwili, w rytm coraz bardziej rozpaczliwych przekleństw, rzucanych przez skrzynię, jeden ze strażników ostrożnie poluzował deskę –– uważając, żeby nie uszkodzić pieczęci dyplomatycznych –– i odrzucił ją w geście tryumfu. Dopiero wtedy wszyscy policjanci nareszcie mogli zajrzeć do środka. Oczywiście bezzwłocznie to zrobili.

Cisza która potem zapadła wokół samochodu, była niemal kompletna. Właściwie to można było nazwać ją martwą, jako że rozpraszana była jedynie przez głos dochodzący ze znajdującego się w skrzyni dwukierunkowego komunikatora.

– A teraz – oznajmił głos z wnętrza skrzyni, i dopiero wtedy wszyscy obecni na dziedzińcu, zorientowali się, co skrywało się za zasłoną z mocnych desek, że wszystkie przekleństwa, kichnięcia, kaszlnięcia, dolatywały z głośnika, – na pożegnanie przesyłamy najserdeczniejsze życzenia dla planety Walden i jej wspaniałych sił policyjnych, które machają nam na pożegnanie, gdy nasz liniowiec kosmiczny wzlatuje w niebo. Następnym dźwiękiem, jaki państwo usłyszą, będzie ich lament w powodu naszego odlotu.

Następnym dźwiękiem było jednak raczej wycie furii. Policja była bardzo, bardzo mocno rozczarowana faktem, że w skrzyni znajdował się nie Hoddan, ale tylko dwukierunkowy komunikator, zaś sam Hoddan

kaszlał, kichał i przeklinał na nich z innego urządzenia, w zupełnie innym miejscu. Teraz mógł się już rozłączyć.

****

Tak naprawdę, to liniowiec jeszcze nie wystartował. Ciągle stał pewnie i mocno na ziemi, pośrodku sieci lądowniczej. Hoddan przesłał pożegnalne pozdrowienia dla swoich słuchaczy, z podłogi samochodu terenowego ambasadora, który w tej chwili stał już bezpiecznie w obrębie eksterytorialnej strefy wokół statku kosmicznego. Wyłączył nadajnik, podniósł się na nogi i zaczął się otrzepywać. Wysiadł z samochodu. Ambasador wyszedł za nim i uścisnęli sobie ręce.

– Punkt dla pana – spokojnie stwierdził ambasador. – Czasami działa pan jak natchniony. Ma pan przy tym naprawdę dar wprawiania w furię organów władzy. Powinien pan zawsze działać w ten sposób. Może pan daleko zajść!

Uścisnął mu ponownie rękę i obserwował jak Hoddan zmierza w stronę windy, która powinna go dowieźć –– i dowiozła go –– do włazu wejściowego liniowca kosmicznego.

Dwadzieścia minut później pola siłowe gigantycznej sieci lądowniczej delikatnie wyniosły liniowiec w przestrzeń kosmiczną. Statek o ładowności dwudziestu tysięcy ton został leciutko umieszczony w odległości pięciu średnic planety, gdzie naprężenia przestrzeni są już na tyle małe, aby jego napęd Lawlora mógł podjąć działanie. Tam statek wepchnął się do kolejki oczekujących, a później wszyscy pasażerowie i członkowie załogi, odczuli to osobliwe chwilowe zakłócenie działania wszystkich zmysłów, które było efektem włączenia pola hipernapędu. Po chwili wszystko stało się znów normalne, poza tym, że liniowiec pędził w kierunku planety Krym z szybkością nieco wyższą niż trzydziestokrotna prędkość światła.

W całej galaktyce, a przynajmniej w jej części, do tej pory zasiedlonej przez ludzi, z wolna rozprzestrzeniała się normalność. Co prawda były światy na których panował pokój i światy na których panował potworny zamęt. Były światy młode, energiczne i zapracowane, ale były również powolne, stare i znużone. Tym niemniej od Wewnętrznego Pogranicza do najdalszych zajętych systemów, planety krążyły wokół swoich słońc, na planetach mieszkali ludzie, a każdy człowiek brał swoją osobę niezmiernie poważnie, i nie całkiem wierzył, że wszechświat istniał przed jego narodzeniem i przetrwa długo po jego śmierci.

Czas mijał. Komety przelatywały pysząc się potężnymi ogonami, przypominającymi welony panien młodych, mknąc przez przestrzeń w kierunku i dookoła swoich słońc. Niektóre z nich –– jedna na dziesięć lub dwadzieścia tysięcy –– mogły być oglądane przez ludzkie oczy. Liniowiec niosący Hoddana pędził poprzez pustkę kosmosu.

Sekwencję lądowania na planecie Krym statek wykonał dokładnie o czasie. Hoddan zszedł na ląd i oglądał miasto w którym znajdował się port kosmiczny. Było młode i pełne życia, z wysokimi budynkami, korkami

ulicznymi i gorączkowym przekonaniem, że celem życia jest zarobienie w tym roku jeszcze większej ilości pieniędzy niż w zeszłym. Sam port kosmiczny był chaotycznie zajęty. Hoddan miał czas jedynie na szybką wycieczkę tylko do jednego miasta, i próbę oceny, czego ludzie na takiej planecie byliby pewni że chcą. Obejrzał sobie zarówno slumsy jak i wspaniałe budynki publiczne, i wrócił do portu kosmicznego oraz do liniowca, który wkrótce zaczął unosić się coraz wyżej, na polach siłowych sieci lądowniczej, aż do chwili gdy Krym stał się wielką okrągłą kulą, leżącą daleko w dole. Powtórnie trzeba było się wepchnąć do kolejki, liniowiec zamrugał znikając z pola widzenia i znów podróżował trzydziestokrotnie szybciej niż światło.

Tym razem również minęło trochę czasu. W jednej z odległych galaktyk rozbłysła supernowa, a na skalistym, nieurodzajnym świecie wiło się malutkie żywe stworzonko –– a dla ludzkości to pierwsze zdarzenie było równie nieistotne jak i to drugie.

Teraz jednak liniowiec z Krymu i z Waldena pojawił się na niebie Darth, jako najmniejsza z błyszczących perłowych plamek na morzu błękitu. Na północ, na wschód i na zachód od portu kosmicznego wznosiły się poszarpane, strome i urwiste góry. Tu i tam widać były łaty śniegu, śmiało wyrastały ostrogi nagich skał i bezdenne przepaście. Ale wszystkie łagodniejsze zbocza porośnięte były drzewami, a pomimo tego na planecie nie było branży drewnianej z prawdziwego zdarzenia.

Mały punkcik liniowca, którym przyleciał Hoddan, stawał się coraz większy, w miarę jak statek opadał w kierunku sieci lądowniczej. Sama sieć była monstrualną kratownicą ze stali, wysoką na pół mili, otaczającą okrąg o podobnej średnicy. Wypełniała niemal zupełnie większą część płaskiego dna doliny, i pasły się w niej rogate *duryas*, i jakieś inne stworzenia, które, jak później dowiedział się Hoddan, były końmi. Zwierzęta zupełnie nie zwracały uwagi na głęboki głośny szum, wydawany przez sieć w trakcie jej pracy.

Statek wydawał się mieć już wielkość ziarenka grochu. Niebawem powiększył się do rozmiarów jabłka. Potem osiągnął wielkość piłki do koszykówki, i wreszcie rozrósł się niebywale i wysunął pajęcze metalowe podpory, zakończone dużymi płaskimi talerzami, opadł na dół i łagodnie osiadł na ziemi. Szum sieci ucichł.

****

Wszędzie dookoła rozpoczął się harmider pokrzykiwań. Trzaskały baty. Wytężając wszystkie swoje siły i potrząsając rogami, *duryas* dostojnym krokiem przenosiły i przeciągały różne towary, transportując je pomiędzy statkiem i magazynami umiejscowionymi pod łukami sieci. Dookoła widać było ze dwadzieścia *duryas*, które pomimo krzyków i trzaskania batem, poruszały się z uporczywą powolnością. Przewiezienie każdego ładunku z magazynu pod statek kosmiczny, przy pomocy wielkich wozów z szerokimi kołami, zajmowało całe mnóstwo czasu. Jeszcze dłużej, i to wyraźnie,

trwało to wszystko, gdy któreś z kół utknęło w nierówności terenu. Trzeba było wówczas wyprzęgać zwierzęta i ustawiać tak, aby dwa zaprzęgi mogły ciągnąć razem jeden ładunek.

Kolejne krzyki i trzaskania batem. Na długim ramieniu uniosła się w górę ukośna, drabiniasta rampa. Chybotała się na wszystkie strony, a na samym jej końcu wjeżdżał człowiek w jaskrawo purpurowym płaszczu. Wrota śluzy powietrznej statku otworzyły się i ktoś z załogi rzucił linę. Człowiek w purpurowym płaszczu schwycił ją, a następnie solidnie umocował. Natychmiast zaczęto ją wciągać do środka statku. Po kilku chwilach koniec rampy ładunkowej, dotknął progu śluzy powietrznej. Jeden z marynarzy szybko ją przymocował i człowiek w purpurowym płaszczu tryumfalnie wkroczył na pokład.

Nastąpiła chwila przerwy. Ludzie rozładowywali wozy z towarem wysyłanym na odległe, często nawet trudne do wyobrażenia planety. Bron Hoddan przeszedł ze śluzy powietrznej na rampę ładunkową i powoli schodził na powierzchnię planety. Był jedynym pasażerem, który przyleciał na Darth. Niemal zszedł już na stały ląd, gdy zaczęły za nim zjeżdżać ładunki. Jego własny bagaż osobisty, prezent od ambasadora, a następnie paczki, bele, skrzynie i inne, trudne nawet do określenia pakunki, wymagające specjalnego traktowania. Szpule z kablami, długie taśmy tworzyw sztucznych, zwoje nawleczonych na linki drobnych elementów. Pojemniki z płynami, które mogły zawierać wszystko: od wina do paliwa. Przepływ ładunków trwał niecałe pięć minut. Darth nie był ważnym centrum handlowym.

Hoddan z niedowierzaniem wpatrywał się w miasteczko rozciągające się po jednej stronie sieci lądowniczej. Było to naprawdę bardzo małe miasteczko, nieomal wioska. Domy miały ostre, spadziste dachy, niektóre pokryte były dachówką, inne jednak wydawały się mieć strzechy. Budynki pochylały się nad wąskimi uliczkami, które nawet nie były wybrukowane. Wyglądało na to, że zbudowano je z błota. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać żadnych mechanicznych pojazdów drogowych, podobnie również żadnych maszyn w powietrzu.

Pod rampę ładunkową podjeżdżały wielkie wozy. Zrzucano z nich bele skór oraz sztaby metalu, i znowu skóry oraz metal. Ładunki wnoszone były do śluzy powietrznej znikając w ładowniach. Na Hoddana nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Wydawało się, ze bez specjalnego problemu mógłby wmieszać się w tłum przy rampie ładunkowej i z powrotem wejść na statek.

Proces załadunku jednak powoli zmierzał ku końcowi. W włazie, znowu pojawił się człowiek w purpurowym płaszczu, który przedtem wjechał na górę na kołyszącej się rampie, i dostojnie krocząc zszedł na ziemię. Ktoś na statku odrzucił rampę. Liny skręciły się, opadły i obwisły luźno. Wrota śluzy powietrznej statku zostały zamknięte.

W powietrzu rozległ się potężny szumiący odgłos. Statek zaczął powoli wzbijać się do góry. Przez chwilę unosił się nad grupą *duryas* i ludzi stojących pośrodku obszaru sieci. Ale nie wisiał bez ruchu. Malał. Leciał w niebo dokładnie pionowo. Skurczył się do rozmiaru piłki do koszykówki, a potem jabłka. Następnie do rozmiaru ziarnka grochu. A potem ten groszek

stawał się coraz mniejszy, aż do chwili gdy statek kosmiczny z Krymu, Waldena, Cetis, Rigela i Wewnętrznego Pogranicza zmalał do rozmiarów drobinki pyłu, i wkrótce w ogóle nie można było go już dojrzeć. Wiadomo było jednak, że teraz poleci do Lahali, Tralee, Famagusty i Gwiazd Worka Węgla.

****

Hoddan wzruszył ramionami i powlókł się w stronę magazynów. Ciągnięta przez *duryas* rampa załadowcza, powoli potoczyła się w tym samym kierunku. Na wozy i furmanki pośpiesznie pakowano materiały rozładowane ze statku. Posuwające się z mozołem i skrzypiące, w rytm opadania i wznoszenia się krzywych rogów *duryas*, wozy, dogoniły Hoddana, a potem go minęły. Na jednej z furmanek spostrzegł jadący swój bagaż okrętowy. Rzeczy te były podarunkiem od Ambasadora Międzygwiezdnego na Walden. Zapewnił Hoddana, że ma odpowiednie fundusze na pomoc dla uchodźców politycznych, oraz że ta torba i jej zawartość są czymś normalnym. A jako dodatek do podarowanych mu ubrań, Hoddan przywiózł ze sobą jeszcze kilka paralizatorów, uprzednio pozostających na wyposażeniu departamentu policji stolicy planety Walden.

Ruszył więc za swoim bagażem w stronę magazynu. Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył swoją torbę otoczoną przez grupę podejrzanych wąsatych Darthian, ubranych tylko w zbyt luźne spodnie i duże pochwy na noże. Otworzyli jego torbę i właśnie byli w trakcie namiętnej dyskusji, dotyczącej tego, kto, co, może sobie zabrać, z jej zawartości. Właśnie gorąco dyskutowali nad paralizatorami, które wyglądały na broń, ale najwidoczniej nią nie były, ponieważ po naciśnięciu spustu nic się nie działo. Hoddan skrzywił się. W czasie podróży paralizatory znajdowały się w bagażniku liniowca. Normalnie ładowane były, poprzez pobór mocy, z transmisji energii na Waldenie, ale ani liniowcu, ani tym bardziej na Darth żadnej transmisji energii nie było. Tak więc, ich zasilacze rozładowały się i chwilowo paralizatory były zupełnie bezużyteczne. Ten w jego kieszeni, niestety, również nie nadawał się do użytku.

Skrzywił się ponownie i skręcił do budynku, w którym musiały znajdować się urządzenia sterujące siecią lądowniczą. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Wnętrze była zadymione i nieco cuchnące, ale wyposażenie sterowni wyglądało na całkiem znajome. W środku siedziało dwóch nieogolonych mężczyzn, w koszulach o zabójczych kolorach, leniwie grających w karty. Tylko trzeci, rudowłosy, zwracał jakąkolwiek uwagę na urządzenia obsługujące sieć lądowniczą. Obserwował tarcze przyrządów. Kiedy Hoddan tam wszedł, przerzucił właśnie jakiś przełącznik i ziewnął. Statek znajdował się w odległości pięciu średnic planety od Darth, i uwalniał się już z pól sieci lądowniczej. Odwrócił się i zobaczył Hoddana.

– Czego do diabła tu chcesz? – zażądał szorstko.

– Kilku kilowatów energii – powiedział Hoddan. Maniery rudzielca nie należały do zbytnio uprzejmych.

– Wynocha stąd! – warknął.

Transformatory, a dalej poskręcane kable, prowadziły do przekaźników na zewnątrz, dla Hoddana było to jasne i oczywiste. Pewnym krokiem ruszył w kierunku szczególnie dobrze mu znajomego panelu, wyciągnął swój paralizator i energicznie szarpnął za końcówkę łącza zasilania. Wepchnął wtyczkę pistoletu do kontaktu, z dwoma dodatkowymi końcówkami, służącymi do innych celów, i na broni rozjarzyła się niebieskim, ciągłym światełkiem, mała kontrolka.

– Wyłącz to! – wrzasnął rudowłosy. Nieogoleni mężczyźni przerwali swoją grę w karty. Jeden z nich podniósł się, nieprzyjemnie się uśmiechając.

Paralizator kliknął. Hoddan wyłączył go z gniazda zasilającego, wepchnął wtyk ładowania i odwrócił się w kierunku trzech mężczyzn. Dwu z nich, nagle, rzuciło się na niego: rudowłosy i nieprzyjemny uśmiechacz.

Świsnął wystrzał paralizatora. Rudowłosy zawył. Dostał prosto w rękę. Jego nieogolony towarzysz zwinął się w kłębek i upadł na podłogę. Trzeci z mężczyzn uskoczył w panice do tyłu, automatycznym ruchem wznosząc ręce w geście poddania.

Hoddan nie widział potrzeby dalszych działań. Łaskawie skinął głową i wyszedł z budynku dyspozytorni, trzymając w dłoni naładowany pistolet. W magazynie nad jego rzeczami ciągle szalała burzliwa dyskusja. Energicznie wszedł do środka. Nikt nawet nie spojrzał na niego. Celowe przywłaszczanie niestrzeżonej własności, ewidentnie było tu normą społeczną. Człowiek w purpurowym płaszczu upierał się gniewnie, że jest darthiańskim dżentelmenem, i musi dostać swój udział, albo…

– Te rzeczy – oświadczył Hoddan, – należą do mnie. Proszę mi je natychmiast oddać.

Twarze, które odwróciły się w jego stronę, wyrażały czysty szok i zaskoczenie. Człowiek w brudnych, żółtych portkach wstał z kompletem bielizny Hoddana i parą jego butów. Z wielką godnością ruszył do wyjścia.

Zabrzęczał paralizator. Facet podskoczył, zawył i uciekł. Hoddan trafił go niezbyt celnie, ale ostrożność sugerowała, że jeśli kogoś zabije, to sprawa może zrobić się znacznie bardziej poważna. Tak więc strzelił z paralizatora aby porazić mężczyznę mniej więcej w to samo miejsce, gdzie, na Waldenie, przysmażył czekających w zasadzce, członków grupy policyjnej. Całkiem niezły strzał. Okazało się jednak, że stało się to w miejscu i w czasie, w którym ostrożność absolutnie nie popłaca.

Rozległ się zgodny okrzyk oburzenia. Mężczyźni zerwali się na równe nogi. Wielkie noże wyskoczyły ze zdobnych pochew. Postacie we wszystkich kolorach tęczy, a przy tym wszystkie niesamowicie brudne, wrzeszczały z oburzenia i szarżowały na Hoddana. Zbliżając się wymachiwały nożami.

Opuścił nieco paralizator i przejechał nim, po biegnących ludziach. Jękliwy skowyt broni w pierwszej chwili został kompletnie zagłuszony pełnymi zapału wrzaskami atakujących, ale zanim zwolnił spust stał się już wyraźnie słyszalny. Wokoło bowiem zapanowała kompletna cisza.

Atakujący uformowali na podłodze skłębiony stos. Tylko chrapliwie oddychali. Hoddan zaczął zbierać swoje rzeczy. Odwrócił na wznak jednego z mężczyzn, aby wyciągnąć spod niego swoją kurtkę.

Wpatrywała się w niego para wystraszonych intensywnie niebieskich oczu. Ich posiadacz nie został porażony, ale przewrócił się na jednym z mężczyzn i jednocześnie wywrócił pozostałych. Przyglądał się Hoddanowi bez słowa.

– Będzie pan łaskaw, mi to podać – powiedział Hoddan. Wskazał ręką.

****

Człowiek w purpurowym płaszczu trzęsąc się jak osika, posłusznie wykonał polecenie. Hoddan skończył zbierać swoje rzeczy. Odwrócił się. Człowiek w purpurowym płaszczu skrzywił się i zamknął oczy.

– Hmmm… – powiedział Hoddan. Potrzebował informacji. Nie spodziewał się, aby udzielili mu jej ludzie w dyspozytorni sieci lądowniczej. Wśród nich raczej także nie będzie cieszył się przesadną popularnością. Przemknęła mu przez głowę irytująca myśl, że ma tendencję do robienia sobie wrogów bez żadnej istotnej potrzeby. Potrzebował jednak jakichś wskazówek. Zapytał więc: – Mam list polecający do niejakiego Dona Lorisa, księcia czegoś tam, lorda tego, barona jeszcze czegoś innego i pretendenta do panowania w jeszcze zupełnie innym miejscu. Czy ma pan może jakieś pojęcie, gdzie mógłbym go znaleźć?

Człowiek w purpurowym płaszczy sapnął na Hoddana.

– On jest … moim thanem – wykrztusił osłupiały. – Jestem … Thal, jego najbardziej zaufany dworzanin. Potem praktycznie wyjęczał z rozpaczą. – Pan musi być tym człowiekiem, którego miałem przywitać! Wysłał mnie abym dowiedział się, czy przyleciał pan tym statkiem! Powinienem walczyć po pańskiej stronie! To hańba z mojej strony!

– Tak, to rzeczywiście było haniebne – ponuro zgodził się Hoddan. Jednak on, jako człowiek urodzony i wychowany w społeczności piratów kosmicznych, nie powinien być zbyt krytyczny w stosunku do innych. – Zostawmy to już. Jak mogę go znaleźć?

– Powinienem pana zaprowadzić! – gorzko żalił się Thal. – Ale pan zabił tych wszystkich ludzi. Teraz ich przyjaciele i thanowie są zobowiązani honorem, aby podciąć panu gardło! W dodatku postrzelił pan Merka, który uciekł, i teraz wezwie swoich przyjaciół, aby przyszli tutaj i pana zabili! To dopiero będzie wstyd! To jest… – Nagle rzucił z nadzieją – Ta pańska dziwna broń! Ilu ludzi jest w stanie pan pokonać? Jeśli pięćdziesięciu, to może przeżyjemy i zdołamy uciec. Jeśli więcej, to może nawet uda nam się dostać do zamku Dona Lorisa. Więc ilu?

– Pożyjemy, zobaczymy – powiedział Hoddan sentencjonalnie. – Ale lepiej naładuję te pistolety. Może pan pójść ze mną, albo niech pan poczeka tutaj. Nie zabiłem tych ludzi. Są tylko porażeni. Wkrótce przyjdą do siebie.

Wyszedł z magazynu, niosąc swoją torbę, która znów wypełniona była rozładowanymi paralizatorami. Wrócił do budynku dyspozytorni sieci. Pchnął otwarte drzwi i ponownie wszedł do środka. Rudowłosy mężczyzna przeklinał i rozcierał sobie rękę. Człowiek, który niemile się uśmiechał ciągle leżał skulony na podłodze. Drugi z nieogolonych mężczyzn wzdrygnął się wyraźnie na widok Hoddana.

– To znowu ja – uprzejmie powiedział Hoddan. – Potrzebuję jeszcze paru kilowatów.

Położył przyniesioną torbę, dla wygody blisko terminali w których mógł naładować pistolety. Otworzył z trzaskiem wtyk pistoletu i wsunął go do gniazdka elektrycznego.

– Niezwykłe macie tutaj zwyczaje – powiedział lekkim, konwersacyjnym tonem. – Rabujecie nowoprzybyłych. Przy tym czujecie się niesamowicie urażeni, gdy ci poproszą was o kilka watów energii, która i tak spada z nieba za darmo. – Paralizator kliknął. Zamknął z trzaskiem wtyk i otworzył kolejny, który również wetknął do kontaktu rozpoczynając ładowanie. – Zmuszając ich do wykazania – zjadliwie dociął, – równie złych manier jak te miejscowe. Rzucacie się na nich z nożami, tak że z kolei oni muszą poczuć się urażeni.

Drugi paralizator kliknął. Zamknął go i zaczął ładować trzeci. Przy tym kontynuował, przybierając bardziej poważny i surowy ton:

– Niewinni turyści, no… przynajmniej względnie niewinni, z całą pewnością nie wyniosą pozytywnych wrażeń z Darth! – Proces ładowania kolejnych pistoletów przebiegał bez najmniejszych zakłóceń. Właśnie podłączył do zasilania czwartą broń. – A przykładem szczególnie złych manier – dodał surowo, – jest stanie tutaj i szczerzenie do mnie zębów, podczas gdy twój przyjaciel za stołem czołga się w kierunku tej starodawnej chemicznej broni palnej, aby do mnie strzelić.

Zatrzasnął czwarty pistolet i poszedł za człowiekiem, który upadł za stół. Zastał go akurat w chwili, gdy mężczyzna, kompletnie przerażony, wziął akurat w ręce niezgrabną strzelbę, która przypuszczalnie wykorzystywała wybuchową reakcję chemiczną do napędzania metalowego pocisku.

– Nie! – groźnie zawołał Hoddan. – Jeśli strzelę do ciebie z tej odległości, z pewnością cię poparzę!

Zabrał broń z rąk mężczyzny. Wrócił i dokończył ładowanie pozostałych pistoletów.

Większość z nich włożył z powrotem do torby, ale kilka upchał za pasem i po kieszeniach, tak że wyglądał niemal jak wzorcowy egzemplarz jednego z filmowych piratów kosmicznych. Na szczęście wiedział jak naprawdę wyglądają piraci kosmiczni. Ruszył do drzwi. Na sam koniec przyszło mu do głowy, aby zabrać ze sobą skonfiskowaną broń, wystrzeliwującą naboje.

– Macie tu tylko jeden statek kosmiczny na miesiąc – uprzejmie zauważył, – tak że będę w okolicy. Jeśli będziecie chcieli się ze mną skontaktować, pytajcie Dona Lorisa. Właśnie idę go odwiedzić, ponieważ rozglądam się na Darth za pracą.

Wyszedł ponownie z dyspozytorni. Czuł się jakoś pewniej niż jeszcze pół godziny wcześniej, kiedy wylądował tutaj, jako jedyny pasażer, przywieziony przez liniowiec kosmiczny. Wtedy czuł się ignorowany, samotny i pozbawiony przyjaciół na dziwnym i prymitywnym świecie. Co prawda nadal nie miał przyjaciół, ale zdążył już narobić sobie kilku wrogów, i był to materiał na mniej lub bardziej wartościowe osiągnięcie. Rozejrzał się dookoła, po zalanym słońcem terenie, widocznym z drzwi pomieszczenia dyspozytorni.

****

Thal, człowiek w purpurowym płaszczu, sprowadził pod drzwi magazynu dwa kudłate zwierzęta, pokryte długą, zmierzwioną sierścią. Jak później dowiedział się Hoddan, były to miejscowe konie. Thal właśnie pośpiesznie wsiadał na jednego z nich. Kiedy wdrapywał się na grzbiet zwierzęcia, z kieszeni sypnęły się mu strumieniem małe, metalowe dyski. Gdy już gorączkowo usiadł w siodle, próbował zatrzymać lecący potok pieniędzy.

Spomiędzy spadzistodachych domków miasteczka, w stronę sieci lądowniczej, wylał się tłumek około trzydziestu ludzi na koniach. Ich ubrania mieniły się na żółto, niebiesko i karmazynowo. Wymachiwali nożami o długich ostrzach i wznosili krwiożercze okrzyki. Thal spostrzegł ich i czmychnął, jadąc na jednym koniu, a drugiego ciągnąc za wodze. Linia jego odwrotu przechodziła akurat koło miejsca, w którym stał Hoddan.

Hoddan wyciągnął jedną rękę do góry. Thal ściągnął wodze.

– Wskakuj! – krzyknął chrapliwie. – Wskakuj i jedź za mną!

Hoddan podał mu chemiczną broń prochową. Thal schwycił ją szaleńczo.

– Pośpiesz się! – wysapał. – Don Loris każe mi poderżnąć gardło, jeśli cię tutaj zostawię! Wsiadaj i jedziemy!

Hoddan starannie umocował swoją torbę przy siodle prowadzonego konia. Poluzował wodze. Zauważył, że Thal aby zatrzymać konia ciągnął za te skórzane paski, przypominające krótkie lejce. Widział też, że aby go ponaglić, szaleńczo kopal go piętami. Wydedukował, że zwierzęciem steruje się, pociągając jeden lub drugi pasek. Niezdarnie wdrapał się na siedzenie.

Od strony ścigających ich konnych ludzi, dobiegło głośne wycie. Wywijali swoimi nożami i wrzeszczeli z zapałem, w ewidentnym zamiarze zabójstwa.

Hoddan pociągnął za lejce. Jego koń posłusznie skręcił. Kopnął go pietami. Zwierze zerwało się do biegu, w stronę zbliżającego się tłumu. Hoddana zaskoczyło silne potrząsanie. Nie można przecież celnie strzelać, trzęsąc się tak gwałtownie jak on! Pociągnął do tyłu za lejce. Koń się zatrzymał.

– Chodź! – wrzeszczał w desperacji Thal. – Tędy! Szybko!

Hoddan wyciągnął paralizator. Wyprostował się w siodle, marszcząc lekko brwi w wyrazie koncentracji, zaczął oddawać pojedyncze strzały w kierunku szarżującej niewielkiej hordy.

Trzech z nich dotarło już na tyle blisko, aby po trafieniu wyładowaniami paralizatora doznać poparzeń. Inni, znajdujący się w odległości od dwudziestu do stu jardów, pospadali z siodeł. Jednak dobry tuzin jeźdźców, widząc co się stało, skręciło konie wodzami i podniosło ogony, uciekając gdzie pieprz rośnie. Na ziemi, w obrębie sieci lądowniczej, pozostało osiemnaście fantazyjnie ubarwionych kupek ubrań. Dwie lub trzy z nich zwijały się z bólu i przeklinały. Strzelając do niech, Hoddan nie do końca trafił. Usłyszał nagle grzmiący huk broni chemicznej. Teraz, już po odniesieniu zwycięstwa, Thal mężnie włączył się do walki. Hoddan uniósł rękę, aby wstrzymał ogień. Thal podjechał do niego, nie do końca mogąc uwierzyć w to co zobaczył.

– Cudownie! – oznajmił drżącym głosem. – Cudownie! Don Loris będzie zachwycony! Za pomoc dla ciebie, da mi wiele podarków! To była wspaniała walka! Po tym, co tu się stało, staniemy się sławni!

– No to, jedźmy do niego i pochwalmy się – ponaglił go Hoddan.

Thal ciągle był wstrząśnięty.

– Potrzebujesz mnie – przymilał się błagalnym tonem. – Co za szczęście, że Don Loris wybrał właśnie mnie, abym walczył u twego boku.

Kłusem skierował swojego konia, w stronę w większości nieprzytomnych ludzi, leżących na ziemi. Zatrzymał się. Hoddan zobaczył jak szczęśliwy, zupełnie się z tym nie kryjąc, przetrząsa kieszenie ofiar paralizatora. Wrócił, cały jaśniejąc i paradując w siodle z dumną miną.

– Będziemy sławni! – oznajmił ochoczo. Dwu przeciwko trzydziestu, i niektórzy z nich w dodatku uciekli! – Napawał się. – I w dodatku mamy całkiem niezły połów! Oczywiście, podzielimy się nim, przecież jesteśmy towarzyszami.

– Czy to tutejszy zwyczaj – zapytał łagodnie Hoddan, – aby grabić bezbronnych ludzi?

– Ależ oczywiście! – powiedział Thal. – Jak inaczej mógłby przeżyć szlachcic, zwłaszcza jeśli nie ma thana, obdarowującego go podarkami? Pokonałeś ich, a więc oczywiście możesz zabrać im wszystkie rzeczy!

– Ach, tak – zastanowił się Hoddan. – Chciałem tylko się upewnić!

Odjechali z portu. Droga, była tylko zwykłą ścieżką dla koni. Wkrótce zmieniła się nawet w jeszcze gorszą. W oddali, po lewej stronie, zobaczył że mijają ponurą, obwarowaną twierdzę. Thal otwarcie wyrażał nadzieję, że ktoś wyjedzie z zamku, próbując pobrać od nich opłatę za przejazd przez ziemie swojego pana. Po tym jak Hoddan zmiótłby ich paralizatorem, Thal mógłby powiększyć sporą kupkę pieniędzy, która znajdowała się już w jego posiadaniu.

W każdym razie nie wyglądało to obiecująco. Ale tuż przed zachodem słońca, Hoddan zauważył trzy małe jasne światełka, ustawione w poprzek nieba od zachodu do wschodu. Poruszały się one w stałym układzie, z jednakową szybkością. Hoddan, kiedy je zobaczył od razu rozpoznał statki kosmiczne na orbicie. Zjeżył się i po cichu wymamrotał coś do siebie.

– Co to znaczy? – zapytał go Thal. – Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, – kwaśno odparł Hoddan, – że muszę zrobić coś w związku z Waldenem. Kiedy wbiją sobie do głowy jakiś pomysł…

IV

Według filmowych scenariuszy, skolonizowane planety w galaktyce, niezmiernie się między sobą różnią. Trzeźwa i mało romantyczna prawda wyglądała jednak tak, że po prostu jest zupełnie inaczej. Podróże kosmiczne są zbyt tanie, a systemy gwiezdne typu solarnego zbyt liczne, aby zmusić kogokolwiek do zasiedlania światów wrogich człowiekowi. Nie było żadnej specjalnej potrzeby, aby próbować żyć tam, gdzie za każdym razem gdy chce się wyjść z domu, trzeba zakładać specjalne wyposażenie. Nie było potrzeby, aby osiedlać się na światach, gdzie dzieci nie mogą dorastać w sposób, do jakiego przyzwyczaili się ich przodkowie, przez wiele dziesiątków tysięcy pokoleń. To, najzwyczajniej w świecie, nie miało sensu!

Tak więc zamieszkane światy w galaktyce, są odleglejsze od siebie, niż być może mogłyby to być, za to bardziej podobne do siebie, niż jest to konieczne. Najzwyczajniej w świecie, rasa ludzka lubi grawitację nie za bardzo różniącą się od przyśpieszenia grawitacyjnego w wysokości 980 cm/s^2. My, ludzie jesteśmy zaprojektowani do czegoś mniej więcej takiego. Wolimy artykuły żywnościowe zawierające znane nam komponenty białkowe, Metabolizm człowieka dostosowany jest właśnie do nich. A ponieważ nasi genetycy poznali sposób włączenia agresywności przetrwania w geny roślin pochodzących z Ziemi, dlatego w dzisiejszych czasach, zalewają one błyskawicznie rodzimą florę każdej planety, na której zostaną introdukowane. Są racjonalne powody, dla których rozwiązano to w taki sposób. Jeśli ludzkość ma się rozwijać i rozmnażać na nowych planetach, które podlegają procesowi kolonizacji, wygodniej jest modyfikować planety, aby dostosować je do kolonistów, niż kolonistów, aby dostosować ich do planet.

Dlatego Bron Hoddan, jadąc przez coraz głębszą noc, nie napotkał żadnych niezwykłych cech krajobrazu Darth. Była tam trawa, aczkolwiek nie rosła zbyt obficie. Rosły tam krzaki, ale nie były soczyście bujne. Były tam drzewa, ptaki i różne inne powszechnie występujące żywe stworzenia, których przodkowie zostali przerzuceni na Darth kilka stuleci temu. System ekologiczny utworzył się samoczynnie, w oparciu o metodę prób i błędów, ale rezultat nie był jakiś specjalnie niezwykły. Nie biorąc pod uwagę ogólnego wzorca dobowego zachowania się miejcowej gwiazdy i ukształtowania planety, Hoddan spokojnie mógł się założyć, że niektóre części Zan lub niektóre części Walden, były prawdopodobnie bardzo podobne do terenów znajdujących się gdzie indziej, na Lohali, Kencie, Famaguście, czy jakiejkolwiek innej zamieszkanej planecie pomiędzy Pograniczami.

Oczywiście pozostała jeszcze kwestia ogólnego wzorca danego świata. W trakcie jazdy, Hoddan próbował uporządkować go sobie w głowie. Wiedział w którym miejscu zachodziło słońce, tam więc będzie zachód. Zapytał o szerokość geograficzną darthiańskiego portu kosmicznego. Thal niestety nie wiedział. Zapytał o główne cechy geograficzne planety, morza, kontynenty, i tak dalej. Thal nie miał na ten temat zielonego pojęcia.

Hoddan nerwowo ściskał wodze. Na Waldenie nie musiał się przejmować takimi rzeczami. Oczywiście na Waldenie miał najlepszego przyjaciela, Dereca, i wierzył, że ma dziewczynę, Neddę. Tutaj był sam i planował zdobyć podziw innych. Postanowił dać sobie spokój ze spoglądaniem w niebo. Na Darth nie ma przyjaciół, za to zebrałaby się spora grupa miejscowych obywateli, którzy do tej pory niewątpliwie odzyskali już przytomność po porażeniach paralizatorem i wręcz tęsknili do tego, aby pokroić go na plasterki swoimi długimi nożami. Przestał więc rozczulać się nad swoją samotnością, i ponownie włączył intelekt, próbując jak najwięcej dowiedzieć się o miejscu, w którym się znalazł.

Szlak był skalisty i bardzo nierówny. Po dwóch godzinach jazdy na małym, ale muskularnym koniu, który nie miał wbudowanych sprężyn, Hoddan zaczął odczuwać ból w znacznie większej liczbie miejsc, niż kiedykolwiek myślał, że je posiada. On i Thal jechali w bliżej nieokreślonym kierunku, wzdłuż nieregularnego pasma niskich gór, których sylwetki odcinały się na tle gwiazd obcego nieba. Owiewał ich zmienny nocny wiatr. Thal mówił, że do zamku Dona Lorisa czeka ich trzygodzinna jazda. Po mniej więcej dwóch godzinach zaczął głośno dumać:

– Myślę, że gdybyś zechciał mi dać podarunek, przyjąłbym go i w odpowiedzi nie dałbym ci innego podarunku. Mógłbyś mi ofiarować – dodał pomocnie, – twój udział w zdobyczy z naszych ofiar.

– A czemu? – zażądał wyjaśnień Hoddan. – Dlaczego to niby, miałbym ci dawać jakiś podarunek?

– Gdybym go przyjął – wyjaśnił Thal, – i nie dałbym ci nic w rewanżu, stałbym się członkiem twojej świty, przybocznym. To by mnie zobowiązywało, jako darthiańskiego szlachcica, do tego by stać u twego boku, doradzać, pomagać, walczyć w twojej obronie i generalnie do podtrzymywania twojej godności.

Hoddan podejrzewał, że na tej części ciała, w której ma tę swoją godność, zrobiły mu się już pęcherze. Spytał podejrzliwym tonem:

– A co z Donem Lorisem? Czy nie jesteś członkiem jego świty?

– Tak między nami mówiąc – odparł Thal, – on jest skąpy. Jego podarunki nie są takie hojne, jak być powinny. Mógłbym dać mu podarunek zwrotny, z części pieniędzy, jakie zdobyliśmy we wspólnej walce. To zwolni mnie ze wszystkich zobowiązań jakie mam wobec niego. Wtedy mógłbym zaakceptować bilans rozliczeń pieniędzy między nami i stać się twoim przybocznym.

– O – stwierdził Hoddan.

– Bardzo potrzebujesz jakiegoś członka świty – powiedział Thal. – Nie znasz tutejszych zwyczajów. Na przykład między Donem Lorisem i młodym lordem Ghekiem panuje niemal otwarta wrogość. Gdyby młody

lord Ghek był tak przedsiębiorczy jak powinien być, to niektórzy z przybocznych z jego świty powinni leżeć w ukryciu, na podejściu do twierdzy Dona Lorisa, i czekać aby poderżnąć nam gardła.

– Hmmm… – skomentował ponuro Hoddan. Thalowi zdawało się to jednak nie przeszkadzać. – Ten system podarków i prezentów wygląda nieco skomplikowany. Dlaczego Don Loris, po prostu, nie daje ci określonej kwoty co roku lub co miesiąc czy jakoś tak?

Thal wydał z siebie dźwięk wzburzenia.

– Przecież to byłaby zapłata! Na Darth szlachcic nie służy za pieniądze! Taka oferta byłaby zniewagą! – Wtedy nagle przerwał i powiedział: – Posłuchaj!

Ściągnął wodze. Hoddan niezgrabnie poszedł za jego przykładem. Po chwili lub dwu Thal cmoknął na swojego konia i ponownie ruszył.

– To nic takiego – oznajmił przepraszająco. – Miałem tylko nadzieję, że wjechaliśmy w zasadzkę.

****

Hoddan aż jęknął z desperacji. To, co przed chwilą powiedział Thal, mogło być tylko głupim gadaniem. Ale przedtem, w porcie kosmicznym, ci ludzie którzy biegli ku niemu wymachując długimi nożami, wydawali się jednak dosyć przekonywujący.

– Dlaczego mielibyśmy wpaść w zasadzkę? – zapytał. – I czemu masz nadzieję, że tak się stanie?

– Twoja broń i tak zniszczyłaby naszych wrogów – pogodnie odparł Thal. – No i, w dodatku, mogłyby być z tego całkiem niezłe łupy. – Dodał jeszcze: - Powinniśmy wpaść w zasadzkę, ponieważ lady Fani odmówiła swojej ręki lordowi Ghekowi. Jest córką Dona Lorisa, a odmowa małżeństwa, oczywiście, jest śmiertelną obrazą dla mężczyzny. Tak więc przy każdej sposobności powinien on pustoszyć ziemie Dona Lorisa, dopóki nie pojawi się szansa porwania lady Fani i poślubienia jej siłą. To jedyny sposób na zmazanie tej zniewagi.

– Rozumiem – stwierdził ironicznie Hoddan.

Tak naprawdę, to nie rozumiał. Oba konie kłusowały przed siebie, aż w pewnej chwili, gdzieś w oddali, pojawiło się jakieś żółte światełko, nad którym unosiła się dziwna mgła, w daleka wyglądająca jak podświetlony dym.

– To twierdza Dona Lorisa – oznajmił Thal. Westchnął z rezygnacją. – Wygląda na to, że jednak nie wpadniemy w żadną zasadzkę.

Nie wpadli. Zanim konie przedarły się przez gęsty las, zrobiło się już bardzo ciemno. Zbliżając się do twierdzy, zobaczyli, że światełko rozdzieliło się na dwa. Były to wielkie ogniska płonące w żelaznych klatkach, wiszących wysoko w powietrzu, mniej więcej czterdzieści stóp nad ich głowami. Klatki z ogniem przymocowane były do baszt potężnych murów, zbudowanych z ciosanego kamienia. Oprócz nich nigdzie nie było

widać nawet śladu żadnego innego oświetlenia, poza bladą poświatą gwiazd.

Thal podjechał niemal pod samą kratę bramy i zawołał coś do kryjących się w górze ludzi. Odpowiedział mu jakiś głos. Po kilku chwilach szczęknęła otwierana brama, a za nią ukazał się czarny, podobny do jaskini, wjazd. Thal dostojnie wjechał do niego, a Hoddan ruszył za nim. Teraz, gdy jazda wydawała się zmierzać ku końcowi, zaczął zdawać sobie sprawę z tego, gdzie boli go nieprzyzwyczajone do takich ćwiczeń ciało. A bolało go wszędzie. Domyślał się także, że w niektórych, szczególnie obolałych miejscach, na skórze nie tylko utworzyły się pęcherze, ale potem obtarł je sobie do żywego mięsa.

Zamykana brama szczęknęła głośno za nimi. W górze trzepotały płomienie pochodni. Hoddan zauważył, że wjechali z Thalem na dosyć ciasny dziedziniec. Dwadzieścia stóp nad nimi, wewnętrzny zębaty mur, dawał mieszkańcom zamku wspaniałe możliwości zrzucania różnych rzeczy na głowy przyjezdnych, którzy po dostaniu się na dziedziniec, okazywali się być jednak gośćmi niepożądanymi.

Thal wywrzeszczał kolejne okrzyki identyfikacyjne, włączając w to chełpliwą i całkowicie pozbawioną prawdy deklarację, że on razem z Hoddanem, zaszlachtowali dwudziestu ludzi w jednym miejscu i trzydziestu w drugim, oraz że pozostawili ich leżących, w kałużach krwi.

Głosy, które im odpowiedziały, zabrzmiały, delikatnie mówiąc, raczej niedowierzająco, żeby nie powiedzieć szyderczo. Ktoś zrzucił na dół sznur i od wewnątrz przez kratę przywiązał do bramy. Z niesamowitym trzeszczeniem i szczękaniem, wewnętrzna brama powędrowała wysoko w górę. Wyszli z niej na dziedziniec jacyś ludzie i zabrali im konie. Hoddanowi, po zejściu z wierzchowca, wydawało się, że trzeszczy niemal równie głośno jak brama. Thal dalej się przechwalał, pokazując monety, które powyciągał z kieszeni ludzi nieprzytomnych po postrzałach z paralizatora. Dumnie przemówił do Hoddana:

– Idę, zaanonsować twoje przybycie Danowi Lorisowi. To wszystko są jego przyboczni. Dadzą ci coś do picia. – Dodał uprzejmie: - Gdyby przyjęli cię jedzeniem, hańbą byłoby potem poderżnąć ci gardło.

Zniknął. Hoddan wziął swoją torbę i poszedł za człowiekiem w brudnej różowej koszuli do jakiegoś ponurego pomieszczenia o kamiennych ścianach, w którym stał stół i krzesło. Usiadł na nim, czując ulgę, że może dać odpocząć plecom. Człowiek w różowej koszuli przyniósł mu flaszę wina. Potem, znów gdzieś zniknął.

Hoddan pijąc kwaśne wino głęboko się zamyślił. Był niesamowicie głodny i bardzo zmęczony i wydawało się mu jakby został przeniesiony w zupełnie inny wymiar. Uporczywie chodziło mu po głowie kazanie, którego często udzielał mu na Zan jego dziadek.

– To się nadaje psu na budę! – było to kolejne z ulubionych powiedzonek jego dziadka. – Posiadanie mózgu nie przynosi nawet odrobiny pożytku! Wszystko co może ci dać myślenie, to tylko wpędzić cię w kłopoty! Szczęśliwy idiota jest dziesięć razy lepszy od mózgowca, na którym ciąży pech! Sprytny człowiek zaczyna kombinować, i to, co wykombinuje, jeśli ma pecha, prowadzi go prosto do więziennej celi! Jeśli

zaś ma szczęście, to tylko się ono marnuje. Nawet kiedy przydarzy mu się jakiś szczęśliwy traf, to on i tak w niego nie wierzy, bo przecież szczęście nie polega na rozumie! Spędziłem całe życie na powstrzymywaniu swojego mózgu przed tym, aby mnie zrujnował! Nie, proszę ja was! Mam nadzieję, że żaden z moich potomków nie odziedziczy mojego mózgu! Jeśli tak, to naprawdę, bardzo mi go żal!

Hoddan przebywał na Darth nie więcej niż trzy godziny. W tym czasie został już obrabowany, odzyskał swoje rzeczy, stał się obiektem dwu przeprowadzonych z werwą prób zabójstwa, musiał przejechać jakąś straszliwą liczbę mil na jakimś nieznanym zwierzęciu, a na koniec znalazł się w kamiennym lochu, pozbawiony jedzenia, ponieważ nakarmienie go zobligowałoby gospodarza do tego, aby nie poderżnął mu gardła. A w dodatku, władował się w to wyłącznie ze swojej własnej winy! Sam przecież wybrał sobie taki los! Ba, praktycznie prosił o to!

W coraz większym stopniu zaczynał dzielić ze swoim dziadkiem, to pozbawione złudzeń spojrzenie, na przydatność ludzkiego mózgu.

****

Po długim oczekiwaniu, drzwi celi w końcu się otworzyły. Thal przyszedł z powrotem, teraz już znacznie spokojniejszy.

– Don Loris chce z tobą mówić – oznajmił przybitym głosem. – Nie jest zadowolony.

Hoddan wziął kolejny łyk wina. Podniósł swój bagaż i mocno kulejąc, powlókł się ku drzwiom. Ból przekonał go, że chyba oszczędza nie tę nogę co trzeba. Spróbował z drugą. Brak poprawy. Tak naprawdę, to powinien kuleć na obie.

Podążał za osobliwie milczącym Thalem, idąc długim kamiennym korytarzem, a potem w górę, kamiennymi schodami, aż w końcu dotarli do monstrualnej sali, oświetlonej pochodniami zawieszonymi na ścianach, w specjalnych uchwytach. Sala, w barbarzyński sposób, obwieszona była chorągwiami, i nie wyglądała na specjalnie radosne miejsce. Na drugim jej końcu, we wielkim palenisku, płonęły potężne kłody drewna.

Don Loris siedział obok ognia, na rzeźbionym krześle, pomarszczony i białobrody, w podbitej futrem aksamitnej szacie, ze zrzędliwą miną na twarzy.

– Mój thanie – powiedział pokornym tonem Thal, – oto przybyły z Waldena inżynier.

Hoddan spoglądał z nachmurzoną miną na Dona Lorisa, którego kwaśny wyraz twarzy również nie rozjaśnił się nawet na chwilę. W końcu jednak than zwrócił na niego uwagę, przyglądając mu się, nawet z pewnym błyskiem zainteresowania w oku. Obcy człowiek, w nieskrywany sposób rzucający chmurne spojrzenia na feudalnego pana, który nie ma żadnego przełożonego, za to wielu podwładnych, jest bądź co bądź pewną ciekawostką.

– Thal mi powiedział – zgryźliwie zagaił Don Loris, – że dzisiaj, ty i on, razem do spółki, zaszlachtowaliście parę tuzinów przybocznych moich sąsiadów. Uważam to za wyjątkowo niefortunną okoliczność. Mogą mnie prosić, abym was obydwu powiesił, i muszę przyznać, że nieuprzejmie byłoby im odmówić.

Hoddan odpowiedział zaczepnie:

– Ja natomiast, uważałem za skrajną nieuprzejmość ze strony członków świty pańskich sąsiadów, sytuację kiedy maszerowali w moją stronę, wymachując długimi nożami i głośno wrzeszcząc, że mają zamiar wypruć mi flaki!

– Tak – niecierpliwie zgodził się Don Loris. – W tym punkcie mogę ustąpić. W takich chwilach pośpieszne działanie jest dosyć naturalne. A jednak… Ilu z nich zabiłeś?

– Ani jednego – zwięźle wyjaśnił Hoddan. – Postrzeliłem ich z paralizatorów, które chwilę wcześniej naładowałem w dyspozytorni sieci lądowniczej.

Don Loris aż się wyprostował.

– Paralizatory? – dopytywał się ostrym tonem. – Użyłeś na Darth paralizatorów?

– Oczywiście, że na Darth – powiedział Hoddan z pewną nutą zgryźliwości w głosie. – A gdzieżby indziej. Ale nikt nie został zabity. Paru z nich, może być lekko poparzonych. No i, Thal opróżnił wszystkim kieszenie. Rozumiem jednak, że takie są tutejsze zwyczaje. Nie ma się czym przejmować.

Ale Don Loris wpatrywał się w niego z osłupieniem.

– Ależ to jest niedopuszczalne! – zaprotestował. – Korzystać z paralizatora na naszej planecie? To chyba jedyna z spraw, co do których muszę wydać dokładne rozkazy, aby ich absolutnie zabronić! Moi sąsiedzi z pewnością będą o tym dyskutować! Niektórzy z nich mogą nawet pomyśleć o wykorzystaniu czegoś podobnego! Mogłeś użyć dowolnej innej broni, ale dlaczego, u diabła, ze wszystkich możliwych rozwiązań, użyłeś właśnie paralizatora?

– Ponieważ taki mam – krótko odparł Hoddan.

– To straszne! – zrzędliwie oświadczył Don Loris. – To chyba najgorsze ze wszystkiego, co mogłeś zrobić! Będę musiał się ciebie wyprzeć. To oczywiste. Natychmiast też musisz stąd zniknąć. Zrzucimy to na podwładnych Gheka.

Hoddan wyjąkał:

– Zniknąć? Ja?

– Wyparować – potwierdził Don Loris. – Wezwałem cię tutaj, żebyś przyleciał z Waldena i pomógł mi zaaranżować pewne delikatne sprawy, a ty nie przejechałeś jeszcze nawet paru mil do mojego zamku… ba, wręcz już w kilka minut po wylądowaniu!… Ty… zepsułeś wszystko! Jestem rozsądnym człowiekiem, ale takie są fakty! Użyłeś paralizatora, a więc musisz zniknąć. I sądzę, że z mojej strony to będzie łaskawość, jeśli powiem, że tylko do chwili gdy ludzie na Darth zapomną, że coś takiego jak paralizator w ogóle istnieje. Ale na razie, wy dwaj… o tak, na rok lub coś koło tego… mamy tu takie całkiem miłe lochy…

Hoddan nagle zawrzał gniewem. Próbował zrobić coś wspaniałego na Waldenie, i został osadzony w więzieniu na dożywocie. Bronił swojego życia i własności na Darth i w perspektywie przypadł mu niemal taki sam los. Hoddan, z gniewem, zaczął o to podejrzewać złe fatum i sprzysiężenie całego świata, przeciwko niemu.

****

Na szczęście przerwano im. Skądś obok, doleciał odgłos klaśnięcia w ręce. Przez drzwi wielkiej sali weszły dwa rzędy ludzi z długimi, straszliwymi, błyszczącymi włóczniami. Stanęli po bokach. Po chwili, za nimi weszła dziewczyna. Za nią podążali kolejni włócznicy. Zatrzymali się przy drzwiach. Dziewczyna przeszła przez całą salę i podeszła do nich.

Była ładna, nawet bardzo, ale Hoddan ledwie ten fakt zauważał. Przy tylu innych rzeczach na głowie, nie miał czasu na rozmyślania o dziewczynach.

Stojący za nim Thal poprosił drżącym głosem:

– Moja lady Fani, błagam cię, abyś wstawiła się przed twoim ojcem, za jego najwierniejszym przybocznym.

Dziewczyna spojrzała na niego z zaskoczeniem. Potem jej oczy spoczęły na Hoddanie. Wyglądała na zaintrygowaną. Hoddan bowiem, w tej właśnie chwili, był niemal tak mocno zdegustowany i oburzony, jak tylko człowiek może być najbardziej. Nie rzucał na nią romantycznych spojrzeń, co dla lady Fani, córki Dona Lorisa, który był księciem czegoś tam, baronem czegoś innego i tak dalej, było zupełną nowością. Tak prawdę mówiąc, to w ogóle na nią nie patrzył. Zamiast tego widać było, że wręcz zgrzytał zębami.

– Nawet nie próbuj mnie udobruchać, Fani. – warknął Don Loris. – Jestem rozsądnym człowiekiem, ale zbytnio ci pobłażam… nawet pozwoliłem ci odmówić ręki temu młodemu imbecylowi Ghekowi, co skutkuje teraz niekończącymi się problemami. Ale nie pozwolę ci kwestionować moich decyzji dotyczących osób Thala i Hoddana!

Dziewczyna odpowiedziała przyjaźnie:

– Oczywiście, że nie, Ojcze. Ale tak właściwie, to co oni zrobili?

– Tych dwu – ponownie szczeknął Don Loris, – walczyło wczoraj z dwudziestoma ludźmi i pokonali ich wszystkich! Thal ich obrabował. Następnie trzydziestu innych ludzi, na koniach, próbowało pomścić tych pierwszych, a więc pokonali także i ich. Thal obrabował osiemnastu z nich. Wszystko to było jeszcze dopuszczalne, choć mało prawdopodobne. Ale oni uczynili to z pomocą paralizatorów! Wszyscy, gdzie tylko dotrze plotka, będą o tym mówić! Dowiedzą się, że ten Hoddan przybył na Darth aby zobaczyć się ze mną! Będą więc podejrzewać, że dla celów politycznych zaimportowałem nowe uzbrojenie! Wpadną na mój najlepszy plan, który realizowałem od dwudziestu lat!

Dziewczyna stała milcząc. Jeden z włóczników oparł swoją broń o mur, pobiegł przez salę, przestawił jedno z krzeseł w miejsce wygodne dla lady

Fani, tak aby mogła na nim usiąść, a potem pobiegł z powrotem do swoich kolegów. Usiadła wygodnie.

– Ale rzeczywiście pokonali tak wielu? – zapytała z podziwem. – To wspaniałe! A Thal przecież bez wątpienia walczył w obronie kogoś, kogo kazałeś mu chronić, tak jak powinien to zrobić lojalny przyboczny. Czyż nie tak?

– Prosiłbym, - odparował jej ojciec, – abyś nie wspominała o rzeczach nieistotnych. Wysłałem go, aby tego wieczora sprowadził tutaj do mnie Hoddana, a nie masakrował przybocznych moich sąsiadów… eee… lub raczej żeby ich nie nie masakrował. Mały upust krwi, nie przyniósł by żadnego uszczerbku, ale paralizatory…

– Chronił kogoś, kogo kazałeś mu chronić – powiedziała Fani. – A ten drugi człowiek, ten…

– Hoddan. Bron Hoddan. – Przerwał jej z irytacją ojciec. – Tak. Bronił tylko sam siebie! Nie ma także wątpliwości, że robiąc to myślał, że robi mi przysługę! Ale gdyby tylko pozwolił się spokojnie zabić, cala sprawa byłaby naprawdę dużo prostsza.

Lady Fani oświadczyła ze spokojną godnością:

– Rozumując w ten sposób, ojcze, gdyby lord Ghek mnie porwał to też bardzo uprościłoby sprawy.

– To przecież jest w ogóle zupełnie coś innego …

– No to w takim razie, może mogłabym zrezygnować z tej gromady włóczników, łażących za mną jak psiaki, wszędzie gdzie tylko pójdę!

– To nie jest to samo…

– Ich oddechy cuchnące winem, no chyba że akurat cuchną piwem, a w dodatku oddychające tak głośno i…

– To nie…

– A czy nie byłoby to rozsądne – powiedziała lady Fani, jeszcze bardziej dostojnie, – gdybyś wziął Thala i tego… Hoddana na służbę, aby strzegli mnie zamiast nich? Jeśli mogą pokonać dwudziestu, trzydziestu ludzi na raz, tylko we dwóch, to wydaje się, że mógłbyś nieco więcej pomyśleć o moim bezpieczeństwie. Jeśli chcesz ich zamknąć gdzieś w lochu, to może lepiej byłoby użyć ich do pilnowania twojej córki przed tym strasznym Ghekiem!

Don Loris zaklął kraczącym głosem. Następnie powiedział:

– Aby skończyć tę dyskusję, przemyślę to jeszcze raz. Do jutra. Teraz już idź!

Fani cała rozpromieniona wstała i pocałowała go w czoło. Westchnął głęboko. Odwróciła się żeby wyjść i zdawkowo skinęła na Thala i Hoddana, aby podążyli za nią.

– Mój thanie – drżącym głosem zapytał Thal, – czy my także możemy już się oddalić?

– Tak! – szorstko rzucił Don Loris. – Precz z moich oczu!

Thal zwinnie ruszył śladem lady Fani. Hoddan podniósł swoją torbę i podążał za nim. To jest, rozmyślał ponuro, tak naprawdę tylko odroczenie wyroku. A jeśli te trzy statki kosmiczne w górze, przybyły z Waldena… ale dlaczego u licha aż trzy?

****

Lady Fani wyszła przez te same drzwi, którymi weszła. Kilku włóczników otwierało kolumnę, pozostali szli tuż za nią. Hoddan podążał za ich plecami. Wlókł się po kamiennych stopniach, prowadzących gdzieś strasznie wysoko. Były strome, nierówne i po prostu nie miały końca. Wspinał się na coraz bardziej bolących nogach, wydawałoby się przez całe wieki.

Po pewnym czasie, przed nimi pojawiły się gwiazdy. Prowadzący włócznicy, stanęli na jakimś równo wybrukowanym miejscu. Kiedy Hoddan tam dotarł, zobaczył, że znaleźli się na blankach, w górnej części zamkowego muru. W świetle gwiazd widoczna była tylko potężna ściana umocnień, otaczająca ostro sterczące dachy zamczyska. Spojrzał w dół, na dziedziniec, gdzie palił się ogień, a obok niego kilku ludzi zajętych było jakimiś swoimi sprawami. Innych świateł nie było widać. Za murem zamkowym, w stronę poszarpanych niskich gór rozciągały się płaskie tereny. Całe były pokryte rozmytymi plamami o różnym stopniu ciemności, w miejscach w których znajdowały się pola, pastwiska lub lasy.

– Tu jest ławka – z otuchą w głosie powiedziała Fani. – Usiądź proszę koło mnie i wyjaśnij mi kilka rzeczy. Jak się nazywasz, znów zapomniałam, i skąd jesteś?

– Nazywam się Bron Hoddan – odparł Hoddan. Nachmurzył się nieco. – Jestem z Zan, gdzie wszyscy są piratami kosmicznymi. Mój dziadek przewodzi najbardziej znanemu gangowi pirackiemu.

– Cudownie! – powiedziała Fani z podziwem. – Wiedziałam, że nie możesz być po prostu zwykłym człowiekiem, i walczyć tak wspaniale jak to dzisiaj opowiadał mój ojciec.

Thal lekko odchrząknął.

– Lady Fani…

– Cyt! – przerwała mu Fani. – Jesteś miłym staromodnym człowiekiem, którego ojciec wysłał do portu kosmicznego, ponieważ liczył, że będziesz za bardzo bojaźliwy, aby wpakować się w kłopoty. Cyt! – Zwróciła się do Hoddana z wyraźnym zainteresowaniem. – A teraz opowiedz mi o walce. To musiało być straszliwe!

Obserwowała go z wyczekiwaniem, nachylając głowę w jego stronę.

– Walka, którą dzisiaj stoczyłem – stwierdził z gniewem Hoddan, – była tak samo niebezpieczna i tak samo trudna jak zabicie ryby w wiadrze. Nieco więcej kłopotu, ale bez przesady.

Nawet w świetle gwiazd zauważył, że na jej twarzy pojawił się jeszcze większy podziw.

– Tak właśnie myślałam, że coś takiego powiedziesz! – oświadczyła z zadowoleniem. – No, dalej!

– To wszystko – powiedział Hoddan.

– Zupełnie wszystko?

– Nie jestem w stanie wymyślić niczego więcej – odparł. Dodał jeszcze posępnie: – Jechałem dzisiaj trzy godziny na koniu. Nie jestem do tego

przyzwyczajony. Wszystko mnie boli. Pani ojciec ma zamiar wsadzić mnie do lochu, dopóki nie zostanie przyjęty jakiś jego plan. Jestem rozczarowany. Martwię się też trzema światełkami, które poruszały się na niebie o zachodzie słońca, a przede wszystkim jestem za bardzo zmęczony i zamroczony, abym mógł prowadzić normalną konwersację.

– Och – stwierdziła Fani.

– Gdybym mógł teraz już sobie pójść – dodał zrzędliwie Hoddan, – spróbowałbym trochę odpocząć, a kiedy już wstanę także trochę pomyśleć. Mam nadzieję, że będę miał wtedy do opowiedzenia dużo więcej zabawnych rzeczy.

Zerwał się na nogi i podniósł swoją torbę.

– Gdzie mam spać? – zapytał.

Fani przyglądała mu się enigmatycznie. Thala aż skręcało.

– Thal ci pokaże. – Po chwili namysłu Fani dodała. – Bronie Hoddan, czy będziesz dla mnie walczył?

Thal ostrzegawczo pociągnął go za ramię. Hoddan uprzejmie odpowiedział:

– Jeśli w ogóle będzie to potrzebne, to tak. Ale teraz muszę iść i trochę się przespać.

– Dziękuję ci – powiedziała Fani. – Martwię się lordem Ghekiem.

Obserwowała go jak odchodzi. Thal cicho jęcząc schodził z nim po kolejnych monstrualnych kamiennych schodach.

– Och, co za głupota! – lamentował Thal. – Próbowałem cię ostrzec! Nie chciałeś zwrócić uwagi! Kiedy lady Fani pytała cię, czy będziesz dla niej walczył, powinieneś jej powiedzieć, że jeśli jej ojciec powierzy ci ten honor. Ale ty powiedziałeś: tak! Włócznicy cię słyszeli! Teraz, w przeciągu najbliższego dnia i nocy, musisz walczyć z lordem Ghekiem, albo będziesz zhańbiony!

– Wątpię – odparł zmęczonym głosem Hoddan, – czy tego rodzaju darthiańskie zobowiązania honorowe dotyczą wnuka pirata lub zbieg... Mnie.

Niemal powiedział mu, że jest zbiegłym kryminalistą z Waldena, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Ależ oczywiście, że dotyczą! – stwierdził zszokowany Thal. – Człowiek który został zhańbiony nie ma żadnych praw! Każdy może go obrabować, każdy może go zabić, jeżeli tylko będzie chciał. Ale jeśli będzie się bronił przed rabunkiem, albo zabije kogoś innego w samoobronie, zostanie powieszony!

Schodzili po nierównych kamiennych stopniach. Hoddan zatrzymał się na chwilę.

– Mówisz o mnie w przyszłości? – spytał sardonicznie. – Oczywiście lady Fani nie miała zamiaru postawić mnie w takiej sytuacji!

– Nie byłeś zbyt miły – wyjaśnił Thal. – Ona wyperswadowała swojemu ojcu umieszczenie nas w lochu, dopóki mu się o nas nie przypomni. Powinieneś przynajmniej okazać dobre maniery! Powiedzieć grzecznie, że przybyłeś tu poprzez pustynie i oceany płomieni, przyciągnięty niezmierną sławą jej niewysłowionego piękna. Mogłeś powiedzieć, że słyszałeś pieśni

o jej słodyczy przy obozowych ogniskach, pół świata stąd. Oczywiście nie uwierzyłaby ci, ale…

– Daj spokój! – przerwał mu Hoddan. – I przez to rozumiesz tylko dobre maniery? Co więc powiedziałbyś dziewczynie, którą naprawdę lubisz?

– E, tam – powiedział Thal, – po prostu prawiłbyś jej tylko komplementy!

Resztę stopni Hoddan pokonał ciężkim krokiem. Nie był z siebie za bardzo zadowolony. Na tym dziwnym świecie, z jego dziwnymi zwyczajami, kiedy broń, którą miał, z każdą chwilą traciła swój ładunek, nie potrzebne mu były żadne dodatkowe problemy. Ale jeśli zostanie zakwalifikowany do kategorii gorszy - niż - przestępca, tak jak to opisał Thal…

Na dole schodów oznajmił mu, ciężko wzdychając:

– Kiedy wsadzisz mnie do łóżka, wrócisz i powiesz lady Fani, aby zaraz po śniadaniu zorganizowała dla mnie konia i pozwolenie na walkę z tym lordem Ghekiem!

Był za bardzo rozzłoszczony, by jasno myśleć. Pozwolił się zaprowadzić do czegoś w rodzaju kwater, co prawdopodobnie odpowiadałoby opisowi miłego lochu Dona Lorisa. Thal gdzieś zniknął i pewnym czasie pojawił się z powrotem z jakimiś maściami na pęcherze Hoddana, ale bez jedzenia. Ponownie wyjaśnił, że jedzenie oferowane Hoddanowi, powodowałoby że poderżnięcie mu gardła stałoby się czynem haniebnym. Hoddan jadowicie zaklął, ale zrzucił ubranie i wysmarował się obficie w miejscach gdzie stracił skórę. Maść piekła jak ogień, i potem leżał nie mogąc usnąć, w czymś w rodzaju posępnej furii. A w dodatku był niesamowicie głodny!

****

Wydawało mu się, że przez całe wieki nie zmrużył oka, ale jednak w końcu musiał się zdrzemnąć, ponieważ obudził go jakiś wrzask. To nie do końca był wrzask, a raczej jedynie jakby jego początkowa część. Zakończył się w wyjątkowo nieprzyjemny sposób, a jego echa rozeszły się po całym zamku, odbijane przez jego kamienne ściany. Hoddan błyskawicznie wyskoczył z łóżka, z paralizatorem w dłoni, zanim jeszcze po tym pierwszym wrzasku nastąpiły kolejne okrzyki i nawoływania, uderzenia stalą o stal, i cały ten szaleńczy tumult bitwy toczonej w ciemnościach. Wrzawa wyraźnie się przemieszczała. W odstępach kilku sekund odgłosy walki dobiegły z zupełnie innego kierunku, tak jakby jakieś siły uderzeniowe poruszały się słabiej bronionymi korytarzami.

Nie powinno to dotrzeć do drzwi Hoddana, ale warknął ostro na siebie, przywołując się do porządku. Na feudalnej planecie można było wszystkiego się spodziewać. Ale prawdopodobnie chodziło o to, że etykieta wymagała, aby odrzucony konkurent uprowadził siłą, pannę która nim wzgardziła. Młody lord, nazwiskiem Ghek musiał porwać Fani, aby nie zostać uznanym za człowieka bez ikry.

Gdzieś nagle wystrzeliła broń. Bez wątpienia była to broń prochowa, w której gwałtowna eksplozja chemiczna wyrzucała metalowy pocisk. Ponowny wystrzał. Natychmiast wszystko niemal ucichło. Potem trudne do zniesienia wrzaski tryumfu, i wiele innych różnych przenikliwych hałasów, a w końcu znowu niesamowicie głośny szczęk broni.

Hoddan był już ubrany, a przynajmniej na tyle ubrany, by znaleźć miejsce w które mógł poutykać paralizatory. Potrząsnął drzwiami, próbując je otworzyć, nerwowo zastanawiając się jak rozpoznać kto jest po której stronie, oraz po czyjej, u licha, stronie właściwie powinien stanąć.

Drzwi były zamknięte. Teraz naprawdę się wściekł. Rzucił się na nie z całej siły, ale niemal nie drgnęły. Były zaryglowane od zewnątrz. Zaklął bardzo nieprzyzwoitymi słowami, i rozwalił na kawałki konstrukcję swojego łóżka, aby zrobić z niej taran.

Walka osiągnęła punkt kulminacyjny. Usłyszał kobiecy krzyk, i jakimś sposobem, bez najmniejszych wątpliwości po prostu wiedział, że była to lady Fani, tak samo jak bez najmniejszych wątpliwości wiedział już, że walczyłby w obronie każdej dziewczyny, porywanej przez mężczyznę, którego nie chciała poślubić. Złapał i rozhuśtał kłodę tworzącą przedtem narożny słup jego łóżka. Coś zatrzeszczało. Rozhuśtał i szarpnął jeszcze raz.

Dźwięk bitwy zmienił się w odgłosy walki w biegu. Cel najeźdźców musiał więc zostać osiągnięty. Mając już to, po co tutaj przybyli – i mogło tu chodzić jedynie o lady Fani – szybko się wycofywali, walką tylko osłaniając swój odwrót. Hoddan z szaloną pasją uderzył nogą swojego łóżka. Coraz lepiej słyszał podniecone wrzaski, szczękanie mieczy, a ze środka tego wszystkiego gwałtowny, zdesperowany płacz Fani, gdy nagle wyłamała się jedna z desek w drzwiach jego pokoju gościnnego - celi. Uderzył ponownie. Pędzący napastnicy tłumnie przebiegli koło narożnika korytarza, kilka jardów dalej. Uderzał i przeklinał, przeklinał i uderzał, a tumult coraz bardziej się oddalał, aż w końcu usłyszał grzmiący odgłos kopyt uciekających koni, dochodzący już gdzieś spoza zamku. Szydercze wrzaski tryumfu, mieszały się z coraz cichszym tętentem koni, oddalających się od zamku w nocnych ciemnościach, aż do chwili gdy wszystko umilkło.

Ciągle szalejąc i wrzeszcząc w furii, w nieartykułowany sposób, Hoddan walił swoim zaimprowizowanym taranem w drzwi. Nie myślał świadomie o tym aby wykorzystać rozpacz, jaką Don Loris mógł odczuwać z powodu porwania jego córki. Ale u większości mężczyzn pojawia się instynktowny sprzeciw, wobec zmuszania dziewczyny do małżeństwa wbrew jej woli. Hoddan grzmocił w swoje drzwi. Wokół niego zamek zaczął szumieć jak rój dzikich pszczół. Kobiety płakały lub krzyczały, mężczyźni wrzeszczeli szaleńczo jeden na drugiego, a żołnierze nie będący na służbie zbiegali się zewsząd, spóźnieni szukając kogoś z kim trzeba by było walczyć, wyciągając broń przeciwko sobie nawzajem, i nie mając pojęcia gdzie są wrogowie.

Bron Hoddan robił chyba tyle hałasu, jak co najmniej czterech z nich. Ktoś przyniósł w pobliże jakieś światło, które zaczęło prześwitywać przez

odłamki połamanych desek. Dzięki Bogu, teraz widział już na tyle dobrze, że mógł wycelować. Z potężnym impetem walnął w resztki desek i drzwi się rozleciały. Z rozpędu aż wyleciał przez teraz puste przejście i znalazł się nagle na zewnątrz pokoju, w korytarzu, obserwowany przez dwu zupełnie mu obcych ludzi.

– To ten inżynier – jeden z nich wyjaśnił drugiemu. – Widziałem go, kiedy przyjechał z Thalem.

– Dajcie mi Thala – zimno powiedział Hoddan. – Dajcie mi tuzin koni. Dajcie mi ludzi, którzy pojadą ze mną. – Przepchnął się między nimi do przodu. – Którędy dostanę się do stajni?

Potem jednak zawrócił i wziął z pokoju swoją torbę i paralizatory. Patrząc na jego zdecydowaną minę i gniewną postawę, przyboczni Dona Lorisa jakoś nie mieli ochoty mu się sprzeciwiać. Lady Fani została porwana w środku nocy, poprzez grupę najeźdźców, bez wątpienia dowodzoną przez lorda Gheka. Obrońcy zamku nie potrafili temu zapobiec. Tak więc, pomimo że nie było specjalnych powodów do tego, aby słuchać Hoddana, jednak ze wszech miar wydawało się to rozsądne, a przede wszystkim pozwalało pokazać, że zajmują się czymś użytecznym.

Niemal został wypchnięty z korytarza przez podnieconych przybocznych, którzy usilnie starali się sprawiać wrażenie, niesamowicie kompetentnych i przydatnych. Zeszli na sam dół długiej rampy, wołając niespokojnie na innych. Obeszli dookoła miejsce, gdzie dwu ludzi leżało na podłodze całkiem nieruchomo. Potem rozległy się okrzyki „Thal! Tędy! Thal!”, i Hoddan znalazł się na małym, otoczonym kamiennymi ścianami, zamkowym dziedzińcu, znajdującym się tuż za zamaskowaną boczną bramą do robienia wycieczek. Był on wypełniony kręcącymi się wokół bez ładu i składu postaciami, z pochodniami w rękach. Był tam też Thal blady jak ściana i desperacko wystraszony. Za nim stał Don Loris, jego oczy płonęły dzikim ogniem, a ręce drżały, z gniewu dosłownie nie był w stanie wykrztusić z siebie nawet słowa.

– Wybierz tuzin ludzi, Thal! – zakomenderował Hoddan. – Dawać dla nich konie! I do diabła, dawać konia dla mnie! Pokażę im jak się używa paralizatorów, kiedy już wyruszymy!

Thal trzęsąc się cały, wydyszał:

– Oni okaleczyli większość koni!

– To dawaj te, które pozostały! – warknął ostro Hoddan. Nagle z wściekłością rzucił Donowi Lorisowi. – Będziemy więc mieli kolejny przypadek, kiedy na Darth użyte zostaną paralizatory. Proszę, niech pan tego zabroni, jeśli oczywiście pan sobie tego życzy!

****

Tupot kopyt. Thal na koniu, który wierzgał i boczył się zdenerwowany pochodniami i panującym dookoła zamieszaniem. Inne konie podobnie płochliwe i wystraszone, z zapachem rozlanej krwi w chrapach, walczyły z prowadzącymi je ludźmi, tocząc wokół przerażonymi oczyma.

Thal szukał wzrokiem odpowiednich ludzi i wywoływał ich. Wszędzie było mnóstwo świateł. Po wywołaniu nazwiska, wybrany człowiek wsiadał na konia. Pozostali ludzie ciskali im miecze, włócznie i inne rozmaite elementy uzbrojenia. Niektórzy z wybranych mężczyzn, zaczęli natychmiast chełpliwie się przechwalać z powodu tej decyzji. Inni, dla odmiany, wyglądali raczej na przygnębionych i nieszczęśliwych. Ale Don Loris wpatrywał się w nich rozjarzonymi z wściekłości oczyma, dysząc niemal ze złości, tak więc żaden z ludzi nie ośmielił się odmówić.

Hoddan niezdarnie wgramolił się na konia, którego przytrzymywało czterech czy pięciu ludzi. Thal z idealnym wyczuciem dramatyzmu obecnej sytuacji, chwycił pochodnię i zaczął wymachiwać nią nad głową. Usłyszeli mocne szczęknięcie i otworzyła się zamaskowana furta. Thal ruszył przez nią z potężnym łoskotem kopyt, a inni jeźdźcy podążyli za nim.

W całej twierdzy paliło się teraz wszędzie pełno świateł. Wzdłuż blanków, ludzie rozpalili ognie w płonących koszach i opuścili je do połowy murów, tak by oświetlić ewentualne wrogie siły, które mogły w nieprzyjaznych zamiarach próbować podejść do twierdzy. Jeszcze inni wymachiwali pochodniami ze szczytu murów.

Thal kiwnął swoją pochodnią i wskazał nią na ziemię.

– Tędy pojechali! – zawołał do Hoddana. – Jadą do zamku Gheka!

Hoddan powiedział z gniewem.

– Zgaś to światło! Czy chcesz ogłosić wszystkim wokół jak niewielu nas jest, i co chcemy zrobić? Dalej, podjedź tu do mnie!

Thal rzucił pochodnię na ziemię i konie przekraczały ją, dopóki cała grupa jeźdźców nie przejechała dalej. Thal nagle się ożywił.

– Łupy powinny być niezłe, ech? Czego chcesz ode mnie?

– Musisz się czegoś nauczyć – warknął Hoddan. – Patrz! To jest paralizator. Ustawiony jest na prowadzenie ognia tylko pojedynczymi strzałami. Tak się go trzyma, z palcem wzdłuż tego pręta. Wskazujesz tylko tym palcem na człowieka i naciskasz ten spust. Pistolet zabrzęczy… króciutko. Potem tylko puszczasz spust, wskazujesz na innego człowieka i znowu naciskasz spust. Zrozumiałeś? Nie próbuj używać tego na odległość powyżej dziesięciu jardów. Strzelcem wyborowym to ty nie jesteś!

Następnie, jadąc w ciemnościach za Hoddanem, na galopującym koniu, Thal gorliwie powtórzył swoją lekcję.

– Pokaż to kolejnemu z ludzi i potem przyślij go do mnie po pistolet – zwięźle zakomenderował Hoddan. – Ja w tym czasie będę uczył innych.

Odwrócił się do człowieka, który jechał po jego lewej stronie, zdecydowanie zbyt blisko. Zanim zdążył wyjaśnić mu wszystkie sprawy do końca, po jego prawej, kolejny z jeźdźców już wołał broni.

Było to nawet nie najprostsze szkolenie w zakresie użycia nowoczesnej broni. Zresztą, jeśli już o to chodzi, to Hoddan sam miał tylko dosyć podstawowe kwalifikacje dla udzielania porad militarnych. Sam odbył jedynie dwie wyprawy pirackie. Ale na Zan już małe dzieci bawiły się w piratów, sumiennie naśladując swoich rodziców. W ich dziecięcych grach przynajmniej były przedstawione możliwości paralizatorów. Tak więc Hoddan wiedział na temat walki paralizatorem dużo więcej niż ktoś kto nie wiedział o tym kompletnie nic.

Grupa ścigających porywaczy jeźdźców, pędziła przez ciemną noc pod dziwacznie rozmieszczonymi gwiazdozbiorami. Hoddan jakoś trzymał się w siodle i wykrzykiwał kolejne instrukcje, ucząc Darthian jak strzelać. Czuł się bardzo dziwnie. Powoli też zaczynał się martwić. Kiedy światła zamku Dona Lorisa znikły już za ich plecami, zaczął zdawać sobie sprawę z tego jak niewielki był jego oddział.

Thal mówił wcześniej coś o okaleczonych koniach. A więc musiały być dwie grupy atakujących. Jedna uderzyła na stajnie, aby ściągnąć tam wszystkich przybocznych, którzy byli na służbie. Wtedy druga przeszła przez mur lub otwartą dzięki łapówce furtę wypadową i pośpieszyła w stronę apartamentów lady Fani. Tym sposobem atakujący zabezpieczyli się, powodując, że ewentualny pościg z nimi mógł mieć tylko słowny charakter. Wiedzieli, że są wielokrotnie silniejsi, niż jakikolwiek pościg, który mógł za nimi wyruszyć. A wiec byłoby absurdem, gdyby uciekali jakoś bardzo szybko…

****

Hoddan kopnął trochę mocniej piętami swojego konia i wysunął się na czoło krótkiej kolumny nocnych jeźdźców.

– Thal! – warknął. – Byliby skończonymi idiotami gdyby tak ciągle uciekali, a teraz są już za daleko, aby przejmować się pogonią ludzi na pieszo. Gdzieś tu więc zatrzymają się, aby na nas poczekać… a przynajmniej większość z nich. Jedziemy prosto w zasadzkę.

– Dobre łupy, nie? – powiedział Thal.

– Idiota! – wrzasnął Hoddan. – Ci ludzie cię znają. Sam widziałeś, co mogę zrobić z paralizatorem w ręku! Powiedz im, że jedziemy w zasadzkę. Niech jadą tuż za nami. Powiedz im też, żeby nie strzelali do niczego co jest w odległości większej niż pięć jardów i nie podjeżdżali do przeciwników, a jeżeli tylko któryś z naszych ludzi zatrzyma się choć na chwilę, aby kogoś splądrować, osobiście go zabiję!

Thal gapił się na niego z wytrzeszczonymi oczyma.

– Nie zatrzymywać się, aby plądrować?

– Ghek się nie zatrzyma! – warknął Hoddan. – Zabierze Fani do swojego zamku, zostawiając z tyłu większość ludzi, aby nas powstrzymali.

Thal szarpnął wodze w bok i Hoddan dalej galopował sam na czele małego oddziału. Siedział na koniu dopiero drugi raz w życiu, i było to zdecydowanie o dwa razy za dużo. Ta przygoda raczej nie była zbyt przyjemna. Przyszła mu do głowy frustrująca myśl, że takie dynamiczne akcje jak ta, nie są wcale, tak naprawdę, bardziej satysfakcjonującym zajęciem niż piractwo. Ale Fani wmanewrowała go w pułapkę, w której musiał albo walczyć z Ghekiem, albo stracić honor, a utrata honoru na Darth była równoważna samobójstwu.

Grunt pod końskimi kopytami zaczął łagodnie się wznosić. Powoli robiło się coraz bardziej stromo. Konie zwolniły kroku. Nachylenie terenu ciągle rosło. Koń Hoddana zwolnił do stępa, w którym krocząc rytmicznie

podrzucał głowę. Było to jedynie odrobinę mniej niewygodne niż galop. W górze dał się dostrzec zamglony zarys drzew.

– Doskonałe miejsce na zasadzkę – ponuro zreflektował się Hoddan.

Wydobył paralizator i ustawił przełącznik na ogień ciągły, coś czego nie odważył się powiedzieć pozostałym.

Jego koń nagle się zatrzymał. Z przodu rozległ się potężny wrzask i w kierunku Hoddana wysypały się jakieś zamglone postacie.

Starannie się przygotował, aby przeciągnąć paralizatorem od prawego krańca, poprzez przestrzeń znajdującą się na wprost niego, i dalej maksymalnie w lewą stronę. Pistolet powinien być w stanie strzelać ciągłym ogniem przez cztery sekundy. Działał jednak tylko na energii zmagazynowanej w zasobniku. Nie śmiał liczyć na więcej niż trzy sekundy.

Nacisnął spust. Paralizator brzęczał cicho, chociaż odgłosu jego pracy w ogóle nie dało się usłyszeć, poprzez wrzaski porażonych partyzantów lorda Gheka.



V

Hoddan dziko klął, głęboko sięgając do swoich bogatych zasobów słownikowych.

– Wy (---- ocenzurowano ----) (---- wykreślono ----) (---- piiiii ----) – wrzeszczał z furią. – Wracać mi natychmiast na konie, albo was powystrzelam z paralizatora i zostawię ludziom Gheka, aby się z wami zabawili, gdy już będziecie mogli znowu się ruszać! Wracać na te cholerne konie! Liczę do trzech! Raz… dwa…

Ludzie wsiedli z powrotem na konie.

– Teraz dalej naprzód – Hoddan aż zazgrzytał zębami. – Wszyscy! Policzę was sobie dokładnie!

Tuzin jeźdźców z twierdzy Dona Lorisa niechętnie ruszył naprzód. Nie policzył ich. Jechał dalej, pędząc ich przed sobą.

– Ghek – oznajmił im mrożącym krew w żyłach tonem, – jest wart dużo więcej, niż wszystkie pieniądze jakie byście znaleźli plądrując kieszenie tych postrzelonych przybocznych. On ma lady Fani! Nie zatrzyma się, dopóki nie ukryje jej za murami swojego zamku! Musimy go złapać wcześniej! Chyba, że chcecie spróbować wspinaczki na mury jego zamku korzystając z pazurów u rąk? Jeśli Ghek dostanie się tam pierwszy, będziecie musieli to zrobić.

Konie ruszyły nieco szybciej. Thal powiedział z zaskakującą pokorą.

– Jeśli zbyt mocno zmęczymy nasze konie, padną zanim zdołamy ich złapać.

– Nie licz na to – warknął Hoddan. – Musimy ich złapać!

Wpadł w czarną otchłań, spowodowaną nie tylko ostrym uczuciem dyskomfortu, jakim była dla niego jazda. Nie chciał już myśleć ponownie o zasadzce. Została zastawiona, nie udała się. Cztery piąte wrogiego oddziału, który wywalczył sobie drogę w głąb twierdzy Dona Lorisa i z powrotem, czekało na nich na szczycie niewielkiego wzniesienia terenu. Wiedzieli, że pościg musi jechać tą drogą. Przez niskie, ale strome wzgórza prowadziły tylko dwa przejścia. Można było przejechać jednym z nich, albo drugim, ale w większości miejsc nigdzie indziej. Ich krew rozgrzewały jeszcze wspomnienia poprzedniej walki, a więc kiedy Hoddan ze swoją dwunastką zdawał się jechać dokładnie w paszczę zagłady, rzucili się do szaleńczej szarży.

Hoddan miał jednak nastawiony paralizator na ogień ciągły. Użył go tak jakby to był wąż strażacki, albo karabin maszynowy, starannie przeczesując nim noc, którą miał przed sobą, nie za szybko, ani nie za wolno. Zadziałało to na szarżujących ludzi Gheka dokładnie tak samo jak przerośnięta kosiarka do trawy. Niemal wszyscy pospadali na ziemię. Jedynie trzech z nich pozostało w siodłach, prawdopodobnie osłoniły ich

ciała ludzi znajdujących się przed nimi. Hoddan potraktował tę trójkę przy pomocy indywidualnych, spersonalizowanych wyładowań paralizatora… i natychmiast zaczęły się kłopoty z jego własnymi ludźmi, którzy chcieli zsiadać z koni i rabować swoich leżących wrogów.

Nie mógł pozwolić im nawet na zebranie koni należących do ludzi, którzy przed chwilą wypadli z akcji. Mogłoby to kosztować ich zbyt wiele czasu, i Ghek nie przegrałby już, niezależnie od tego co zrobiłby Hoddan. Mając za więźnia krzyczącą i trzęsącą się dziewczynę, każdy mężczyzna chciałby umieścić ją za umocnieniami swego zamku tak szybko jak to jest możliwe. Hoddan wiedział jednak, że jego oddział zwolnił nieco przez niego. Wkrótce zaczął gorzko sobie uświadamiać, że Ghek może dojechać do swego zamku zanim go przechwycą.

– To miejsce, do którego on się kieruje – zapytał Thala zniechęconym tonem. – Czy są jakieś szanse abyśmy się do niego wdarli?

– Och, nie! – żałośnie odpowiedział Thal. – Dziesięciu ludzi może je utrzymać przeciwko tysiącowi.

– A więc czy możemy jakoś ich wyprzedzić?

Thal powiedział z rezygnacją w głosie.

– Ghek prawdopodobnie ma porozstawiane świeże konie na zmianę, a więc może uciekać z najwyższą szybkością. Wątpię, abyśmy jeszcze mogli go złapać.

– Lady Fani – powiedział gorzko Hoddan, – zastawiła na mnie pułapkę, a więc jeśli do nie zwyciężę, będę zrujnowany.

– Zhańbiony – poprawił Thal. Dodał z żałością: – Zresztą to zupełnie to samo.

****

Wkrótce przygnębienie trapiące dowódców, spłynęło na cały oddział pościgowy. W niedostrzegalny sposób tempo ich koni coraz bardziej słabło. Zrobili dobrze, gdyż koń, który może pokonać swoim własnym tempem pięćdziesiąt mil w ciągu jednego dnia, zamęczy się na dziesięciu lub nawet mniej, jeśli będzie zbyt mocno popędzany. Kiedy Hoddan i jego ludzie znajdowali się niecałe dwie mile od zamku Gheka, ich konie zdecydowanie odmówiły poruszania się szybszym krokiem niż stęp. W odległości mili, utrzymywane były w ruchu jedynie poprzez nieustanne poganianie ich piętami.

Droga, którą podążali była dosyć szczególna. Właściwie to tutaj, na wzgórzach, nie było żadnego wyboru trasy. Mogli jedynie podążać za każdym zwrotem i zakrętem szlaku, wiodącego wzdłuż stromych zboczy górskich i przez niższe wierzchołki. Zupełnie nagle dotarli do jasnej, szerokiej doliny. W jej wyżej położonym krańcu, w odległości nie większej niż pół mili, płonęły żółte kosze z ogniem. Zobaczyli otwartą bramę zamku, przez która przejeżdżała właśnie ostatnia część oddziału jeźdźców. Kiedy brama się zamknęła, nawet Hoddan zaklął. Spoza murów

zamkowych, do kompletnie sfrustrowanego pościgu, dolatywały słabe okrzyki tryumfu.

– Mógłbym się założyć, że tak się to skończy – powiedział nieszczęśliwym tonem Hoddan. – Stajemy tu, Thal. Wybierz spośród swoich ludzi paru co bardziej wisielczych osobników, poszarp ich trochę, i posadź na koniach z rękoma widocznie związanymi z tyłu za plecami. Zrobimy mały odpoczynek na złapanie oddechu, pięć minut, nie więcej.

Nie pozwolił jednak ludziom zsiąść z koni. Sam również pozostał w siodle, przesuwając się nieustannie i próbując znaleźć mniej bolesny sposób siedzenia. Nie udało się. Po upływie pięciu minut, zaczął wydawać rozkazy. Z zamku Gheka nadal od czasu do czasu dobiegały okrzyki i owacje. Ich nieregularna częstotliwość sugerowała, że są one odpowiedzią na jakieś przemówienie. Ghek robił właśnie ludziom wspaniały, dramatyczny spektakl, ze schwytania swojej niechętnej zamążpójściu panny młodej. Zwracał się do przybocznych, mówiąc im, że dzięki ich wielkiej lojalności, współpracy i skłonności do ryzyka, i wszystko to dla swojego thana, mają teraz lady Fani, która zostanie panią na tym zamku. Dziękował im z całego serca, i wszyscy z pewnością zostali zaproszeni na oficjalną uroczystość ślubną, która powinna mieć miejsce, najprawdopodobniej, jutro.

Zanim jeszcze przemówienie dobiegło końca, Hoddan i jego znużeni towarzysze dotarli do plamy jasnego światła, rzucanego przez kosze z ogniem wiszące na zewnątrz muru. Thal wrzasnął w kierunku blanków.

– Więźniowie! – ryknął, zgodnie z otrzymanymi od Hoddana instrukcjami. – W zasadzce schwytaliśmy kilku więźniów! Mają niesamowite wieści! Powiedzcie lordowi Ghekowi, że najlepiej jeśli od razu wysłucha ich zeznań! Nie ma czasu do stracenia! Pilne!

Hoddan grał rolę jednego z więźniów, tak na wypadek gdyby ktoś z góry zauważył, że jeden z ludzi siedzi na koniu tak, jakby kompletnie tego nie umiał robić. Dzięki temu może pomyśli, że to z powodu rany odniesionej podczas walki.

W odpowiedzi, zza muru doleciała do nich kolejna porcja entuzjastycznych wrzasków. Błysnął okiem do swoich ludzi i natychmiast poprawili się w siodłach. Zatrzeszczała otwierana brama, i jeźdźcy z zamku Dona Lorisa zebrali się w duchu do działania. Na zewnątrz nie okazywali nawet śladu emocji, ponieważ Hoddan obiecał, że każdemu z ludzi, który zdradziłby ich podstęp przed czasem, osobiście wsadzi w pewne miejsce trzonek włóczni i to na pełną długość. Wjechali do zamku i brama zamknęła się za nimi. Wokół pojawili się ludzie, aby zabrać konie. To mogłoby ujawnić, że przybysze są obcymi, ale Ghek przyjął ostatnio wielu nowych przybocznych aby zabezpieczyć się dzisiejszego wieczora. W zamku już wcześniej było wiele obcych twarzy.

– Dobra walka, co? – zakrzyknął stary przyboczny, dawno już na emeryturze, trzymający w dłoni butelkę wina.

– Dobra walka! – zgodził się Thal.

– Dobry rabunek, ech? – krzyknął starzec nad głowami młodszych ludzi. – Jak za starych, dobrych czasów?

– Lepszy – huknął Thal.

Właśnie w tym momencie pojawił się młody lord Ghek. Jego twarz poznaczona była zadrapaniami, które zarobił jadąc z przewieszoną przez łęk siodła Fani. Wyglądał na mocno przejętego swoim zwycięstwem, ale bardzo niespokojnego o czekającą go nagrodę.

– Co z tymi więźniami i ich wspaniałymi wieściami? – rzucił rozkazująco. – Co to za nowiny?

– Don Loris! – zawył z radości Thal. – Niech żyje lady Fani!

Hoddan starannie wycelował i nacisnął spust, mając w swoim pistolecie – już trzecim dzisiejszego dnia – wciśnięty przełącznik ognia ciągłego. Drużbowie na dziedzińcu załamywali się i podali pokotem na bruk. Thal otworzył ogień ze swojego paralizatora. Inni krzyczeli i ciskali wyładowania na wszystkie żywe stworzenia jakie wpadły im w oczy.

– Do lady Fani! – rozkazał Hoddan, zsuwając się z konia, z podobną liczbą chrzęstów i trzasków, co zamkowa brama.

Jego ludzie pośpieszyli za nim, zeskakując z koni, jeśli musieli. Biegając beztrosko strzelali do wszystkiego. Paralizator, który przecież nie powoduje skutków śmiertelnych, nie zmusza tym samym swojego użytkownika do pewnego umiaru. Jeśli strzela się do kogoś, nawet bez żadnej wyraźnej potrzeby, to, rzecz jasna, nie jest on z tego powodu specjalnie zadowolony, ale też nie doznaje żadnego trwałego uszczerbku. Tak więc dwunastka prowadzona przez Hoddana, prowadziła coś, co można by nazwać morderczym ogniem, gdyby strzelali pociskami, ale w obecnym stanie rzeczy ich ogień określić należało, co najwyżej, jako niszczący.

****

Na zamku wszędzie się kotłowało: krzyki, bieganina i beznadziejne próby podjęcia walki przez ludzi uzbrojonych w miecze i włócznie. Już po kilku chwilach Hoddan, z Thalem u boku, utykając wkroczył do komnat, w poszukiwaniu Fani. Lord Ghek nie upadł po pierwszych wystrzałach. Zniknął gdzieś, ewidentnie uznając że zamek został zdobyty, a więc nawet nie próbował zorganizować oporu przeciwko najeźdźcom. Ludzie Hoddana kroczyli poprzez korytarze i sale zamku, wrzeszcząc ze szczęścia, kiedy docierali do kolejnych komnat. Używali swoich paralizatorów z zapałem i, zwłaszcza w tych zamkniętych pomieszczeniach, znaczącym efektem. Hoddan już z daleka słyszał gniewne krzyki Fani, dzięki temu szybko ją z Thalem znaleźli. Kiedy weszli do komnaty, młody lord Ghek próbował zmusić Fani do zejścia na dół, po zwisającym z okna sznurze. Bez wątpienia miał zamiar udać się za nią, i uciekając zrealizować porwanie do końca. Ale Fani ugryzła go i odskoczyła.

Hoddan z irytacją rzucił do niego:

– Słuchaj no, ty! Zdaje się, że jeśli nie uda mi się ciebie pokonać, to będę zhańbiony…

Młody lord Ghek rzucił się na niego, wyciągając miecz, z ogniem czystego szaleństwa desperacji w oczach. Hoddan posłał go na podłogę strzałem z paralizatora.

Jeden z ludzi Hoddana przybiegł, szukając go po całym zamku:

– Sir – oznajmił, bełkocząc z podniecenia, – garnizon został przyparty do muru w swoich kwaterach, trafiamy ich po kolei przez okna, a oni myślą, że padają martwi i chcą się poddać. Czy mamy im na to pozwolić?

– Jak najbardziej – odparł z irytacją Hoddan. – A, Thal, poszukaj czegoś do ubrania dla lady Fani. Tylko czegoś grubszego niż koszula nocna. Potem możesz sobie iść trochę poplądrować. Pamiętaj jednak, że chcę, byśmy wynieśli się stąd najpóźniej za pół godziny. Zrozumiałeś?

– Sama zajmę się swoim ubraniem – powiedziała mściwie lady Fani. – Gdy będę się przebierać, poderżnij mu gardło.

Skinęła głową w stronę leżącego na posadzce nieprzytomnego lorda Gheka. Znikła w najbliższych drzwiach. Hoddan mógł się tylko domyślać, że Ghek przygotował tam coś wymyślnego, w ramach wyprawki dla panny młodej, którą siłą uprowadził z jej domu. W gruncie rzeczy było to właśnie coś takiego, co Darthianin mógłby zrobić. Teraz Fani mogła sobie z satysfakcją wybrać coś najlepszego i założyć to na siebie, podczas gdy…

– Thal – polecił Hoddan, – pomóż mi odnieść tego osobnika gdzieś na bok. Przecież go nie zabijemy. Co prawda nie lubię go, ale w tym momencie, tak generalnie, to za nikim specjalnie nie przepadam, a poza tym nie mam ochoty grać roli czyjegoś tam faworyta.

Thal odciągnął znieczulonego młodego szlachcica do następnej komnaty. Hoddan zamknął drzwi, i schował klucz do kieszeni, zanim Fani zdążyła wrócić i go zobaczyć. Odziana była wręcz oszałamiająco, w brokaty i klejnoty. Ghek ewidentnie miał nadzieję ułagodzić ją po ślubie takimi błyskotkami i nie żałował na nie pieniędzy.

W pałacu ciągle jeszcze huczało wiele najróżniejszych odgłosów. Czasami – nie za często – dobiegały ich nadal trzaski i brzęczenia paralizatorów. Rozlegały się częste głośne krzyki. Bez wątpienia miały one wiele wspólnego z toczącą się właśnie grabieżą. W głosach kobiet słychać było chwilami głośne skargi, ale… zdecydowanie więcej chichotów.

– Nie muszę chyba mówić – oznajmiła z godnością lady Fani, – że wielce panu dziękuję.

– Przyjmuję to z wdzięcznością, pani – uprzejmie odparł Hoddan. Hmmm… awansował na „pana”.

– I co ma pan zamiar teraz zrobić?

– Wyobrażam sobie – powiedział Hoddan, – że zejdziemy teraz na dziedziniec, gdzie są nasze konie. Dałem moim ludziom pół godziny na rabunek. W tym czasie mam zamiar spokojnie sobie gdzieś posiedzieć, na czymś co, jak mam nadzieję, pozostawać będzie w kompletnym bezruchu. A do tego chętnie – dodał zbolałym tonem, – zjadłbym jakieś jabłko. Od czasu wylądowania na Darth nie miałem jeszcze nic w ustach. Tutejsi ludzie, niestety, nie chcieli zaryzykować konieczności rezygnacji z poderżnięcia mi gardła. Ale za pół godziny, wyjeżdżamy.

Lady Fani popatrzyła na niego ze współczuciem.

– Ale zamek poddał się panu – zaprotestowała. – Ma pan go w ręku! Czy nie ma pan zamiaru spróbować go utrzymać?

– Tam w oddali czeka całkiem sporo dosyć nieprzyjemnych osobników – powiedział Hoddan, machając ręką w stronę nieokreślonego miejsca, gdzieś na zewnątrz, – którzy mają powody do tego aby mnie bardzo nie lubić. Kiedy w końcu dojdą już do tego wniosku, będzie im bardzo zależało, na odpowiednim wyrażeniu swych uczuć w stosunku do mojej skromnej osoby. Ja zaś, mam zamiar im się wymknąć. W dodatku, również ludzie na zamku wkrótce uświadomią sobie, że nawet paralizatory nie mogą strzelać w nieskończoność. Kiedy to się stanie, raczej nie chciałbym być w pobliżu.

****

Podał jej ramię, z bardzo dostojną miną i, utykając, ruszył u jej boku na dziedziniec. Zatrzymali się niemal w samej bramie. Kiedy pojawili się na dole, dwu z przybocznych Dona Lorisa, wytoczyło się chwiejnym krokiem w ich pobliżu, zwalając na stertę zrabowane łupy, obejmujące najróżniejsze rzeczy od kwarcianych baryłek wina, do masy skłębionych tkanin, na które musiały się składać kobiece ubrania. Zaraz gdzieś sobie poszli, ale już zbliżali się kolejni ludzie obładowani własnym wkładem w zdobycz. Niektórzy z miejscowych przyglądali się temu z niekłamanym oburzeniem.

Hoddan znalazł ławkę i w końcu sobie usiadł. Położył na widoku jedną ze zdobytych na zamku sztuk broni. Pobici przyboczni Gheka przyglądali mu się z ponurymi minami.

– Przynieście mi coś do jedzenia! – polecił Hoddan. – Potem, jeśli przyprowadzicie świeże konie dla moich ludzi, i po jednym dodatkowym dla każdego, aby mógł ponieść jego zdobycz, to zabiorę ich stąd. Uwolnię nawet lorda Gheka, który na razie jest cały i zdrowy, ale jego życie zależy tylko od waszego zachowania. Jeśli nie zrobicie tego …

Sugestywnie wyciągnął pistolet. Stali mieszkańcy zamku Gheka odsunęli się, dyskutując powstałą sytuację przyciszonymi głosami.

Lady Fani dumnie usiadła na ławce obok niego.

– Pan jest cudowny! – oznajmiła z przekonaniem.

– Przywykłem samemu żywić tę iluzję – powiedział Hoddan.

– Ale nikt przedtem w całej historii Darth, nie pokonał dwudziestu ludzi, a potem trzydziestu ludzi, nie zniweczył zasadzki, oraz nie zdobył zamku. I wszystko to w jeden dzień!

– A w dodatku bez jedzenia – ponuro dodał Hoddan, – i z olbrzymią liczbą pęcherzy na całym ciele!

Siedział i głęboko się zamyślił. Ktoś przybiegł z chlebem, serem i winem. Wgryzł się w chleb z serem. Po chwili powiedział z pełnymi ustami.

– Kiedyś widziałem człowieka wykonującego rekordowy wyczyn, skok przez dziewięć ustawionych w rzędzie beczek. Nigdy wcześniej, nikomu nie udało się tego zrobić. Ale ja, prawdę mówiąc, wcale mu nie zazdrościłem.

Po prostu nigdy nie chciałem skoczyć przez dziewięć beczek w rzędzie. Tak samo, nigdy specjalnie nie chciałem walczyć z innymi ludźmi, wyrywać się z zasadzek lub zdobywać zamków. Chciałbym robić w życiu to co lubię ja sam, a nie to czym zachwycali by się inni.

– A więc co chciałby pan robić? – zapytała z podziwem.

– Teraz, sam już nie jestem pewien – stwierdził z przygnębieniem Hoddan. Ugryzł kolejny kęs. – Ale jeszcze do niedawna chciałem zrobić pewne interesujące i użyteczne rzeczy w elektronice, stać się względnie bogatym, poślubić wspaniałą dziewczynę i zostać wybitnym obywatelem Waldena. Myślę, że teraz przeniosę się na kolejną planetę.

– Mój ojciec uczyni pana bogatym – dumnie stwierdziła dziewczyna. – Ocalił mnie pan przed małżeństwem z Ghekiem!

Hoddan potrząsnął głową.

– Mam pewne wątpliwości, co do tego – odparł. – Pani ojciec miał plan, aby zaimportować dużą liczbę paralizatorów i uzbroić w nie swoich przybocznych. Potem miał zamiar ruszyć na port kosmiczny, i chciał abym zorganizował tam jednostkę przesyłu mocy, przez cały czas uzupełniającą ich ładunek. Wtedy mógłby spokojnie usiąść na tyłku i cieszyć się życiem. Dopóki ja bym trzymał w ręku port kosmiczny, nikt inny nie mógłby zdobyć paralizatorów, i nikt nie byłby w stanie oprzeć się jego przybocznym, uzbrojonym w paralizatory. A więc stałby się najważniejszym człowiekiem na Darth. Miałby tyle władzy, ile by tylko chciał posiąść. Wydaje mi się, że hołubił ten swój mały pomysł, a tymczasem ja pojawiłem się tutaj z hukiem i przedwcześnie dałem pokaz możliwości paralizatorów. Teraz nie ma już najmniejszej szansy na jego realizację. Obawiam się, że nie będzie ze mnie za bardzo zadowolony.

– Mogę się tym zająć! – oświadczyła Fani z ufnością we własne siły. Nie kwestionowała jednak samego faktu, że jej ojciec będzie niezadowolony.

– Niewykluczone, że, pani może – powiedział Hoddan, – ale on, chociaż odzyskał córkę, stracił swoje marzenie. A to jest naprawdę bolesna strata! Wiem coś na ten temat!

****

Ciężko stąpając, na dziedzińcu pojawiły się konie, wraz z prowadzącymi je przybocznymi Gheka. Wykazywali oni dużą ochotę do tego by jak najszybciej pozbyć się najeźdźców. Ludzie Hoddana przeciskali się z tyłu, z rękoma pełnymi zdobyczy, którą dodali do stosów wcześniej zgromadzonych łupów. Thal objął dowodzenie, rozkazując przełożyć siodła ze zmęczonych koni na świeże, oraz zapakować zrabowane rzeczy na zapasowe konie. Był na to już najwyższy czas. Dziewięciu z tuzina plądrujących pracowało przy koniach, kiedy gdzieś z tyłu zamku wybuchł głośny tumult. Krzyki i szczękanie stali. Hoddan pokręcił głową.

– Niedobrze! Któryś z naszych ma pusty pistolet, i miejscowi chłopcy domyślili się tego. Teraz będziemy musieli znowu walczyć… nie.

Skinął na przysłuchującego w napięciu odgłosom walki, mieszkańca zamku. Podniósł w górę klucz od pokoju, w którym zamknął młodego lorda Gheka.

– Otwieraj w tej chwili bramę – rozkazał, – i sprowadź tu natychmiast moich trzech ostatnich ludzi, to wyjedziemy nie podkładając ognia. Lordowi Ghekowi by się to spodobało. Jest zamknięty w pokoju, który szczególnie łatwo może się spalić!

Ostatnie zdanie było oczywiście kompletnym wymysłem, ale przyboczny Gheka wyglądał na przerażonego. Natychmiast zaczął wykrzykiwać polecenia. W ponurej i wrogiej atmosferze. panującej wokół, nastąpiła subtelna zmiana. Mężczyźni podeszli z gniewem, aby pomóc ładować dodatkowe konie. Ostatni trzej ludzie Hoddana wyszli z korytarza, wycierając krew z różnego rodzaju ran i otwarcie się skarżąc, że ich pistolety zostały zupełnie wystrzelane, i musieli się bronić samymi nożami.

Trzy minuty później kawalkada wyjechała z bramy zamkowej i znikła w ciemnościach. Kiedy Hoddan przybył tutaj, z tuzinem jeźdźców, Ghek siedział w środku zamku, trzymając uwięzioną Fani i mając do obrony murów co najmniej setkę ludzi. Sam zamek zaś uważany był za nie do zdobycia.

W ciągu pół godziny Hoddan i jego towarzysze zdobyli zamek, pobieżnie go złupili, uratowali Fani, zdobyli świeże konie dla siebie oraz dodatkowe do przewozu zdobyczy, a potem odjechali. Ich sytuacja tylko pod jednym aspektem była gorsza niż wtedy gdy przybyli pod zamek. Niektóre z paralizatorów zostały rozładowane.

Hoddan przepatrzył niebo i porównał z układem gwiazd, jaki zapamiętał wcześniej.

– Stać! – ostro powiedział do Thala. – Nie pojedziemy tą samą drogą, którą tutaj przyjechaliśmy. Ta banda, co się na nas zasadziła, będzie już w stanie się poruszać, a my nie mamy już pełnych paralizatorów! Musimy objechać tych ludzi dużym łukiem!

– Dlaczego? – sprzeciwił się Thal. – Przez góry nie ma zbyt wielu przejść. Jedyna droga, z której moglibyśmy skorzystać, wymaga trzykrotnie dłuższego czasu jazdy. A unikanie walki jest rzeczą haniebną.

– Thal! – warknął lodowaty głos gdzieś zza pleców Hoddana. – Otrzymałeś rozkaz! Wykonaj go!

Nawet w ciemności Hoddan spostrzegł podskok Thala.

– Tak, moja pani, lady Fani – wykrztusił Thal drżącym głosem. – Ale będziemy musieli nadłożyć mnóstwo drogi.

****

Kierunek w którym zmierzali przez noc, uległ teraz zmianie. Długa linia jeźdźców poruszała się w kompletnych ciemnościach, rozjaśnianych tylko przez poświatę dużej liczby gwiazd. Tym niemniej, po pewnym czasie, oczy stopniowo przyzwyczaiły się do mroku, i kawalkada stała się urokliwym spektaklem – dwadzieścia osiem zwierząt pędzących przez

ciemne wąwozy i krok za krokiem pokonujących ostre, poszarpane wzgórza. Z jednej strony zdawały się rzucać wyzwanie wszystkiemu i wszystkim, z drugiej skradały się, znikając w nicości. Małe dzikie stworzenia nocy bojaźliwie przystawały w swoim biegu, dopóki nie ludzie odjechali daleko od nich.

Fani rzekła łagodnym tonem.

– Jak miło!

– A co w tym takiego miłego? – dopytywał się Hoddan.

– Jechać tak jak teraz – entuzjastycznie wyjaśniła Fani, – z mężczyzną, który dla mnie walczył, a teraz mnie strzeże w ciemności, z przywódcą, który mnie uratował, jadącym u mego boku, pod światłem gwiazd. To wspaniałe uczucie!

– Jest pani przyzwyczajona do jazdy konnej – ponuro odparł Hoddan.

Jechał i jechał, podczas gdy góry wypiętrzały się coraz wyżej, do samego nieba, a wąskie przejście, którym podążali, wiło się we wszystkie strony. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że to była naprawdę bardzo okrężna droga. A w dodatku perspektywy rysujące się przed nim wydawały się być niezbyt satysfakcjonujące, jeśli w ogóle były jakiekolwiek.

W końcu jednak dotarli do wąskiego wąwozu, który otworzył się przed nimi, a dalej z przodu nie było już widać gór, a jedynie niskie pogórze. Wtedy też zobaczyli, daleko przed sobą, że niebo staje się nieznacznie jaśniejsze. W miarę jak podążali dalej, na horyzoncie wyraźnie pojawiły się czerwone i złote przebarwienia.

A spomiędzy tego cudownego spektaklu wystrzeliły nagle trzy jasne światła. W idealnej formacji V, mknęły błyskawicznie od strony wschodzącego słońca, w kierunku zachodnim. Przeleciały im nad głowami, błyszcząc wspanialej niż najjaśniejsze gwiazdy, a po pokonaniu większej części drogi ku horyzontowi, nagle zamigotały.

– Co to było, na Ziemię? – dopytywała się Fani. – Nigdy przedtem nie widziałam czegoś takiego!

– To statki kosmiczne na orbicie – powiedział Hoddan. – Był równie zaskoczony jak dziewczyna, ale z zupełnie innego powodu. – Myślałem, że do tego czasu już wylądują!

To wszystko zmieniało. Mógł nie wiedzieć jak duże są to zmiany, ale z całą pewnością były. Przynajmniej jeśli chodzi o jedną rzecz…

– Jedziemy do portu kosmicznego – powiedział krótko Thalowi. – Musimy tam naładować nasze paralizatory. Myślałem, że te statki wylądowały. Ale nie. Zobaczymy teraz, czy uda nam się je utrzymać w górze. Jak daleko mamy do sieci lądowniczej?

– Nalegałeś – narzekał Thal, – żebyśmy nie wracali do zamku Dona Lorisa tą samą drogą, którą z niego wyjechaliśmy. Przez wzgórza są tylko te dwa przejścia. Jest jeszcze jedno, ale tamto jest za daleko. Jesteśmy tylko cztery mile…

– A więc kierujemy się tam natychmiast! – warknął Hoddan. – I jedziemy szybciej!

Rzucił rozkazy swoim podwładnym. Thal był mocno zaintrygowany, ale obawiał się jadowitych komentarzy Fani, więc uwijał się wzdłuż linii

jeźdźców, żądając zwiększenia tempa. Przyboczni wchodzący w skład kawalkady, do tej pory nie popędzali swoich zwierząt tak jak to czynili poprzednio. Nawet prowadzone konie, obładowane łupami, były w stanie przejść do przyzwoitego kłusa. Wschód słońca trwał w najlepsze. Na rozwichrzonej trawie dała się dostrzec rosa. Poszczególne kropelki, które wydawały się być klejnotami nanizanymi na źdźbła trawy, stopniowo zaczęły znikać, w miarę jak na niebie zaczął się pojawiać sam dysk słoneczny. Na porannym niebie powoli, rosnąc coraz bardziej, zaczął się odcinać ciemnym kolorem, kanciasty, metalowy szkielet konstrukcji sieci lądowniczej.

****

Kiedy tak jechali w kierunku sieci, Hoddan uświadomił sobie, że była to naprawdę jedyna cywilizowana konstrukcja na całej planecie. Z architektonicznego punktu widzenia, z całą pewnością nie było to zbyt piękne dzieło. Sieć została zbudowana, kiedy na Darth osiedlili się pierwsi osadnicy, a wtedy perspektywy handlu i wymiany międzygwiezdnej, wydawały się mieć rozsądne podstawy. Miała ona pół mili wysokości i zbudowana była z masywnych metalowych belek. Jej ogrom unosił się nad ich głowami, kiedy podwójny rząd kudłatych koni kłusował pod jej najniższymi łukami i przejeżdżał przez porośniętą trawą przestrzeń w jej środku. Nigdzie nie było nawet śladu żadnego ruchu. Nad spadzistymi dachami pobliskiego miasteczka widać było tylko trzepotanie skrzydeł małych ptaków. Z żadnego komina nie wydobywał się dym. Padające ciągle pod ostrym kątem promienie porannego słońca były wyjątkowo oślepiające.

Kiedy Hoddan dojechał już do budynku dyspozytorni, zobaczył sennego człowieka właśnie wkładającego klucz do zamka w drzwiach. Zsiadł z konia, mniej więcej w odległości stopy od niego. Człowiek odwrócił się, sennie zamrugał w jego kierunku i… natychmiast wyraz serdeczności na jego twarzy zmienił się w coś wręcz przeciwnego. Był to rudowłosy mężczyzna, którego dzień wcześniej poraził z paralizatora.

– Witam. Wróciłem – odezwał się Hoddan – po kilka dodatkowych kilowatów.

Rudowłosy gniewnie zaklął.

– Sza! – łagodnie uciszył go Hoddan. – Jest z nami lady Fani.

Rudowłosy mężczyzna powiódł dokoła głową i zbladł. Thal wpatrywał się w niego jarzącymi oczyma. Inni przyboczni Dona Lorisa ustawili się tak, by otoczyć go najeżoną nożami obręczą.

– No, dobrze, wejdźmy do stacji – powiedział Hoddan. – Thal zbierz pistolety i przynieś je do środka.

Fani lekko zeskoczyła na ziemię i weszła za nim. Z ciekawością przyglądała się, znajdującym się w środku kablom, pulpitom z przyrządami i przełącznikami. Na jednej ze ścian zapaliło się pulsujące

czerwone światełko, na chwilę zgasło i ponownie zamrugało. Rudowłosy mężczyzna rzucił na nie spojrzeniem.

– Wzywają cię – zauważył Hoddan. – Nie odpowiadaj.

Rudowłosy zajęczał potakująco. Do środka wszedł Thal, z rękoma pełnymi paralizatorów, w różnych stadiach rozładowania. Hoddan energicznie wyciągnął wtyk swojej broni, i wsunął go do tego samego gniazdka, którego używał dzień wcześniej.

– Nie może niczego dotknąć, Thal – polecił Hoddan. Następnie zwrócił się do rudowłosego: – Podejrzewam, że wezwania nadchodziły przez całą noc. Widziałem coś na orbicie już o zachodzie słońca. Zamknąłeś cały interes i wcześnie poszedłeś do domu, co?

– A dlaczego by nie – ostro rzucił rudowłosy. – Jest tylko jeden statek w miesiącu!

– Czasami – powiedział Hoddan, – pojawiają się statki specjalne. Nie będę jednak komentował twojego zaniedbania. Dla mnie ono prawdopodobnie jest korzystne.

Naładował jeden pistolet i zatrzasnął wtyk, otworzył następny i zaczął go ładować. Oczywiście nie było żadnych problemów. W ciągu kilku minut paralizatory, które przywiózł z Waldena, ponownie były gotowe do użytku.

Schował tyle, ile mógł wygodnie sam nosić. Resztę podał Thalowi. Podszedł ze znajomością rzeczy do pulsującego sygnału wezwania. Założył słuchawki na uszy i przez jakiś czas w milczeniu słuchał. Na jego twarzy pojawiła się niesamowicie dziwna mina, tak jakby nie do końca albo w ogóle nie zrozumiał lub nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Dziwne – stwierdził delikatnie. Przez chwilę, może dwie, głęboko się zastanawiał, a następnie zaczął czegoś szukać po szufladach wszystkich biurek w sterowni. Znalazł zaciski na kable. Potem zaczął ciąć przewody na pół.

Rudowłosy automatycznie wystartował w jego kierunku.

– Zajmij się nim, Thal – rzucił Hoddan.

Odciął odbiornik mikrofalowy od łączących go kabli i przewodów. Podniósł go na próbę i otworzył część jego obudowy, aby upewnić się, że termo-bateria, która powinna zasilać go w nagłych wypadkach, była w środku i właściwie działała. Była.

– Zapakuj to na konia, Thal – rozkazał Hoddan. – Zabieramy ten aparat do Dona Lorisa.

Rudowłosemu opadła szczęka. Z gardła wydobył tylko piskliwy protest:

– Hej! Nie możesz tego zrobić! – Hoddan odwrócił się w jego stronę, i rudowłosy natychmiast poprawił się kwaśno: – No dobra, możesz. Nie będę próbował cię powstrzymać, z tymi wszystkimi ciężkimi przypadkami na zewnątrz.

– Możesz zbudować nowy, w tydzień – uprzejmie zauważył Hoddan. – Przecież musisz mieć części zapasowe.

Thal wyniósł komunikator na zewnątrz. Hoddan otworzył jedną z szafek z urządzeniami, przerzucił znajdujące się w niej przełączniki, i starannie przeciął po kolei gmatwaninę znajdujących się wewnątrz przewodów.

– Tak, dla treningu – wyjaśnił przerażonemu rudowłosemu. – Nie będziesz mógł użyć sieci, dopóki nie naprawisz również i tego. Kilka dni nieco cięższej pracy, niż ta do której jesteś przyzwyczajony. To wszystko!

Wyprowadził całe towarzystwo z powrotem na zewnątrz i po drodze zaczął wyjaśniać Fani.

– Ta sieć, to dobra, stara robota. Dzisiaj robią je dużo prostsze. Ale, ten tutaj, da radę naprawić ją na czas. Teraz pojedziemy z powrotem do zamku twojego ojca. Może nie być zadowolony, ale już trochę powinien ochłonąć.

Zobaczył jak Fani lekko wskakuje na konia, swobodnie siadając w siodle, i z przygnębieniem potrząsnął głową. Niezdarnie wdrapał się na swojego wierzchowca. Ruszyli w drogę powrotną do zamku Dona Lorisa. Hoddan cierpiał.

****

Dotarli do zamku jeszcze przed południem, i widok lady Fani jadącej obok straszliwie zmęczonego Hoddana, spowodował wybuch entuzjazmu i głośnych wiwatów. Panującą radość, powiększyły jeszcze łupy, z dumą demonstrowane przez podróżników. Wśród mężczyzn, którzy zostali w domu wywołały oczywiście uczucie zazdrości. Pełne respektu i podziwu spojrzenia nie omijały również Hoddana. Dostarczając okazji do rabunku, wykazał się w oczach feudalnych wojowników, przywództwem najwyższej jakości.

Lady Fani cała wręcz promieniała, gdy ona, Thal i Hoddan, bardzo zakurzeni i wybrudzeni podróżą, zmierzali w stronę jej ojca, w wielkiej sali zamkowej.

– Oto pańska córka, sir – powiedział Hoddan i ziewnął. – Mam nadzieję, że nie będzie już dalszych kłopotów z Ghekiem. Zdobyliśmy jego zamek i trochę go złupiliśmy, przyprowadzając z powrotem kilka dodatkowych koni. Potem udaliśmy się do portu kosmicznego. Naładowałem ponownie swoje paralizatory, i uszkodziłem na pewien czas sieć lądowniczą. Zabrałem też ze sobą komunikator. – Ponownie ziewnął. – Tuż ponad atmosferą dzieje się coś bardzo niepokojącego. Nad naszymi głowami, na orbicie wiszą trzy statki, próbujące wywołać port kosmiczny w wysoce nieregulaminowy sposób. Niewykluczone, że niektórzy z pańskich sąsiadów mogliby być tym zainteresowani. A więc opóźniłem wszystko do czasu, gdy uda mi się trochę przespać. Tak sobie pomyślałem, że jeśli ktoś ma zamiar wykręcić jakiś lepszy numer, to Don Loris i jego sprzymierzeńcy mogliby go przebić. A teraz, jeśli mi pan wybaczy…

Zaczął kierować się na zewnątrz sali, wlokąc się ostatkiem sił, praktycznie martwy. Jeśli już nieco przyzwyczaił się do jazdy na końskim grzbiecie, to przecież chyba nie powinien być aż tak wyczerpany. Teraz jednak był w stanie tylko ziewać i ziewać, a Thal właściwie musiał zanieść go do pomieszczenia zupełnie odmiennego od pokoju gościnnego-lochu, do którego został zaprowadzony poprzedniej nocy. Zauważył, że drzwi,

tym razem, otwierały się od środka. Podstawił pod nie krzesło, upewniając się, że nikt nie będzie mógł ich otworzyć z zewnątrz. Niemal przewrócił się na łóżko i twardo usnął.

Obudziło go głośne walenie do drzwi. Zebrał się w sobie na tyle, by sennie wybełkotać:

– Czeeggtamm?

– Światła na niebie! – głośny krzyk Fani, na korytarzu, pod drzwiami. – Te, o których mówiłeś, że to statki kosmiczne! Właśnie jest zachód słońca, i znowu je widziałam. Ale teraz już nie ma ich trzech. Teraz jest ich dziewięć!

– Dobrze – powiedział Hoddan. Położył z powrotem głowę, i wepchnął ją w poduszkę. Wtedy jednak nagle, błyskawicznie, faktycznie się obudził. Poderwał się i usiadł na łóżku.

Dziewięć statków kosmicznych? To po prostu niemożliwe! To byłaby cała flota kosmiczna! A przecież nie istniała żadna flota kosmiczna! Walden mógłby wysłać za nim co najwyżej jeden statek, z żądaniem poddania się, wystosowanym przez jego policję. Patrol Kosmiczny nigdy i nigdzie nie potrzebował więcej niż jednego statku. Handel też raczej nie mógł być powodem podróży tylu statków w jednej grupie. Piraci… To przecież nie mogła być flota piratów! Nigdzie nie znaleźliby tutaj dostatecznie dużych łupów, aby pokryć koszty takiej operacji. Dziewięć statków kosmicznych jednocześnie… podróżujących na orbicie wokół takiej prymitywnej planety jak Darth… flota statków kosmicznych.

To po prostu było zupełnie niemożliwe! Hoddan nie pojmował przyczyn takiego stanu rzeczy. Ale jego ostatnio mocno rozbudowany pesymizm sugerował, że podobnie jak wszystko inne, co go dotyczy, będzie to mieć dla niego niekorzystne skutki, a prawdopodobnie mogą być one nawet katastrofalne.

Mruknął z niezadowolenia i położył się z powrotem do łóżka, aby spać dalej.



VI

Kiedy następnego ranka obudziło go wściekle walenie w podparte krzesełkiem drzwi, zdezorientowany śnił, że to trzaski w słuchawkach komunikatora. Dopiero kiedy usłyszał swoje nazwisko wywrzaskiwane ponurym głosem, nabrało to dla niego właściwego sensu.

Nagle otworzył oczy. Ktoś jeszcze raz zabębnił w drzwi. Jakiś głos krzyczał gniewnie:

– Bronie Hoddan! Niech pan się obudzi albo odejdę stąd, i niech się dzieje co chce. Obudź się, do diabła!

To był głos lady Fani jednocześnie oburzony, zapłakany, natarczywy i gniewny.

Sturlał się z łóżka i wtedy dopiero zorientował się, że jest kompletnie ubrany. Nie spał przez niemal całą noc. Ani na chwilę nie mógł przestać myśleć o słowach, które odebrał przez komunikator w porcie kosmicznym. Dźwięczały mu ciągle w głowie, i to co słyszał spowodowało, że zerwał się w nocy, aby jak najszybciej założyć na siebie rzeczy i być gotowym do działania. Przez komunikator można było usłyszeć kilka różnych głosów, część z nich najwyraźniej waldeńskich, wygłaszających swoje komunikaty z szorstką wyższością. Wywoływały one sieć lądowniczą. Pojawiały się jednak także inne głosy, raczej nie należące do Waldeńczyków, które gdy się nad nimi zastanawiał, wprawiały go w lekkie oszołomienie. Był już ubrany i gotów do tego, by zrobić wszystko co będzie niezbędne, gdy nagle uświadomił sobie, że przecież wymontował z sieci lądowniczej odbiornik, tak więc nie będzie ona mogła przyjmować żadnych wywołań, nawet tych waldeńskich, dopóki jej załoga nie zbuduje nowego ze znajdujących się w magazynie części zapasowych. Ponadto nie będą mogli za wiele zrobić, dopóki starannie nie uporządkują i nie podłączą z powrotem poplątanych i pociętych przez Hoddana przewodów. Wszystko to musi zostać naprawione, zanim sieć lądownicza będzie mogła znowu działać.

Położył się wtedy ponownie spać w ubraniu, próbując zrozumieć sens całej sytuacji. Teraz, długo po świcie, nadal wiedział tyle co przedtem. Potrząsnął więc tylko głową i upewnił się, czy jego paralizatory są pod ręką. Potem powiedział:

– Witam! Już nie śpię. Co się dzieje? Co to za hałasy?

– Niech pan natychmiast tu wyjdzie! – głos Fani, jednoczenie zirytowany, ale również przepełniony obawą. – Tyle się wydarzyło! Jest tutaj ktoś z Waldena! Domaga się pańskiego wydania!

Hoddan nie mógł w to uwierzyć. To było zbyt nieprawdopodobne. Ale otworzył drzwi i do środka wszedł Thal, a za nim podążała Fani.

– Dzień dobry – automatycznie powiedział Hoddan.

Thal ponuro oznajmił:
– Zły dzień, Bronie Hoddan! Zły dzień! Przez wzgórza przyjechali konno ludzie z Waldena…
– Ilu ich jest?
– Dwu – z gniewem wtrąciła Fani. – Gruby mężczyzna w uniformie, i młody mężczyzna, który wygląda jakby chciało mu się płakać. Mają eskortę przybocznych od jednego z sąsiadów mojego ojca. Oczywiście zatrzymali się przy bramie i wysłali do mojego ojca pisemną wiadomość, a on natychmiast kazał ich wpuścić do środka!
Hoddan pokręcił głową.
– Prawdopodobnie powiedzieli mu, że jestem kryminalistą i powinienem zostać odesłany na Waldena. W jaki sposób wylądowali na dole? Sieć lądownicza przecież nie działa.
Fani powiedziała złośliwie.
– Wylądowali czymś, co korzystało z rakiet. Znaleźli się na dole w pobliżu zamku wznoszącego się nad tamtą drogą… jakieś sześć, siedem mil od portu kosmicznego. A ponieważ pan i Thal tak wspaniale walczyliście, a więc wszyscy mówią tylko o panu. Tamtejszy than przyjął od nich pieniężny podarunek, a w zamian jako podarek zwrotny dał im konie, oraz wysłał ich ze swoją strażą. Thal rozmawiał ze strażnikami. Ci ludzie z Waldena obiecywali olbrzymie prezenty i dużo pieniędzy, jeśli pomogą odprowadzić pana do tej rzeczy, która używa rakiet.
– Podejrzewam – powiedział Hoddan, – że może to być mały statek kosmiczny… szalupa ratunkowa. Hmmm… Tak. Z wbudowaną w środku stalową celą, abym nie mógł z nikim rozmawiać jak to zrobić… – Przerwał i skrzywił się. – Jeśli mieli czas, żeby to zrobić, to raczej pewne! W porcie kosmicznym wsadzą mnie w puszkę dźwiękochłonną i zaciągną mnie w niej z powrotem na Waldena. Pięknie.
– Co ma pan zamiar zrobić? – z niepokojem zapytała Fani.

****

Hoddan nie miał jeszcze żadnego, do końca wykrystalizowanego pomysłu. Jednak Darth przestał być już dla niego bezpiecznym miejscem. Bardzo prawdopodobne było, na przykład, że Don Loris uzna iż poważny cios, jaki zadał jego chytrym planom, używając w porcie kosmicznym paralizatorów, został zrównoważony poprzez uratowanie Fani. W takim przypadku czułby jednak w stosunku do Hoddana mieszane uczucia, wdzięczności i niechęci, a to mogło oznaczać jego ciche odesłanie. Nie mógł liczyć na Dona Lorisa jako na naprawdę gorącego przyjaciela.
Ponadto, z drugiej strony, system społeczny na Darth, nie sprzyjał obcym, którzy uzyskali dosyć groźną renomę jeśli chodzi o walkę, a jego pistolety wkrótce staną się bezużyteczne, chyba że będzie mógł je często doładowywać, na co nie za bardzo mógł liczyć jako na rzecz stałą i pewną.
Z praktycznego punktu widzenia, najlepszym ruchem byłoby prawdopodobnie wyjaśnienie trudnej do wytłumaczenia liczby dziewięciu

statków w górze. Nie współpracowały one z Waldeńczykami. Można było wnioskować, że tam w górze nie panowały jakieś szczególnie serdeczne stosunki. Możliwe nawet, że te dziewięć statków i Waldeńczycy, w ogóle nie wiedzieli o obecności drugiej strony. W kosmosie jest mnóstwo miejsca. Jeśli obie gruby wywoływały port kosmiczny na częstotliwości statku i nasłuchiwały na częstotliwości naziemnej, mogli nawet nie odbierać swoich wzajemnych komunikatów dla ziemi.

– Musi pan coś zrobić! – nalegała Fani. – Widziałam się z ojcem i rozmawiałam z nim. Wyglądał na szczęśliwego, a on nigdy nie wygląda na szczęśliwego, jeżeli nie knuje jakiegoś spisku.

– Myślę – odparł Hoddan, – że najpierw zjem śniadanie, jeśli będzie taka możliwość. Zaraz jak tylko zamknę moją torbę podróżną.

Thal powiedział ponuro:

– Jeśli cokolwiek stanie się tobie, to również i mnie coś się stanie, ponieważ ci pomagałem.

– Najpierw śniadanie – powiedział Hoddan. – Wtedy, jak zrozumiałem, jeśli twój ojciec każe mi poderżnąć gardło, to będzie to czyn haniebny. Ponadto… – polecił z przygnębieniem, – Thal naszykuj parę koni na zewnątrz muru. Być może trzeba będzie gdzieś pojechać. Obawiam się nawet, że będziemy musieli. Ale najpierw chciałbym dostać jakieś śniadanie.

Fani powiedziała z rozczarowaniem:

– Ale nie pójdziesz stawić im czoła? Tym ludziom z Waldena? Powinieneś ich zastrzelić!

Hoddan pokręcił głową.

– To by absolutnie niczego nie rozwiązało. W każdym razie, tak praktyczny człowiek jak pani ojciec, nie sprzeda mnie innym, dopóki nie upewni się, że ja nie mogę zapłacić więcej niż oni. Mogę się założyć, że spotkamy się, zanim dobije targu.

Fani tupnęła nogą.

– Odrażające! Pomyśleć, że przecież pan mnie uratował!

Nie zaprzeczyła jednak istnieniu takiej możliwości. Hoddan zauważył:

– Praktyczny człowiek zawsze potrafi swoje zamiary przedstawić tak, by wyglądały jak szlachetne poświęcenie osobistych skłonności, dla dobra społeczeństwa. Zdecydowałem, że sam muszę być praktyczny, a to jest jedna z podstawowych reguł. Co ze śniadaniem?

Zamknął starannie torbę, chowając w niej paralizatory, których nie mógł zmieścić do kieszeni. Wykonał również małą modyfikację w komunikatorze kosmicznym. Nie został on bezpowrotnie uszkodzony, ale nikt inny nie mógł go użyć, bez poważnego nakładu pracy, związanego ze znalezieniem tego co zrobił. Dziadek na Zan radził, żeby zawsze pamiętać o tego rodzaju sprawach. Poglądy jego dziadka były dosyć radykalne.

– Pomoc dla któregoś z sąsiadów – często mówił na wykładach których musiał wysłuchiwać Hoddan, kiedy był jeszcze młody, – jest wykonaniem za jednym zamachem podwójnej pracy. Nawet jeśli on, być może cię okłamuje. Dzięki temu otrzymujesz szansę na zakłopotanie go, tak że nie będzie mógł ci wyrządzić szkody, a więc ty znajdujesz się w dużo korzystniejszym położeniu, a w dodatku on staje się lepszym sąsiadem!

Była to bezsprzecznie prawda, jeśli chodzi o ludzi z Waldena. Hoddan domyślał się, że jednym z nich jest Derec. Drugi mógł reprezentować policję lub rząd planetarny. Prawdopodobnie było to również tak samo prawdą w przypadku Dona Lorisa i innych.

Hoddan stwierdził, że nie podoba mu się sposób w jaki został urządzony ten wszechświat. Przepełniały go złe przeczucia, nawet pomimo tego, że już wkrótce potem mógł zjeść śniadanie, siedząc wysoko na blankach, a Fani spoglądała na niego z interesującym zatroskaniem. Przyszłość wyglądała czarno. Przecież to, czego chciał od losu i szczęścia, było takie proste! Prosił jedynie o karierę, bogactwo, wspaniałą dziewczynę, którą mógłby poślubić, i podziw swoich współobywateli. Zupełnie trywialne rzeczy! Wyglądało jednak, że będzie musiał stoczyć bitwę o każdy, najmniejszy nawet, dar przeznaczenia.

Fani obserwowała jak jadł śniadanie.

– Kompletnie pana nie rozumiem – poskarżyła się. – Każdy inny byłby dumny z tego co dokonał, i bardzo zły na mojego ojca. Czy nie myśli pan, że zachowuje się on jak ostatni niewdzięcznik?

– Ależ oczywiście, że tak właśnie myślę! – powiedział Hoddan.

– A więc dlaczego nie jest pan w stosunku do niego bardziej chłodny?

– Jestem głodny – powiedział Hoddan.

– Niech pan przyjmie to, jako wyraz faktu, że ja chcę być odpowiednio wdzięczna – powiedziała Fani na jednym oddechu, – a jeszcze nie pokazałam panu małego wyrazu mojego uznania, w postaci dwóch koni czekających w tamtej kępie lasu tam w oddali – wskazała ręką, a Hoddan potwierdził skinięciem – razem z Thalem, który otrzymał rozkazy by wiernie panu służyć…

****

Przerwała, nie kończąc zdania. W tej chwili pojawił się bowiem rozpromieniony Don Loris, stając u szczytu schodów prowadzących do wielkiej sali w której miały miejsce wszystkie narady. Spoglądał dobrotliwie na Hoddana.

– To bardzo zła sytuacja, mój drogi panie – oznajmił łaskawym tonem. – Czy Fani mówiła panu o tych ludziach, którzy przybyli z Waldena w pogoni za panem? Mówili o panu straszne rzeczy!

– Tak – powiedział Hoddan. Podniósł w ręku bułkę, aby ją ugryźć. Mówił dalej: – Jeden z nich, jak mniemam, nazywa się Derec. Jest tu, aby mnie zidentyfikować, tak by dobre pieniądze nie zostały zmarnowane na zapłatę za niewłaściwego człowieka. Drugi mężczyzna jest policjantem, nieprawdaż? – przez moment się zastanawiał. – Gdybym był panem, zacząłbym negocjacje od miliona kredytów. Może pan liczyć na mniej więcej połowę tego.

Ugryzł bułkę, patrząc na Dona Lorisa, który wyglądał na zaszokowanego.

– Czy pan myśli – zapytał z oburzeniem, – że mógłbym wydać emisariuszom z obcej planety człowieka, który uratował moją córkę, aby zamknęli go w lochu do końca życia?

– Po cóż te wielkie słowa? – ustąpił Hoddan. – Ale poza wszystkim, pomimo pańskiej olbrzymiej dla mnie wdzięczności, są przecież rzeczy wyższe, takie jak obowiązek wobec całej ludzkości. I chociaż stałoby się to przyczyną pańskiej gorzkiej boleści, to jednak gdyby ktoś, nawet bardzo panu bliski, przedstawiał sobą zagrożenie dla milionów niewinnych kobiet i dzieci, w tych okolicznościach mógłby pan uznać za konieczne, zadać gwałt swoim uczuciom.

Don Loris spoglądał na niego z gwałtownym podejrzeniem. Hoddan pomachał bułką.

– Ponadto – zauważył, – wdzięczność za działania prowadzone na Darth, nie upoważnia pana do osądu moich działań na Waldenie. Podczas gdy mógłby pan nawet czuć się zobligowany do mojej obrony odnośnie wszystkich tych rzeczy, które zrobiłem na Darth, pańskie zobowiązania w stosunku do mnie, nie pozwalają panu przecież odrzucić faktu, że mogłem działać mniej defensywnie na Waldenie.

Don Loris wyglądał bardzo nieswojo.

– Może nawet pomyślałem coś takiego – zgodził się. – Ale…

– Tak więc – powiedział Hoddan, – chociaż pański dług wobec mnie nie może, i nie powinien zostać pominięty milczeniem, tym niemniej – Hoddan włożył bułkę do ust i mówił nieco mniej wyraźnie, – czuje pan, że powinien rozważyć żądania Waldena, aby wziąć pod uwagę moje działania podczas mojego tam pobytu.

Przez chwilę ją żuł, potem połknął i uroczyście wygłosił:

– Powstaje jednak pytanie, czy ja potrafię zbudować emiter promieni śmierci?

Don Loris rozchmurzył się. Wziął z ulgą głęboki oddech, a potem powiedział ze skargą w głosie:

– Nie rozumiem, skąd u pana ten sarkazm. Tak. To dosyć ważne pytanie. Wie pan, na Waldenie nie wiedzą jak to zrobić. Powiedzieli, że pan tego dokonał. Bardzo się niepokoją, ponieważ nikt nie powinien mieć takich możliwości. Ale podczas gdy w pozbawionych skrupułów rękach, taki instrument byłby jak najbardziej niefortunny… echm… pod odpowiednią kontrolą…

– Pańską – wtrącił Hoddan.

– Powiedzmy… naszą – z nadzieją skorygował Don Loris. – Przy moim doświadczeniu, związanym z ludźmi i interesami, i z moimi lojalnymi i oddanymi przybocznymi…

– I przytulnymi lochami – dodał Hoddan. Wytarł wargi serwetką. – Nie.

Don Loris rzucił gwałtownie.

– Nie, co?

– Nie ma żadnych promieni śmierci – wyjaśnił Hoddan. – Nie potrafię ich uzyskać. Nikt tego nie umie. Gdyby ich wytworzenie było możliwe, wysyłałyby je któreś z gdzieś tam położonych gwiazd, albo ich emisję powodowałyby by od czasu do czasu jakieś inne zjawisko naturalne. Gdyby istniało coś takiego jak promienie śmierci, wszystkie żywe

stworzenia byłyby martwe, albo musiałyby się przystosować do ich słabszych manifestacji i zbudować przeciwko nim odporność, tak że nie byłyby to już dłużej żadne promienie śmierci. Faktycznie rzecz biorąc, to tak musiało się prawdopodobnie zdarzyć parę razy w przeszłości. Natomiast urządzenie takie jak to, o którym mówią oni, jest już w użyciu od pół wieku w skupisku Cetis. Jak dotąd jeszcze nikt nie umarł z jego powodu.

Don Loris wyglądał na poważnie rozczarowanego.

– Czy to prawda? – zapytał nieszczęśliwym tonem. – Naprawdę? To pańskie ostatnie słowo w tym temacie?

– Bardzo – odparł Hoddan, – bardzo nie lubię niszczyć widoków na zyskowny spisek, ale to jest moje ostatnie słowo, i to jest prawda.

– Ale ci ludzie z Waldena są bardzo zaniepokojeni! – zaprotestował Don Loris. – Nie mieli do dyspozycji statku, tak więc ich rząd zmusił liniowiec, który normalnie by się tu nie zatrzymał, aby ten zabrał na pokład dodatkową szalupę ratunkową. Wyszedł w tym systemie słonecznym z nadprzestrzeni, wypuścił szalupę ratunkową, i wrócił z powrotem na swoją trasę. Ci dwaj ludzie są naprawdę niesamowicie wystraszeni…

– Ambitni, być może – poprawił go Hoddan. – Są przygotowani na to, aby zapłacić za przezwyciężenie pańskiego uczucia wdzięczności dla mnie. Naturalnie chce pan żeby cały ten handelek wypalił. Myślę, że może pan dostać pół miliona.

Don Loris znów spoglądał podejrzliwie.

– Jakoś nie wydaje się pan tym przejmować – zauważył niespokojnie. – Nie rozumiem pana!

– Po prostu mam w zanadrzu pewien sekrecik – odparł Hoddan.

– Na czym on polega?

– Zademonstruję panu później – powiedział Hoddan.

****

Don Loris zawahał się, próbując lepiej przemyśleć sytuację i coś powiedzieć. W końcu jednak wzruszył ramionami i odszedł wolnym krokiem w stronę kamiennych schodów. Dostojnie udał się na dół. Lady Fani zaczęła wykręcać sobie palce. Po chwili spytała z nadzieją w głosie.

– Na czym polega pański sekret?

– To tylko pani ojciec myśli, że mam jakiś sekret – odparł Hoddan. – Dziękuję za śniadanie. Czy będę mógł wyjść stąd przez bramę, czy…

– Jest zamknięta – wyjaśniła lady Fani załamanym tonem. – Ale naszykowałam dla pana linę. Może pan zejść na dół przez mur.

– Dziękuję bardzo – powiedział Hoddan. – Ratowanie pani było naprawdę przyjemnością.

– Czy pan… – zawahała się Fani. – Nigdy wcześniej nie znałam nikogo takiego jak pan. Czy pan tu jeszcze kiedykolwiek powróci?

Hoddan kiwnął w jej stronę głową.

– Kiedyś zapytała mnie pani, czy będę dla pani walczył, i proszę popatrzeć dokąd mnie to doprowadziło. Bez komentarza.

Powiódł wzrokiem wzdłuż blanków. Nieopodal widać było uwiązany do muru całkiem spory zwój liny. Wziął torbę i podszedł do niego. Sprawdził umocowanie z jednego końca i spuścił drugi po zewnętrznej stronie muru.

Dziesięć minut później dowlókł się do Thala, czekającego z parą koni w pobliskiej kępie drzew.

– Lady Fani – stwierdził Hoddan, – cechuje sposób myślenia, który mi się naprawdę podoba. Wciągnęła linę z powrotem.

Thal pozostawił to bez komentarzy. Z przygnębieniem przyglądał się, jak Hoddan przypina nieśmiertelną torbę ze statku do swojego siodła, a potem z niechęcią wdrapuje się na konia.

– Co masz zamiar teraz robić? – zapytał Thal nieszczęśliwym głosem. – Nie dałem Donowi Lorisowi podarunku rozstania, a więc jeśli się dowie, że ci pomogłem, będę zhańbiony. I nie mam pojęcia, dokąd miałbym cię zabrać.

– Gdzie – spytał Hoddan, – wylądowało tych dwu osobników z Waldena?

Thal mu powiedział. W pobliżu zamku znaczącego thana feudalnego, na równinie, mniej więcej cztery mile od pasma górskiego i sześć mil od bliższego krańca portu kosmicznego.

– Właśnie tam się udamy – oznajmił Hoddan. – Mówią, że wolność jest słodka, ale człowiek który to powiedział widać nie miał pęcherzy od siodła. Jedźmy już.

Ruszyli. Za nimi nie było widać śladów jakiejś natychmiastowej pogoni, a być może nawet w ogóle żadnej nie było. Don Loris zostawił Hoddana przy śniadaniu na blankach. Lady Fani z pewnością zrobi wokół ich zniknięcia tyle zamieszania, ile tylko będzie mogła. A przede wszystkim, nikt nawet nie powinien go szukać, dopóki Don Loris nie ubije swojego wielkiego interesu.

Hoddan był pewien, że ojciec Fani będzie miał bardzo przyjemny poranek. Powinien się rozkoszować każdą chwilą targów. Będzie wyjaśniał w najdrobniejszych szczegółach jak wartościowa była dla niego służba Hoddana i uratowanie Fani z rąk porywacza, który w przeciwnym razie stałby się jego niemile widzianym zięciem. Doprowadzi się niemal do łez, opisując swoje uczucia dla Hoddana… jak on kochał jego córkę… jak spostrzegł ze zmartwieniem, że proszą go o zdradę człowieka, który uratował dla niego pociechę jego starych lat. Wspomni także, iż cena jaką zaoferowali jest afrontem dla jego uczuć ojcowskich i jego godności księcia tego, barona tamtego, lorda czegoś innego i roszczącego pretensje do panowania nad jeszcze zupełnie czymś innym. Albo pójdą w górę z ceną, albo interesu nie będzie!

Ale chwilowo Hoddan i Thal jechali, najszybciej jak tylko mogąc, w kierunku miejsca, z którego przybyli emisariusze z Waldena.

Okolica wokół była spokojna. Okolica wokół była wręcz cicha. Raz zauważyli w pobliżu chmurę kurzu, i Thal skręcił w bok, w niewielki lasek, który akurat opatrznościowo znalazł się pod ręką, i w którym spokojnie przeczekali aż minie ich kawalkada jeźdźców. Thal wyjaśnił, że był to

jeden z feudalnych panów, udający się ze świtą do portu kosmicznego. Ukrycie się przed nimi to roztropna decyzja, ponieważ zdobyli sobie olbrzymią reputację jako wojownicy. Ktokolwiek ich pokona, od razu zyska sławę. Ktoś mógłby więc próbować wywołać kłótnię, pod pozorem naruszenia najdrobniejszego choćby punktu etykiety, a wtedy dyshonorem z jego strony byłoby użycie czegokolwiek innego poza standardowymi darthiańskimi narzędziami do masakrowania ludzi. Hoddan zauważył, że nie uważa siebie za specjalnie skłonnego do kłótni.

Po pewnym czasie ruszyli dalej i późnym popołudniem ujrzeli wyłaniające się nad horyzontem wieże i blanki zamku. Ziemia w okolicy była tylko lekko pofałdowana. Zbliżali się więc do zamku z dużą ostrożnością, jadąc przeciwległymi zboczami niewielkich wzgórz, wyschniętymi korytami strumieni, a w najgorszym przypadku przeciskając się przez krzewy wyrastające na wysokość konia, do miejsc w których nie można było ich wyraźnie zobaczyć.

Gdyby Hoddan studiował historię wczesnej Ziemi, mógłby stwierdzić powrót dawnych form architektonicznych, odpowiadających odżywającym prymitywnym systemom społecznym. Jednak, przy swoim obecnym stanie wiedzy, w obserwowanym zamku feudalnym zauważył tylko użycie bastionów mających flankować ogniem ewentualnych napastników, oceniał wartość blanków oraz parapetów chroniących obrońców i jednocześnie pozwalających im strzelać samemu, sprytne rozmieszczenie furtek wypadowych. Pojmował nawet powody budowy masywnego, mocnego i pozbawionego ozdób stołbu. Jego oczy nie mogły jednak poświecić zamkowi zbyt wiele uwagi. Zobaczył bowiem statek kosmiczny, którym przybył Derec, oraz jego bardziej oficjalny towarzysz.

Stał na polu, około pół mili od zamkowych murów. Był to niezgrabny statek, o pękatym kształcie, lekko spłaszczonym w górnej części kadłuba. Miał mniej więcej czterdzieści stóp długości i blisko piętnaście szerokości. Ziemia wokół niego była popalona, ponieważ lądował na silnikach rakietowych. W pobliżu stało spętanych kilka koni, a ich jeźdźcy, najwyraźniej przyboczni z pobliskiego zamku, leżeli w cieniu statku.

Hoddan ściągnął wodze.

– No, to jesteśmy – powiedział do Thala. – Kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy, umożliwiłem ci przetrząśnięcie kieszeni całkiem sporej liczbie twoich rodaków. Nigdy nie poprosiłem o swój udział w zdobyczy. Mam nadzieję, że zapamiętasz mnie z sympatią.

Thal ujął obie ręce Hoddana w swoje.

– Jeśli kiedykolwiek tu jeszcze powrócisz – oświadczył ze smutkiem i ciepłem w głosie, – będę nadal twoim przyjacielem.

****

Hoddan skinął głową w jego stronę i wyjechał z zarośli w kierunku statku kosmicznego – szalupy ratunkowej – którym wylądowali emisariusze z Waldena. To, że lądowali tak blisko portu kosmicznego nie

było oczywiście przypadkiem. Na Waldenie wiedziano, że Hoddan wykupił przelot kosmiczny na Darth. Wylądował zaledwie dwa dni wcześniej, zanim ścigający zdołali dotrzeć za nim na tę planetę. A na prymitywnym, pozbawionym dróg świecie, takim jak Darth, w tak krótkim czasie nie był w stanie uciec na dużą odległość od portu kosmicznego. A więc ścigający także chcieli wylądować w jego pobliżu. Trzeba jednak przyznać, że wymagało to od nich znacznej odwagi. Kiedy sieć lądownicza nie odpowiadała na ich wezwania, pewnie musiało się im wydawać, że promienie śmierci Hoddana były już w użyciu.

Jak na razie nie było najmniejszych trudności. Obolały Hoddan jechał z trudem, bez pośpiechu, w ukośnych promieniach chylącego się z wolna ku zachodowi słońca. Został zauważony z dużej odległości przez wałęsających się wokół statku strażników, którzy obserwowali go potem spokojnie, bez śladu obawy. Wyglądał na zmęczonego i spragnionego. Generalnie była to zresztą prawda. Tak więc wysłani strażnicy ledwie co popatrywali na niego, bez specjalnego zainteresowania, kiedy podprowadził swego zakurzonego konia w skrawek cienia rzucanego przez szalupę ratunkową, i najwyraźniej zdecydował, że nie ma miejsca aby samemu się tam schować.

Wyskrzeczał jakieś słowa powitania i popatrzył na nich znacząco.

– Tych dwu facetów z Waldena – rzucił – wysłało mnie żebym coś dla nich zabrał z tego czegoś, co tu stoi. Don Loris powiedział im, że jestem bardzo uczciwym człowiekiem.

Mocno się starał, aby wyglądać ma bardzo, bardzo uczciwego człowieka. Po chwili, w odpowiedzi pojawiły się szydercze uśmiechy.

– Jeśli będzie czegoś tam brakować, kiedy stąd odjadę – dodał Hoddan, – mogę sobie wyobrazić co się stanie później! Żaden z was, oczywiście, nie mógł niczego wziąć. O, nie! To jasne, że zwalicie wszystko na mnie! – Pokręcił głową i powiedział – Tsss, tsss.

Jeden ze strażników usiadł i oznajmił porozumiewawczo.

– Ale to pudło jest zamknięte. I to solidnie.

– Ponieważ jestem uczciwym człowiekiem – uprzejmie odparł Hoddan, – powiedzieli mi jak je otworzyć.

Zsiadł z konia. Zabrał torbę ze swojego siodła. Wszedł w błogosławiony cień metalowego kadłuba. Na chwilę przystanął, obtarł twarz z potu, i podszedł do włazu wejściowego. Położył rękę na dźwigni obrotowej. Jednocześnie starannie drugą ręką pchnął przycisk zamka. Oczywiście dźwignia obróciła się bez trudu i właz się otworzył. Ludzie z Waldena nie pomyśleli o dodatkowych zabezpieczeniach, ponieważ statek był pilnowany przez strażników. Na Waldenie takie środki bezpieczeństwa byłyby wystarczające. Na Darth, statek nie został obrabowany, tylko dlatego, że tutejsze zamki nie miały oddzielnego rygla anty-wibracyjnego, zabezpieczającego właz przed przypadkowym otwarciem wskutek drgań. Należało go wcisnąć w momencie otwierania zamka. Na statkach kosmicznych takie zabezpieczenie było czymś standardowym.

– Dajcie mi dwie minuty – powiedział Hoddan przez ramię. – Muszę zabrać to, po co mnie tu przysłali. Potem wszyscy startują jednocześnie.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Potem je zaryglował. Z natury rzeczy możliwość zablokowania statku kosmicznego od środka, tak by nie można było go otworzyć z zewnątrz, jest czymś oczywistym i niezbędnym.

Rozejrzał się w środku. Wszędzie standardowe wyposażenie. Po kolei sprawdził wszystko, nawet zapasy paliwa. Usłyszał głośne pukanie we właz. Nie przerywał jednak swojej kontroli. Włączył ekrany wizyjne, znajdujące się w sterówce – praktycznie każdego chyba statku kosmicznego – dające pełny widok w dowolnym kierunku. Wszystko było w porządku.

Pukanie z wolna przeszło w walenie. Bez trudu można było wywnioskować, czyjeś rosnące oburzenie. Strażnicy wokół statku uznali, że Hoddan zostawił sobie niesprawiedliwie dużo czasu, by zebrać w środku śmietankę najlepszej zdobyczy.

Nalał sobie szklankę wody. Była wręcz wyśmienita. Nalał drugą.

Walenie przeszło w nieustanne gwałtowne łupanie.

Hoddan usiadł sobie swobodnie w fotelu pilota i przekręcił małą gałkę. Chwilę odczekał. Delikatnie dotknął przycisku. Na zewnątrz dał się słyszeć grzmiący huk, a szalupa zareagowała lekkim wstrząsem. Na ekranach wizyjnych widać było chmurę kurzu wydobywającą się spod rufy statku, wznoszoną przez odpalone dysze rakiet. Widać na nich było jeszcze grupę przybocznych uciekających na złamanie karku.

Poczekał, aż znaleźli się w bezpiecznej odległości i wykonał standardowe czynności przedstartowe. Silniki rozgrzewały się ze straszliwym rykiem. Położył ręce na przyrządach sterowniczych i silne przeciążenie wcisnęło go w fotel. Rakieta zakołysała się na boki, ruszyła w górę, a w chwilę później strzeliła w niebo z coraz większym przyśpieszeniem.

Szalupa pędziła w górę, z najwyższą możliwą szybkością wznoszenia, zostawiając za sobą ogon błękitno – białego płomienia. Rozpościerająca się pod nim powierzchnia Darth, wydawała się błyskawicznie kurczyć. Port kosmiczny, wraz z otaczającym go miastem, zbiegały się w jeden punkt znajdujący się dokładnie pod rufą statku. Coraz bardziej malały i malały. W polu widzenia pojawiły się inne miejsca. Góry. Zamki. Dojrzał nawet twierdzę Dona Lorisa. Z większej wysokości, zobaczył morze.

Niebo pokryło się purpurą. Stopniowo przeszło w czerń, poznaczoną gęsto jasnymi plamkami gwiazd. Hoddan zmienił kurs na zachodni i kontynuował wznoszenie, obserwując obrazy gwiazd, przesuwające się na ekranach. Światło słońca zostało oczywiście przyćmione, tak by nie oślepiało pilota. Rakiety ciągle ryczały, ale w nieco inny sposób, ponieważ na zewnątrz szalupy nie było już powietrza, które rozcinane tworzyłoby falę dźwiękową.

****

Hoddan z najwyższą uwagą korzystał z tych najbardziej podstawowych metod astrogacji, jakie wypracowali jego piraccy koleżkowie, i które nieświadomie przyswoił sobie jako chłopiec na Zan. Chciał wejść na orbitę wokół Darth. Nie zamierzał nawet tracić czasu na próbę jej obliczenia, zamiast tego obserwował układ gwiazd przed dziobem i za rufą. Jeśli gwiazdy przed nim wyłaniały zza krawędzi tarczy planety szybciej, niż te z tyłu chowały się poniżej niej, oznaczało to że leci stopniowo w górę. Jeśli gwiazdy za rufą chowały się szybciej, niż te z przodu pojawiały, coraz bardziej opadał. Jeśli wszystkie gwiazdy wyłaniały się równo, leciał prosto w górę, a jeśli wszystkie się chowały, poruszał się prosto w dół. Nie była to skomplikowana metoda, a przede wszystkim działała.

Wkrótce mógł trochę odpocząć. Poruszał się szybko w kierunku linii zachodu słońca na Darth, przelatując na dzienną stroną planety. Był to kierunek odwrotny niż w przypadku normalnej orbity, ale taki właśnie kierunek obrały statki w górze. Miał nadzieję, że jego orbita jest niższa niż ich. Jeśli tak jest faktycznie, to wyprzedzi ich od tyłu. Jeśli on był wyżej, to oni wyprzedzą jego.

Włączył komunikator kosmiczny. Jego przełącznik odbioru ustawiony był po bożemu na pozycję „Dół". Przełączył go na „Kosmos", tak że mógł odbierać połączenia idące w kierunku planety, zamiast nadaremnie próbować słuchać odpowiedzi od obsługi nie działającej sieci lądowniczej.

Nagle w jego uszach buchnęły głosy. Wiele głosów. Niesłychanie duża liczba głosów. Wiele, wiele więcej niż dziewięć nadajników, które powinny aktualnie działać!

– *Ty idioto!* – wycedził jakiś głos z tłumioną pasją, – *zejdź z tego kursu, albo wpadniesz w nasze pole napędowe!* – Jakiś wysoki głos oznajmił dla odmiany: – *…A grupa druga zajmuje pozycję na orbicie drugiej…* – Ktoś inny krzyczał: – *Ale dlaczego oni nie odpowiadają?* – A jeszcze inny głos ciągle przemawiał oficjalnie: – *Zgłaszam grupę piątą, ale cztery statki pozostają z tankowcem Toya, który ma kłopoty ze stabilizatorem…*

Oczy Hoddana otworzyły się naprawdę bardzo szeroko. Wyciszył głos, ponieważ chciał trochę pomyśleć. Nie za bardzo było jednak nad czym. Przyleciał na górę by przeprowadzić zwiad w sprawie trzech statków, które zamieniły się w dziewięć, ponieważ wymyślił sobie na Darth, że taka dziwna sprawa, może jakoś da się obrócić w coś użytecznego. Ale teraz miał już do czynienia ze znacznie więcej niż dziewięcioma statkami – a taka ich liczba była już przecież niewyobrażalnie dużą flotą kosmiczną. Nie było żadnego powodu, aby statki kosmiczne musiały podróżować w tak licznych grupach. Natomiast istniała niezliczona liczba powodów, dla których nie powinny tego robić. Tylko ograniczona liczba statków mogła być jednocześnie obsłużona przez każdy z portów kosmicznych w galaktyce. Nie było więc powodu, zysku, ani celu w tym, by wiele statków podróżowało razem…

Daleko z przodu pojawiła się na Darth linia zachodu słońca. Szalupa teraz już powinna wkrótce przestać odbijać się jasnym światłem na niebie. Jasny krąg słońca niebawem zniknął z ekranów rufowych. Statek leciał dalej przez mrok cienia planety, a głosy w komunikatorze spierały się,

awanturowały, oficjalnie meldowały, a od czasu do czasu jeden z nich upominał dyskutantów, aby zachowali odpowiednią dyscyplinę języka.

Podczas okresu ciemności Hoddan torturował swój umysł, rozmyślając najbardziej dzikimi pomysłami, skąd tak wiele statków mogło pojawić się na takim prymitywnym i nieistotnym świecie jak Darth. Wkrótce pojawiła się przed nim linia wschodu słońca, i daleko z przodu ujrzał poruszające się światełka kadłubów, dyskutujących ze swadą statków. Wpatrywał się w nie pustym wzrokiem. Były ich dziesiątki… więcej… mnóstwo. Zmusił się do przemyślenia tej kompletnie nieprawdopodobnej sytuacji, że ponad sto statków kosmicznych może znajdować się w jego polu widzenia. W miarę jak szalupa pędziła przed siebie, mnożył kolejne domysły. Było to niemożliwe, ale…

Obrócił teleskop na zewnątrz i obraz na jego ekranie stał się jeszcze bardziej niewiarygodny niż sugerowały to dobiegające głosy i istnienie samej floty. W zasięgu przyrządu pojawił się rozdęty, monstrualny, przestarzały frachtowiec, projektu który nie był budowany już od setek lat. Potem zobaczył liniowiec pasażerski pokryty wymyślną ornamentacją, którą wiele pokoleń temu uważano za odpowiednią dla przestrzeni kosmicznej. Był tam również masowiec, pozbawiony kompletnie rakiet awaryjnych, i z pomieszczeniami dla załogi zbudowanymi w postaci długich liści, wystających poza gigantyczny obręb samego statku. Następny statek to długi, ostro zakończony jacht kosmiczny. Kolejne frachtowce z pasmami rdzy na bokach, w miejscach które po wylądowaniu spoczywały na lądzie przez dziesiątki lat…

Ta flota była po prostu anomalią, a każdy z jej elementów składowych był sam w sobie fenomenem. Była to kolekcja zebranych razem wszystkich możliwych przestarzałych i niemodnych wraków i potworności kosmosu. Ktoś musiał chyba wymieść śmietniki połowy galaktyki, aby zebrać razem tak wiele antycznych reliktów przeszłości, które powinny znajdować się już tylko w rupieciarniach.

Nagle Hoddan złapał gwałtowny, głęboki oddech. Właśnie stało się dla niego jasne, czym była ta flota i jakie były powody jej powstania. Dlaczego zatrzymała się akurat tutaj, tego jeszcze nie potrafił powiedzieć, ale…

Hoddan wpatrywał się zachłannie w roztaczający się przed nim widok. Nie wiedział jeszcze czego dotyczyła, ale to musiała być jakaś sytuacja awaryjna. Mogła być związana z dziedziną, z którą dałby sobie radę inżynier elektronik. Jeśli tak, to mogło to oznaczać okazję osiągnięcia wielkich celów, zdobycia bogactwa, prawdopodobnie poślubienia wspaniałej dziewczyny, i kiedyś stania się wielkim człowiekiem – asortyment ambicji, który nie mógł zostać łatwo zrealizowany na Zan, Waldenie lub Darth.

VII

Szalupa leciała kursem kolizyjnym w stronę nowoprzybyłej floty. Oczywiście nie oznaczało to wcale, że dojdzie do fizycznego kontaktu z którymkolwiek z tych niesamowitych statków. Z cienia nocnej strony Darth, mogły się one wydawać liczne jak gwiazdy na niebie i strasznie stłoczone, tak naprawdę jednak, znajdowały w sporej odległości od siebie. Tym niemniej, bardzo możliwe było, że nawet dziesięciomilowe odległości między statkami należało uważać za zbyt małe. Flota wysypała się z pustki przestrzeni kosmicznej aby przejść na wcześniej zaplanowaną orbitę wokół planety, z której Hoddan wystartował mniej niż godzinę temu.

Pewien bałagan był oczywiście nie do uniknięcia, co udowodniały głosy dochodzące z komunikatora kosmicznego. Między tymi dziwacznymi statkami toczyło się wiele dyskusji, kiedy pojazdy o możliwościach astrogacyjnych balii, próbowały zajmować wyznaczone im pozycje, co często nie za bardzo im się udawało, powodując powstawanie sprzeczek między statkami, które zbyt blisko podeszły do siebie. Jeden musiał nawet wyłączyć pole napędowe, aby uniknąć wysadzenia bezpieczników na obu jednostkach.

Niektóre statki spokojnie dotarły na swoje pozycje, inne zrobiły to samo, po tumulcie, sięgającym niemal buntu. Naturalnie znalazło się kilka kolejnych, które jak się wydawało, nie były w stanie współpracować z nikim innym. Przecinały one beztrosko trajektorie innych statków, co z obszaru zachodu słońca na planecie, musiało wyglądać jak najbardziej nieprawdopodobny taniec nowego rodzaju gwiazd.

Był to gigantyczny galimatias komunikacyjny, a szalupa Hoddana dryfowała prosto w jego kierunku. Usiłował policzyć przybyłe statki, i dawno już przekroczył setkę. Obecnie naliczył już ponad dwieście, i ciągle jeszcze nie były to wszystkie. Zanim się poddał doszedł do dwustu czterdziestu siedmiu kosmicznych dziwadeł, kłębiących się w próbie uformowania wokół planety Darth wirującej obręczy – pierścienia.

Był już niemal pewny, że wie co to za flota. Nie miał jednak pomysłu na to, skąd ona mogła tu przylecieć. A najbardziej tajemniczym ze wszystkich pytań było to, dlaczego te statki wyszły z napędu nadświetlnego i uformowały takie niecodzienne zjawisko niebieskie wokół planety, która nie miała im praktycznie nic do zaoferowania.

Wkrótce szalupa ratunkowa Hoddana znalazła się w gęstwie statków floty. Jego komunikator trysnął głosami, których barwy rozciągały się od basso profundo do wysokiego tenora, i których pomysły na właściwą astrogację wydawały się różnić w jeszcze szerszym zakresie.

– *Ty, tam!* – huknął głos z ogłuszającą siłą. – *Jesteś w naszej przestrzeni! Zmień kurs!*

Siła sygnału w przestrzeni zmienia się wraz z kwadratem odległości. Głos był po prostu grzmiący. Docierał ewidentnie z pobliskiego, garnkowato – brzuchatego wycieczkowca z naprawdę antycznego rocznika. Rzędy włazów na jego burtach zostały zaspawane płytami metalowymi. Rozmiary jego silników rakietowych wskazywały na typ paliwa od dawna już przestarzałego, na którym latano kiedyś, wiele, wiele lat temu. Nowsze, bardziej wysmukłe dysze wyglądały gdzieś ze środka oryginalnych. Wyglądało to, jakby statek został zaadaptowany do nowoczesnego paliwa rakietowego, po prostu poprzez wstawienie nowoczesnych rakiet w środek starych. Był tylko pół mili od niego.

****

Szalupa Hoddana kontynuowała swój lot. Względne położenie obu statków powoli się zmieniało. Inny głos oznajmił z oburzeniem:

– *To ta sama balia, która minęła nas o mniej niż milę! Hej, ty, tam! Przestań latać jak wariat! Wracaj na swój właściwy kurs!*

Trzeci głos:

– *Co to za statek? Nie rozpoznaję go! Myślałem, że znam wszystkie dziwadła w tej flocie!*

Czwarty głos ostro dodał:

– *To nie jest nikt z naszych! Spójrzcie na jego wygląd! To nie nasz!*

Wmieszały się w to inne głosy. Utworzył się z tego kompletny bełkot. Wtedy ryknął surowy głos:

– *Cisza! To rozkaz!* – Wokół zaległa kompletna cisza. Surowy głos powiedział z siłą: – *Przekazać do mnie jego obraz.* – Nastąpiło kilka chwil przerwy. Ten sam głos dodał ponuro: – *On nie jest z naszej floty. Ty, obcy! Zidentyfikuj się! Kim jesteś i dlaczego potajemnie wkradasz się między nas!*

Hoddan wcisnął przycisk transmisji.

– Nazywam się Bron Hoddan – powiedział. – Przybyłem aby sprawdzić dlaczego trzy statki, a potem dziewięć statków weszło na orbitę wokół Darth. To trochę niepokojące. Tak czy owak nasza sieć lądownicza jest wyłączona, i najmądrzejsze wydawało się rzucić na was okiem, zanim się skomunikujemy, i być może powiemy coś w co możecie nie uwierzyć. Ale z pewnością nie spodziewaliście się, że cała ta flota będzie mogła wylądować! Na razie nie może wylądować nikt.

Surowy głos powiedział równie ponuro jak poprzednio:

– *Przybyłeś z planety pod nami? Z Darth? Dlaczego twój statek jest taki mały? Najmniejszy z naszych jest dużo większy.*

– To jest szalupa ratunkowa – uprzejmie wyjaśnił Hoddan. – Przeznaczona jest do przenoszenia przez większe statki, na wypadek niebezpieczeństwa.

– *Jeśli polecisz na nasz statek dowodzący* – powiedział głos, – *odpowiemy na wszystkie twoje pytania. Wystrzelę flarę dymną, aby wskazać ci drogę.*

Hoddan powiedział sam do siebie:

– Na razie ani gróźb, ani ofert. Mogę się domyślać, dlaczego nie było gróźb. Ale powinni mi coś zaoferować.

Czekał. Dwieście mil od jego pozycji w przestrzeni buchnęła nagła erupcja świecących oparów. Wyglądało to jakby nieco materiału wybuchowego wetknięto w kanał odrzutowy rakiety i odpalono. Cząsteczki dymu, naturalnie zjonizowane, dodatkowo odpychały się wzajemnie, wspomagając siłę rozprężającą gazów powybuchowych. Kalafiorowaty obłok przejrzystej bieli po pojawieniu się przez chwilę rósł, jednocześnie rozpraszając się i rzednąc.

Hoddan leciutkim ciągiem rakiet napędowych skierował się w stronę wskazanego miejsca. Obrócił rakietę dookoła i wygasił jej prędkość względną. Statek dowodzący był czymś w rodzaju gigantycznej, bezkształtnej, kompletnie bezsensownie zbudowanej arki. Hoddan nie był sobie w stanie wyobrazić ani tego w jakim celu ktoś miałby używać czegoś podobnego, ani kiedy takie cudo mogło zostać zbudowane. Jego olbrzymie burty wydawały się być zrobione wyłącznie z wielkich pokryw włazów, teraz szczelnie zamkniętych.

Wrota jednego z tych włazów właśnie niespodziewanie się rozdziawiły. Mogłyby przyjąć na pokład nowoczesny okręt naprawdę sporych rozmiarów. Nerwowy głos próbował podawać Hoddanowi wskazówki odnośnie wprowadzenia szalupy do środka czegoś co było po prostu olbrzymią ładownią, z której w tej chwili wypompowano powietrze. Jęknął i spróbował to zrobić. Nie było to łatwe. Po wyłączeniu silników był calutki mokry od potu. Czuł się jednak zupełnie bezpiecznie. W razie potrzeby, strugi odrzutowe rakiet powinny przepalić takie drzwi. Jeśli będą chcieli wojny, mógł spowodować naprawdę niezłe spustoszenie.

Wielkie wrota ładunkowe zaczęły się zamykać. Wskaźnik ciśnienia zewnętrznego zakołysał się ostro i zatrzymał na trzydziestu centymetrach słupa rtęci. Na koniec rozległ się dzwonek. Najwyraźniej otworzono gdzieś mniejsze drzwi. Zapaliły się światła – staromodne rury jarzeniowe. Przez właz prowadzący do innych części statku weszli jacyś ludzie.

Hoddan przytaknął sam sobie głową. Ubrania nowoprzybyłych także były dziwaczne. Wyglądały na uciążliwe w noszeniu, można powiedzieć nawet, że były prymitywne, ale nie w stylu brudnej, lecz jaskrawo i fantazyjnie ubarwionej odzieży na Darth. Ci ludzie byli wszyscy jednolicie ubrani w czerń, z szarymi koszulami. Na żadnym z nich nie było nawet śladu muśnięcia jakiegoś innego koloru. Nawet ci młodsi z nich nosili brody. A w dodatku do tych wszystkich dziwacznych, niepotrzebnych rzeczy, na głowach nosili płaskie kapelusze o szerokich rondach – na statku kosmicznym!

Hoddan otworzył właz szalupy i uprzejmie ich powitał.

– Dzień dobry. Nazywam się Bron Hoddan. Właśnie ze mną rozmawialiście przed chwilą.

Najstarszy mężczyzna, obdarzony najbardziej dziką i zmierzwioną brodą, surowo oznajmił:

– Jestem tutaj przywódcą. Jesteśmy ludem Colina. – Zmarszczył surowo brwi, kiedy wyraz twarzy Hoddana nie uległ żadnej zmianie. –

Ludem Colina! – powtórzył nieco głośniej. – Ludem, którego przodkowie zasiedlili tę planetę, i zamienili ją w świat pokoju i dobrobytu. A potem głupio wpuścili między siebie obcych!

– To niedobrze – rzekł Hoddan. Tak jak mu się wydawało, już wcześniej domyślił się, co ci ludzie tutaj robią, a poznanie nazwy miejsca z którego pochodzą, nie powiedziało mu nic o tym, czego chcieli od Darth.

– Uczyniliśmy go sprawiedliwym światem – dziko zadeklarował brodaty mężczyzna. – Ale mój prapradziadek wszystko zniszczył. Wierzył, że powinniśmy dzielić się naszym dobrem z innymi. To on przekonał Synod, aby pozwolił obcym osiedlać się wśród nas, wierząc że z czasem mogliby się stać tacy jak my.

****

Hoddan przytaknął z oczekiwaniem. Ci ludzie musieli mieć jakieś problemy, inaczej nie wyszliby z nadszybkości w takim miejscu. Ale widocznie tyle nad nimi debatowali, że stały się one ich emocjonalną obsesją, która nie mogła zostać zrelacjonowana w skrócie. Kiedy spotkali obcą osobę, musieli przedstawić swoje kłopotliwe położenie z pasją i w całej rozciągłości.

Brodaty mężczyzna spoglądał na Hoddana gorejącymi oczyma. Przechodząc dalej, pomagał sobie bogatą gestykulacją, tak jakby wygłaszał szczególnie ważną i uroczystą mowę. Jako pierwsze wygłosił oświadczenie tego rodzaju:

– Oni jednak trzymali się swoich grzechów! – gorzko rzekł brodacz. – Nie chcieli przyjąć naszego stylu życia! Dawany im przykład, poszedł na marne! Sprowadzili na Colina innych, im podobnych. Już wkrótce zaczęli z nas drwić. Nieco później przewyższyli nas liczbą! Wtedy zarządzili, że prawa ustanawiane przez nasz Synod, nie powinny ich dotyczyć. Kusili naszą młodzież aby ich naśladowała, aby stali się frywolnym, pełnym grzechu, rozpustnym ludem, takim jak oni!

Hoddan ponownie skinął potwierdzająco głową. Na Zan też niektórzy starsi ludzie mówili w podobny sposób. Ale nie jego dziadek! Jeśli słuchało się ich wystarczająco długo, w końcu dochodzili do tych lub innych konkretów, ale tak mocno zajmowali się porządkowaniem swoich myśli, że jakakolwiek próba szybkiego dotarcia do ich treści, mogła skutkować jedynie zamieszaniem.

– Dwadzieścia lat temu – perorował dalej brodacz, z towarzyszeniem gniewnej gestykulacji, – ubiliśmy z nimi interes. Utrzymaliśmy jedną trzecią całej ziemi na planecie, ale nasza młodzież odchodziła od stylu życia swoich ojców. Zawarliśmy więc z nowoprzybyłymi, których miłowaliśmy, pewien układ. Sprzedaliśmy naszą ziemię, nasze miasta, nasze farmy, nasze drogi, za statki, które zabiorą nas do nowego świata, z żywnością na podróż i maszynami, które pomogą nam opanować planetę, którą sobie wybierzemy. Wysłaliśmy spośród nas grupę ludzi, aby znaleźli

świat, na którym moglibyśmy się przenieść. Dziesięć lat temu, wrócili. Znaleźli odpowiedni świat. Planetę Thetis.

I ponownie Hoddan nie zareagował w żaden sposób. Ta nazwa nic mu nie mówiła.

– Rozpoczęliśmy przygotowania – powiedział stary człowiek, jego oczy błyszczały niesamowicie. – Pięć lat temu, byliśmy już gotowi. Ale musieliśmy poczekać kolejne trzy lata, zanim nasi kontrahenci byli gotowi do wypełnienia swojej części umowy. Musieli kupić i zebrać statki. Musieli zaprojektować i zbudować maszyny, jakich potrzebowaliśmy. Musieli zebrać zapasy żywności. Dwa lata temu przemieściliśmy do statków nasze zwierzęta, załadowaliśmy nasze jedzenie, nasze rzeczy, i sami zajęliśmy swoje miejsca. Wyruszyliśmy w drogę. Przez dwa lata podróżowaliśmy w kierunku Thetis.

Hoddan poczuł instynktowny respekt w stosunku do ludzi, którzy podjęli trud przeniesienia, jednej trzeciej populacji całej planety, na odległość oznaczającą lata podróży. Mogli mieć takie gusty, jeśli chodzi o ubiór, których sam nie podzielał, mogli mieć skłonności do wymyślnego stylu przemawiania, zamiast rzeczowych stwierdzeń, zmierzających od razu do sedna sprawy, ale niewątpliwie mieli w sobie wiele śmiałości.

– Tak, proszę pana – powiedział Hoddan. – Jak rozumiem, doszliśmy w końcu do chwili obecnej.

– Nie – odparł stary człowiek, a jego oczy ciągle błyszczały. – Sześć miesięcy temu, ustaliliśmy, że możemy zacząć szkolić operatorów maszyn, które chcemy wykorzystać na Thetis. Rozpakowaliśmy nasze maszyny. Stwierdziliśmy, że zostaliśmy haniebnie oszukani!

Hoddan stwierdził, że był w stanie całkiem beznamiętne rozważyć, jakie korzyści mógłby odnieść – powiedzmy, ojciec Neddy – w interesach z ludźmi, którzy w dobrej wierze, przez dwa lata nie sprawdzili za co zapłacili, dopóki nie znaleźli się w odległości dwu lat podróży. Biznesmeni na Krymie mieli pewien rodzaj kodu, określającego to, jak kompletnie można orżnąć klienta. Don Loris, na przykład…

– Jak bardzo zostaliście oszukani? – zapytał Hoddan.

– Na dorobek całego naszego życia! – gniewnie wyznał stary człowiek. – Czy zna się pan na maszynach?

– Pewnego typu – przyznał Hoddan.

– Proszę pójść ze mną – rzekł przywódca floty.

Z pewnym rodzajem godności, nieco jednak teatralnej, ponieważ zdawał sobie z niej sprawę, przywódca ludu Colina pokazał drogę. Hoddan ze swoją szalupą znajdował się w gigantycznej ładowni. Teraz został odeskortowany do kolejnej. Była ona ciasno wypełniona skrzyniami pełnymi maszyn. Jeden olbrzymi pojemnik został otworzony już wcześniej, a jego cała zawartość wypakowana. Inne zostały przecięte tylko na tyle, by można było sprawdzić ich zawartość.

Wypakowaną maszyną był pług do uprawy dżungli. Był to potężny kawał urządzenia, który mógł atakować dżunglę na trzydziestostopowym froncie, karczować wszystkie rośliny aż do drzew o średnicy czterech stóp, ciąć je na wióry, spulchniać i rozdrabniać glebę, do głębokości trzech stóp, i zostawiać za sobą wyrównaną, rozdrobnioną, sproszkowaną ziemię,

zmieszaną ze szczątkami roślinnymi, gotowymi do przekształcenia w próchnicę. Maszyna taka mogła oczyścić dziesiątki akrów w dzień i w nocy, zamieniając dżunglę na tereny rolnicze, przystosowane do ziemskich upraw.

– Uruchomiliśmy to tylko na pięć minut – powiedział brodaty mężczyzna z taką pasją, że Hoddan wyraził aprobatę tylko kiwając głową. Podniósł maskę maszyny.

Silniki były kompletnie wypalone. Bezwartościowe materiały izolacyjne. Porozbijane i połamane przekładnie. Odlewy metalowe niskiej jakości. Pręty scalające zostały porozrywane. Układ jezdny był pokrzywiony i pogięty. To w ogóle, poza ogólnym wyglądem, nie była maszyna. To było pośmiewisko, zrobione z bezwartościowych materiałów, które prawdopodobnie kosztowało swojego wytwórcę jedną dwudziestą tego, co powinna kosztować budowa uczciwego pługu dżunglowego.

Hoddan poczuł ogarniający go gniew, jaki czuje każdy człowiek widzący zdradę tego honoru, który powinna sobą reprezentować kompetentnie wykonana maszyna.

– Chyba nie wszystko wygląda tak jak to! – stwierdził z niedowierzaniem.

– Niektóre wyglądają jeszcze gorzej – odparł z godnością stary człowiek. – Niektóre skrzynie oznakowane są jako zawierające turbiny. Zaś ich prawdziwa zawartość to stare, zużyte maszyny do produkcji cegieł. Inne skrzynie oznakowano, że zawierają generatory. Wypełnione są skorodowanymi rurami irygacyjnymi i połamanymi odlewami żeliwnymi. Mamy całe statki wyładowane balastem sprasowanych w bele, zardzewiałych arkuszy skrawków metalowych. Zostaliśmy oszukani na dorobek całego naszego życia!

****

Hoddan poczuł, że wpada w naprawdę niezłą furię. Jedna trzecia populacji planety, zapakowana w statki kosmiczne na dwa lata, lub nawet więcej – ci ludzie powinni być przynajmniej obiektem współczucia. A tylko przypadek uratował ich przed wylądowaniem tym złomem na Thetis – trudno przecież było oczekiwać, aby którykolwiek z tych statków był w stanie ponownie wystartować – oraz przed zejściem z nich i przystąpieniem do radosnego wycinania dżungli na obcej planecie, robiąc miejsce do rozładowania zabranych ze sobą maszyn – aby potem stwierdzić, że przewieźli przez parę tysięcy lat świetlnych, bezwartościowe kawałki żelastwa.

Z pewnością zaczęliby przymierać głodem. Co prawda, obecnie wcale nie byli w dużo lepszej sytuacji. Przecież nie mieli innego miejsca, do którego mogliby się udać! Żadna z nowych kolonii, nie byłaby w stanie zaabsorbować takiej liczby ludzi, których jedynym wyposażeniem do życia w niej, były gołe ręce. Nie było też żadnego cywilizowanego, zasiedlonego świata, który mógłby wpuścić tak wielu biedaków, bez zagłodzenia swojej

własnej ludności. Nie było absolutnie żadnego miejsca, gdzie ci ludzie mogliby się udać!

Gniew Hoddana zaczął z wolna przechodzić w uczucie winy. Nie mógł niczego zrobić, a coś przecież zrobić należało.

– Dlaczego… dlaczego przylecieliście na Darth? – zapytał. – Co wam daje orbitowanie tutaj? Nie spodziewacie się chyba…

Stary człowiek spojrzał mu prosto w oczy.

– Jesteśmy żebrakami – powiedział zachowując gorzką godność. – Zatrzymaliśmy się tu, aby błagać o miłosierdzie. O ofiarowanie nam starych i zużytych maszyn, zbywających ludziom mieszkającym na Darth. Będziemy wdzięczni nawet za jeden zardzewiały pług. Ponieważ musimy lecieć dalej. Nie możemy zrobić nic innego. Musimy polecieć na Thetis. A tam, każdy pług może oznaczać, że kilkoro z nas przeżyje, choć inaczej by umarli z… z większością z nas.

Hoddan przeciągnął ręką przez włosy. To nie był jego problem, ale nie potrafił przejść nad nim do porządku.

– Znowu jednak zapytam… dlaczego Darth? – rzekł bezradnie. – Dlaczego nie zatrzymaliście się koło jakiegoś bogatszego świata, który ma więcej by się tym dzielić. Darth to naprawdę biedne miejsce…

– Ponieważ ten, który jest biedny, jest hojny – gładko oznajmił brodaty mężczyzna. – Bogaci mogą dać nam to, co jest im niepotrzebne. Ale prości, biedni ludzie, bliscy ziemi, dadzą nam to, czego sami potrzebują. Podzielą się tym co mają, i zgodzą się dzielić nasze potrzeby.

Hoddan chodził tam i z powrotem po antycznej podłodze kajuty antycznego statku. Po chwili powiedział z naciskiem:

– Nawet przy maksymalnej dozie dobrej woli… Darth jest wręcz przesiąknięty biedą. Nie ma tutaj w ogóle przemysłu. Nie ma żadnych urządzeń i wiedzy technicznej. Nie ma nawet dróg! To jest planeta malutkich wiosek i niewielkich miasteczek. Statki z innych planet zatrzymują się tu tylko raz w miesiącu. Komunikacja naziemna niemal nie istnieje. Nawet rozesłanie wiadomości o waszych potrzebach, na Darth wymagać będzie całych miesięcy. Ale zebranie tego, co mogą wam dać, bez dróg, a nawet bez pojazdów kołowych… Nie. To niemożliwe. W dodatku mam jedyny statek kosmiczny na tej planecie, a i on nie jest przystosowany do przelotów międzygwiezdnych.

Brodaty człowiek słuchał go z czymś w rodzaju zawziętej desperacji, bijącej z całej jego postaci.

– Ale – ponuro powiedział Hoddan. – Miałbym może pewien pomysł. Ja… eee… Mam pewne kontakty na Waldenie. Rząd Waldena nie traktuje przychylnie dobroczynności. Potrzeba dobroczynności wydaje się im… echm… krytyką waldeniańskich standardów życia.

Brodaty mężczyzna stwierdził zimno:

– Mogę to zrozumieć. Serca bogatych stwardniały. Bycie biednym jest dla nich zarzutem.

Hoddan jednak nagle zaczął spostrzegać pewne realne możliwości. Nie był to bezpośredni ruch w kierunku realizacji jego ambicji osobistych. Z drugiej jednak strony, nie był to ruch, który by go od nich oddalał. Hoddan

nagle przypomniał sobie orację, jaką jego dziadek wygłaszał w przeszłości wiele, wiele razy.

– Proste problemy – nieustannie mawiał stary człowiek, – to iluzja. Myślisz, że sprawa jest jasna i prosta, a pewnego dnia okazuje się, że jesteś zrujnowany, zaś twoja rodzina przymiera głodem. Ponieważ rzeczywiste sprawy nigdy nie są proste! Nie są też jasne! Za każdym razem, kiedy próbujesz traktować je jako proste i łatwe do rozwiązania, działasz wbrew ich naturze i musisz spowodować zamieszanie! A więc jeśli coś się wydarzy i jesteś w jakimś wydawałoby się prostym, lecz beznadziejnym kłopocie – czemu nie iść w zgodzie z naturą. Trzeba uczynić go tak bardzo skomplikowanym, jak tylko się da, a wtedy ludzie którzy wpędzili cię w bagno tracą zupełnie orientację i ty możesz się z niego wygrzebać.

Hoddan odwołał się do mądrości swojego dziadka – nie szukając w niej uzasadnienia dla zrobienia tego co mógł, ale akceptacji togo co nie było niemożliwe do wykonania. Natychmiast spostrzegł pewną możliwość. Wyglądała całkiem nieźle. Po szybkiej analizie, wyglądała jeszcze lepiej. Doprawdy zaskakujące, jak bardzo było to możliwe do przyjęcia.

– Hmmm… – powiedział. – Planowałem zacząć pracę na swoim, jak pan się zapewne domyśla. Jestem tutaj z powodu… echm… ludzi z Waldena. Gdybym mógł odbyć szybką podróż na Waldena, moja… hmmm… obecna pozycja być może pozwoliłaby mi wam pomóc. Nie mogę wiele obiecać, ale gdybym mógł pożyczyć choćby najmniejszy z waszych statków, na podróż, której nie mogę wykonać moją szalupą… może… może będę mógł coś zrobić. Znaczenie więcej niż da się zrobić na Darth!

Brodaty mężczyzna spoglądał na swoich towarzyszy.

– Wydaje się szczery – powiedział odpychająco, – a w końcu nie mamy nic do stracenia. I tak przerwaliśmy naszą podróż i utknęliśmy tu na orbicie. Możemy poczekać. Tylko… nasi ludzie nie powinni pojawiać się na takich planetach jak Walden. Cielesność…

– Mogę znaleźć własną załogę – radośnie przerwał mu Hoddan. W duchu odczuł potężną ulgę. – Jeśli tylko się zgodzicie, polecę na dół na planetę i wrócę razem z nimi. Eee… potrzebny mi naprawdę jakiś bardzo mały statek!

– I taki właśnie będzie – odrzekł stary człowiek. – Dziękujemy panu…

– Załadujcie go na, na pokład tego statku – zasugerował Hoddan. – Wtedy, tak jak teraz, wlecę do środka, przeładuję załogę bez skafandrów kosmicznych i zostawię moją szalupę pod waszą opieką, dopóki nie wrócę.

– Tak więc zrobimy – twardo oznajmił stary człowiek. Dodał uroczyście. – Musiał pan odebrać wspaniałe wychowanie, młody człowieku, aby żyć z własnej woli między ludźmi, jak pan to określił, przesiąkniętymi biedą, i z taką ochotą udać się tak daleko, aby pomóc obcym, takim jak my.

– Ech? – Potem Hoddan dodał enigmatycznie. – Nauki, które będę stosował w waszych sprawach, odebrałem rózgą, na kolanie u mego ukochanego dziadka.

****

Oczywiście jego dziadek był głową najbardziej notorycznego gangu piratów na niesławnej planecie Zan, ale Hoddan stwierdził, że w miarę jak zdobywał doświadczenie na kolejnych planetach, odczuwa coraz większy respekt względem starszego pana.

Energicznie wrócił na pokład swojej szalupy. Po drodze poczynił kilka ustnych ustaleń, dla przedsięwzięcia, które obmyślił tak szybko. To zdumiewające, jak dwie grupy problemów mogą dostarczyć wzajemnych sugestii, do ich łącznego rozwiązania. Właściwie to nawet widział przed sobą możliwości dokonania pewnych osiągnięć. Także w elektronice!

W międzyczasie, gdy z ładowni ogromnego statku, ponownie zostało wypompowane powietrze, i wielkie wrota otworzyły się na bezmiar kosmosu, Hoddan miał już w głowie bardzo szeroki obraz spraw. Jeszcze tego samego dnia rano, powiedział Fani, że człowiek praktyczny zawsze robi to, co ma do zrobienia, poświęcając nawet osobiste skłonności do zwracania uwagi na dobro innych. Zaczynał teraz podejrzewać, że dobro innych może jednak w wielu przypadkach być zbieżne z jego własnym.

Potrzebował pewnych, raczej szerokich, zmian w stosunku kosmosu do jego osoby. Walden był przygotowany nawet do płacenia łapówek za jego głowę. Don Loris uważał za konieczne, pewne ograniczenie jego swobody ruchów. Była też pewna liczba darthiańskich dżentelmenów, którzy z całą pewnością chętnie by go zaszlachtowali, gdyby nie pozostawał poza ich zasięgiem, na przykład w jakimś miłym lochu. Ale aż do tej pory, nie miał żadnej praktycznie możliwości aby opuścić Darth, zacząć działać na Waldenie, czy też zmienić swój status w oczach Darthian.

Wyleciał szalupą z pokładu wielkiego statku i zajrzał do znajdujących w niej się map Darth. Oczywiście zaglądano już do nich wcześniej, aby ustalić położenie sieci lądowniczej, która nie odpowiadała na wywołania. Znalazł współrzędne sieci. Zaczął porównywać mapę z tym, co widział za portami widokowymi, z orbity nad Darth. Szybko odnalazł niewielki ocean, graniczący z najwyższym na Darth łańcuchem górskim, rozciągającym się wzdłuż jego wschodnich krańców. Zidentyfikował system rzeczny prowadzący do tego oceanu. Zaczął więc redukować swoją nadmierną szybkość, ponieważ sieć lądownicza leżała już dosyć blisko, jakieś tysiąc pięćset, dwa tysiące mil.

Dla wprawnego pilota, jego dalsze manewry mogłyby wyglądać na dosyć skomplikowane. Przewaga obliczeń nad astrogacją na oko, polega jednak głównie na oszczędności paliwa. Doskonale obliczony kurs do lądowania, umożliwia sprowadzenie statku na dół, na ziemię, przy użyciu najmniejszej możliwej liczby centygramów paliwa. Ale manewry optymalne pod kątem zużycia paliwa, rzadko są również najbardziej efektywne czasowo.

Hoddan nie miał ani czasu ani danych do wykonania niezbędnych obliczeń. Obracał szalupą krok za krokiem, w bardzo szacunkowo używając ciągu rakiet aby zwolnić do odpowiedniej szybkości w kierunku ze wschodu na zachód, a w końcu we właściwym miejscu błyskawicznie

dał pełny ciąg dla deceleracji, spadając na dół praktycznie jak kamień. Naprawdę nikt nie byłby w stanie się tego nauczyć. Praktycznie musiało to zostać wyssane z mlekiem matki. I w ten właśnie sposób Hoddan nauczył się tego na Zan.

Wkrótce, w kilka minut później, twierdzą Dona Lorisa wstrząsnął ryczący pomruk, dobiegający z jakiegoś punktu gdzieś wysoko na niebie. Wartownicy w hełmach, stojący na blankach wpatrywali się w górę. Pomruk przerodził się w wycie, a wycie wzrosło do głośności gromu, a grom do koszmarnego ryku, zmuszającego luźno leżące kamyki do podrygów i tańców.

Wtedy na czystym niebie późnego popołudnia pojawiła plamka białego obłoczku. Szybko urosła do większych rozmiarów, mrugając błękitno-białym światełkiem, które pojawiło się w jej centrum. Światło to stawało się coraz bardziej jaskrawe – także hałas jakoś jeszcze był w stanie wzrosnąć – i wkrótce różowawe już światło słoneczne, zmieszało się ze światłem płomieni rakiet, zawierającym znacznie więcej niebieskiego. Pojawiły się dodatkowe, blade cienie.

Wtedy raptownie rakiety zgasły, coś ciemnego zbliżyło się do ziemi, na chwilę rakiety ponownie zapłonęły, a z przypalonego gruntu wzniosła się ogromna masa pary – i szalupa stała w kole gwałtownie dymiącej, zwęglonej darthiańskiej gleby. Powrót spokoju i ciszy po tak potężnym tumulcie, był czymś wręcz zaskakującym.

****

Tu, na dole nie było widać żadnej specjalnej reakcji. Hoddan odpiął pasy fotela pilota, z namysłem rozejrzał się po otoczeniu statku, a potem wyłączył aparaturę wizyjną. Przeszedł na tył i sprawdził możliwości żywnościowe szalupy. Nie jadł nic od śniadania, w tej samej strefie czasowej. Znaleziona w magazynku żywność była ekstremalnie łatwa do przyrządzenia i niespecjalnie apetyczna. Jadł, jednocześnie snując poważne rozważania i kontynuując obmyślanie planów, łączących potrzeby emigrantów z Colina, z jego stosunkami z rządem Waldena, krótką wycieczką, jaką planował zrobić wypożyczonym od emigrantów statkiem, oraz swoją niewielką popularnością u Dona Lorisa na Darth. Myślał także, z dużym respektem, o opiniach swojego dziadka na wiele różnych spraw, włączając w to kosmiczne piractwo. Hoddan stwierdził, że w o wiele większym stopniu zgadza się ze dziadkiem, niż to wcześniej uważał za możliwe.

Na zewnątrz ptaki, które podczas lądowania przypadły do ziemi i skryły się w trawie, teraz znów zaczynały wzlatywać w niebo, zapominając o niedawnym przestrachu. Konie, galopujące wściekle po pastwiskach, lub kopiące w panice przegrody w zamkowych stajniach, wracały do swego owsa i siana.

Były oczywiście pewne reakcje również ze strony ludzi. Don Loris znajdował się w niesłychanie wyburzonym stanie umysłu, z powodu

sposobu zakończenia swoich interesów, z przybyłą z Waldena parą. Hoddan szacował, że za dostarczenie jego skromnej osoby Derecowi i waldeniańskiemu policjantowi, Don Loris mógł liczyć nawet na pół miliona kredytów. Nie udało mu się wydobyć od policjanta – Derec tylko siedział przez cały czas z nieszczęśliwą miną i nie odzywał się ani słowem – obietnicy wypłacenia więcej niż połowy tej sumy. Don Loris pogodził się z tym, dobił targu i wysłał po Hoddana, a tu Hoddana nie było.

Teraz lądowanie szalupy wzbudziło u Dana Lorisa ożywiony niepokój. To mogli być nowi oferenci w sprawie Hoddana. To mógł być ktokolwiek. Hoddan powiedział, że ma jakiś sekret. To mogło być właśnie to. Don Loris z irytacją próbował wymyślić jakiś użyteczny pomysł bez żadnych informacji, które mogłyby stanowić dla niego podstawę.

Fani patrzyła na szalupę z jaśniejącymi oczyma. Thal wrócił już na zamek. Powiedział jej, że Hoddan odleciał szalupą, w pobliżu zamku innego thana. Wszedł do niej i pomknął w niebo w aurze płomieni, dymu i grzmotu. Fani miała nadzieję, że może teraz wraca. Czekając na to, aż wykona jakiś ruch, trochę się jednak martwiła.

Hoddan nie robił nic. Szalupa nie dawała znaku życia.

Słońce zaszło, i niebo zamigotało igiełkami świateł, które płynęły w kierunku zachodnim i znikały. Mrok robił się coraz gęstszy i na całym niebie rozbłyskiwało coraz więcej dziwnych światełek, jakby podążając za słońcem. Fani wiedziała o związku trzech i dziewięciu podobnych świateł ze statkami kosmicznymi, ale nie potrafiła sobie wyobrazić floty setek takich statków. Usunęła więc światła ze swego umysłu, koncentrując się w znacznie większym stopniu na Hoddanie. Kiedy w końcu wyjdzie z szalupy, może znaleźć się w bardzo poważnych kłopotach.

Zmrok pogłębiał się coraz bardziej, stając się tym czarodziejskim półmrokiem, w którym wszystkie rzeczy wyglądały na znacznie piękniejsze, niż w rzeczywistości były. Don Loris również trochę się pohamował, zaniepokojony tajemniczym rozwojem sytuacji, i schłodził umysł do stanu zrzędliwej gderliwości. Wezwał do siebie Thala. Należy pamiętać, że Don Loris nie miał pojęcia o zniknięciu szalupy z ziemi swojego sąsiada. Nie wiedział nic również o podróży Thala z Hoddanem. Pamiętał jednak, że rano, przy śniadaniu, Hoddan wydawał się zupełnie niczym nie przejmować i tłumaczył swój spokój posiadaniem jakiegoś sekretu. Feudalny than martwił się, czy aby tym sekretem nie była właśnie stojąca nieopodal murów szalupa.

– Thal – oznajmił gderliwie Don Loris, siadając koło wielkiego paleniska w olbrzymiej sali, w której wiecznie hulały przeciągi, – znasz tego Hoddana lepiej niż ktokolwiek inny.

Thal złapał głęboki oddech. Zbladł jak ściana.

– Gdzie on jest? – Don Loris twardo zażądał odpowiedzi.

– Nie wiem – powiedział Thal. Generalnie była to prawda. W końcu widział tylko jak Hoddan znika gdzieś na niebie.

– Na czym polega plan, który realizuje? – Don Loris naciskał dalej.

– Nie wiem – bezradnie odparł Thal.

Don Loris zabębnił palcami po oparciu swego bogato rzeźbionego krzesła.

– Wiesz, że nie znoszę ludzi, którzy nic nie wiedzą! – rzucił ostro. – W środku tej… rzeczy ktoś musi siedzieć. Dlaczego nie chce się pokazać? Dlaczego tu wylądowali… i to specjalnie. Z powodu Hoddana?

– Nie wiem – Thal wygłaszał swoją kwestę coraz bardziej pokornym tonem.

– Więc idź i się dowiedz! – warknął Don Loris. – Weź ze sobą jakąś rozsądną liczbę strażników. To pudło musi przecież mieć jakieś drzwi. Zapukaj w nie i grzecznie zapytaj kto jest w środku i po co tu przybył. Powiedz im, że to ja cię wysłałem z zapytaniem.

Thal zasalutował. Coraz głośniej dzwoniąc zębami, zebrał pół tuzina swoich kompanów i wyszli pieszo przez zamkową bramę. Niektórzy z wybranej grupy byli członkami ekipy ratunkowej, która uwolniła lady Fani z rąk Gheka. Ciągle byli w błogim nastroju, z powodu łupów, które przywieźli wtedy ze sobą. Było tego dużo więcej, niż prosty przyboczny mógł mieć nadzieję, że uda mu się zgromadzić przez cały rok.

– Co to wszystko znaczy, Thal? – dopytywał się jeden z nich, kiedy Thal, aby nadać im właściwy wojskowy wygląd, ustawił ich w dwa szeregi, rozkazał trzymać prosto włócznie i wyrównać tarcze wiszące na lewym ręku.

– Nprzóóód mrrrsz! – szczeknął Thal, wprawiając w ruch całą machinę. – Dwa, trzy cztery. Razzz, dwa, trzy cztery. Razzz, dwa, trzy cztery. – Uchwycili miarowy rytm.

Thal wyjaśnił im ponuro.

– Don Loris polecił dowiedzieć się kto wylądował tą rzeczą, tam na polu. Kazał mi również wypytywać o Brona Hoddana.

Wyrównał krok razem z innymi. Wychodząc spomiędzy murów zamkowych, siedmiu ludzi tworzyło robiący wrażenie oddział żołnierski.

– A co się z nim stało? – zapytał któryś z ludzi z tylnego szeregu. Maszerował dalej, z oczami wpatrzonymi prosto przed siebie, wypiętą piersią, drzewcem włóczni kołyszącym się idealnie w rytm marszu. – Ten chłopak ma nosa do łupów! Chociaż sam ich nie bierze. Gdyby wszedł teraz do biznesu jako than, to…

– Razzz, dwa, trzy, cztery – wyburczał Thal. – Razzz, dwa, trzy…

– Don Loris, to twardy than – mruknął człowiek maszerujący z prawej strony drugiego szeregu. – Dużo żarcia i piwa, ale nie ma walki i nie ma zdobyczy. Nie poszedłem wczoraj z wami, obiboki, ale to co przywieźliście z powrotem…

– To nawet nie połowa z tego co tam było – poskarżył się człowiek z przedniego szeregu. – Nawet nie połowa! Te pistolety, które nam rozdał, przestały strzelać, i musieliśmy się stamtąd szybko wynosić! Hmmm… No to jest ta rzecz, Thal. Co mamy z nią zrobić?

– Dwszereeeeg, stóóój! – warknął Thal. Przyglądał się stojącej bez ruchu, bez żadnych widocznych oznak życia, bezkształtnej szalupie ratunkowej. Widział już dzisiaj wcześniej podobną do tej. Wiedział więc, że musi się jej trochę wystrzegać. Zaczął więc gderać: – Uważajcie na te rury z tyłu, wyraźnie służą do tego by tym kierować. Plują ogniem. Z tej strony nie ma żadnych drzwi. Don Loris powiedział, żeby zapukać do drzwi. Obejdźmy ją z przodu. Nprzóóód mrrrsz! Dwa, trzy cztery. Razzz, dwa,

trzy cztery. W lewo zwrot, i uważać na te skały. Don Loris dopiero by nam dał, gdyby któryś się wywalił. Znowu w lewo zwrot! Razzz, dwa, trzy cztery…

****

Siedmiu ludzi przemaszerowało dostojnie przed frontem szalupy. Po drugiej stronie, jej kadłub przesłonił cały zamek Dona Lorisa. Sześciu włóczników i Thal, przeszło do drugiego etapu.

– No to jesteśmy – zagrzmiał Thal. – I mówię wam, chłopaki, jeśli zacznie pluć ogniem to, do diabła, bierzcie nogi za pas!

Podszedł marszowym krokiem do włazu szalupy. Zapukał w jego pokrywę. Nie było żadnej odpowiedzi. Zapukał znowu.

Hoddan otworzył właz. Z radością skinął głową Thalowi.

– Uszanowanko, Thal! Cieszę się, że cię znowu widzę. Miałem nadzieję, że pojawisz się właśnie w taki sposób. Kto tam jest z tobą? – Rozejrzał się w półmroku. – Paru chłopaków, co? Wejdźcie! – Skinął ręką i rzucił niby przypadkiem: – Oprzyjcie włócznie tam, o kadłub.

Thal zawahał się przez chwilę, i już było po nim. Pozostali już posłuchali Hoddana. Rozległo się tylko stukanie ostrzy włóczni o metalowy kadłub, kiedy jedna po drugiej stawiane były w wyznaczonym miejscu. Szóstka przybocznych Dona Lorisa z podziwem w oczach podążała za Thalem, do środka szalupy, przypatrując się jej oraz Hoddanowi, który ostatnio dał trzem z nich niemal połowę całorocznych zarobków ich kolegów, oraz szansę obrabowania pobliskiego zamku.

– Siadajcie! – kordialnie zaprosił ich Hoddan. – Jeśli chcecie poczuć się naprawdę jak w statku kosmicznym, przypnijcie się pasami do foteli. Będziecie mieli dokładnie takie samo wrażenie, jakbyście mieli odbyć podróż ponad atmosferę. O, właśnie tak. Oprzyjcie się swobodnie plecami o oparcia. Zauważyliście, że w kadłubie nie ma żadnych okien? To dlatego, że aby widzieć wszystko dookoła, używamy tych ekranów wizyjnych.

Machnął ręką w kierunku ekranów. Thal i jego towarzysze byli wniebowzięci, mogąc oglądać krajobraz na zewnątrz, przedstawiony na ekranie. Hoddan przesunął punkt czułości w kierunku podczerwieni, i nagle pojawiły się szczegóły, które były już niewidoczne gołym okiem.

– Kiedy zamkniemy pokrywę włazu statku – kontynuował Hoddan, – o, tak jak teraz… – Zamykany właz szczęknął i przez pół sekundy brzęczał, kiedy rygle blokujące wsuwały się na swoje miejsca. – Mamy już wszystko przygotowane do startu. Muszę tylko usiąść w fotelu pilota… – zrobił dokładnie to co powiedział, – oraz włączyć pompę paliwa… – Dało się słyszeć ciche warczenie. – I ruszamy, kiedy przesunę do przodu tę przepustnicę!

Wcisnął przycisk startu. Rozległ się szarpiący duszę ryk. Spadło na niech potężne przeciążenie. Siedmiu mężczyzn z twierdzy Dona Lorisa zostało wciśniętych w swoje fotele pod przemożnym, nie do odparcia naporem, który uczynił ich absolutnie bezradnymi. Szczęki im opadły,

otwierając usta. Próbowali wydawać z siebie przerażone głosy protestu, ale ciągle wzrastające przeciążenie wciskało im je z powrotem w gardła.

Ekrany, pokazujące obraz z zewnątrz statku, wyświetlały potężne i bezładne kłęby dymu, oparów i pyłu przesuwające się w stronę rufy. Widać było tylko świecące w górze gwiazdy. Robiły się one coraz jaśniejsze i jaśniejsze, a w tym samym czasie ryk rakiet przycichł do poziomu zaledwie ogłuszającego odgłosu. Nagle pojawił się dysk miejscowego słońca, wznoszący się ponad horyzontem od zachodniej strony. Szalupa, oczywiście wyprzedziła je wchodząc na orbitę, prowadzącą ze wschodu na zachód.

Wkrótce Hoddan wyłączył pompę paliwa. Z zamyśleniem skierował wzrok na siedmiu ludzi. Byli zupełnie bladzi. Siedzieli spokojnie jak trusie, w kompletnym bezruchu, ponieważ widzieli na ekranach wizyjnych, jak dziwna, pocętkowana powierzchnia ponownego zachodu słońca, płynęła za nimi z przerażającą szybkością. Domyślali się co to jest, więc sparaliżował ich strach. Dosłownie. Była to bowiem powierzchnia planety Darth, widoczna w dole, daleko pod nimi.

– Cieszę się chłopcy, że zabraliście się ze mną – zachęcająco zawołał Hoddan. – Za moment lub dwa spotkamy się z flotą. Flotą piracką! Jestem z was bardzo dumny. Niewielu szczurów lądowych, chciałoby z własnej woli zostać kosmicznym piratem, nawet jeśli są z tego niezłe łupy!

Thal zaczął się trochę dławić, ale żaden z pozostałych nie wydał z siebie nawet najcichszego dźwięku. Nikt też nie protestował. Protesty po prostu nie miały sensu. Pojawiło się kilka cierpiętniczych spojrzeń, ale to wszystko, jako że Hoddan był jedynym na pokładzie, który miał jakiekolwiek pojęcie o tym, jak z powrotem wylądować. Jego pasażerowie mogli tylko kontynuować podróż, w którą ich zabrał, niezależnie dokąd ona prowadziła.

Z odrętwieniem czekali na to, co jeszcze mogło się wydarzyć.



VIII

Hoddan nie martwił się o swoich towarzyszy – jeńców – obserwujących fatalny stan statków floty kosmicznej, ku której właśnie zmierzali. Antyczne krypy i niepraktyczne dziwadła, im wcale nie wydawały ani wiekowe, ani cudaczne. Nie znali przecież żadnych standardów dotyczących tych spraw. Dodatkowe zamieszanie w ich głowach czyniły zmieniające się punkty odniesienia. Darth chwilami zdawała się odpływać na bok, w kosmos, chwilami natomiast znajdowała się dokładnie pod nogami, podczas gdy wszystko inne na co patrzyli było prosto w górze. Planeta przez cały czas w widoczny sposób się poruszała, podczas gdy szalupa i statki na orbicie zdawały się spoczywać w niemal stałej pozycji. Gdy pojawiła się zaciemniona strona Darth, i ponownie zaczęła płynąć w kierunku szalupy, wszystkie jasne plamki statków wokół nich znikły im z oczu, i z tej strony widzieli tylko odległe gwiazdy oraz ogromną ciemność, tak jakby resztę pożarła jakaś wszechogarniająca nicość.

Włócznicy wpadli w euforię, kiedy ponownie pojawiło się światło i razem z nim otaczające ich ekscentryczne jednostki. W pobliżu mogli podziwiać statek w kształcie pierścienia – miał kadłub podobny do metalowego koła z olbrzymią oponą, z rurowatymi przejściami prowadzącymi od opony do osi, w której zlokalizowane były pomieszczenia sterowania. Wydawało się wręcz nie do uwierzenia, że taki antyk może jeszcze istnieć, biorąc pod uwagę, że to coś musiało pochodzić jeszcze sprzed czasów wprowadzenia na statkach kosmicznych pól grawitacyjnych. Podczas w lotu przestrzeni kosmicznej, musiał on dostarczać jakiegoś szalonego typu sztucznej grawitacji, wykorzystującej ruch obrotowy koła. Ktokolwiek zebrał tę flotę dla emigrantów z Colina, musiał od statków wymagać jednej rzeczy – żeby w ogóle miały jakikolwiek kadłub. Mając coś, co było w stanie utrzymać w środku powietrze, zamontowanie w tym napędu Lawlora, jednostki grawitacyjnej i aparatury podtrzymywania życia, pozwalało przekształcić to w statek, który mógł wchodzić w hipernapęd i dalej w razie potrzeby przemierzać galaktykę. Ci, którzy zawarli interes z emigrantami, musieli być bardzo szczęśliwi, nie musząc dostarczyć niczego więcej.

Przymusowa załoga Hoddana nie mogła jednak zdawać sobie z tego sprawy. Szalupa zmierzała w kierunku gigantycznej krypy należącej do przywódców. Siedmiu Darthian było ciągle oszołomionych faktem swojego porwania i sytuacją, w jakiej się znaleźli. Patrzyli ponurym wzrokiem na monstrualny obiekt do którego się zbliżali. Widać było, że został on zaprojektowany jako nosiciel myśliwców kosmicznych, przeznaczony do transportu mniejszych jednostek do walki z nieistniejącymi już obecnie

okrętami, w warunkach, które nigdy nie miały miejsca. Musiał zostać sprzedany na złom już parę setek lat temu, i połatany na potrzeby tej fali emigrantów.

Hoddan czekał, aż otworzą się potężne wrota. W końcu się doczekał. Skierował się do wlotu. Robiąc to zauważył, że w środku był już jakiś obiekt o rozmiarach dwa lub trzy razy większych od szalupy. Ograniczał on poważnie wolną przestrzeń do manewrowania, ale rzeczy które raz się już zrobiło, następnym razem idą łatwiej. Hoddan wprowadził szalupę do środka, łapiąc tylko malutkie zadrapanie, a wielkie wrota zamknęły się zanim jego stateczek mógł z powrotem wylecieć.

Kiedy szalupa spoczęła już nieruchomo, Hoddan zwrócił się do swoich towarzyszy – podwładnych – ofiar:

– Jesteśmy – zwrócił się do nich z czymś, co może zostać określone jedynie jako okrutny uśmiech, – na statku pirackim, należącym do floty pirackiej, którą mijaliśmy po drodze. Znajdują się na nim osobnicy tak morderczy, że ich przywódcy nie ośmielają się lądować nigdzie poza ich ojczystym skupiskiem gwiezdnym, w obawie że reszta galaktyki zjednoczy się przeciw nim, aby ich zniszczyć lub samemu zostać zniszczonym. Właśnie przyłączyliście się do tej floty. Wyjdziecie z tej szalupy i przemaszerujecie do tego statku, stojącego koło niej. Tam zostaniecie piratami kosmicznymi pod moim dowództwem.

Zadrżeli lekko, ale nie protestowali.

– Wypróbuję was podczas najbliższej podróży – prawił im dalej. – Będzie mnóstwo grabieży. Będą pirackie uczty. Jeśli będziecie wiernie służyć i dobrze walczyć, po tej jednej, jedynej podróży, odwiozę was do twierdzy Dona Lorisa z mnóstwem zdobyczy. Ale jeśli ktoś mnie zawiedzie… – wykrzywił się w uśmiechu kompletnie pozbawionym wesołości, – wyleci przez śluzę, aby na wieczność dryfować między gwiazdami. Zrozumiano?

To ostatnie było czystym barbarzyństwem. Skulili się ze strachu. Wskaźnik ciśnienia zewnętrznego, podniósł się do wartości normalnej. Hoddan wyłączył ekrany wizyjne, likwidując w ten sposób jakikolwiek podgląd na wnętrze ładowni. Otworzył właz i wyszedł. Siedmiu włóczników z Darth pozostawało nadal złożonych paraliżem w swoich fotelach, wsłuchując się w jego głos, w rozmowie na zewnątrz szalupy. Nie byli w stanie wychwycić samych słów, ale ton konwersacji Hoddana wyglądał na ściśle biznesowy. Wrócił do środka.

– W porządku – krótko ich poinformował. – Thal, przeprowadź ich.

Thal przełknął ślinę. Odpiął pas przy swoim fotelu. Zaciąg całej siódemki do pirackiej floty został przez nich taktycznie uznany, jako fakt dokonany. Byli nieuzbrojeni, poza konwencjonalnymi długimi nożami przy pasach.

– Nprzóóód mrrrsz! – warknął Thal, czując bryłę w gardle. – Dwa, trzy cztery. Razzz, dwa, trzy cztery. Razzz…

Siedmiu ludzi ponuro wymaszerowało z szalupy i ruszyło dalej po podłodze olbrzymiej ładowni. Oczy przed siebie, wypięta pierś, suche gardła – zmierzali do większego, ale ciągle małego statku kosmicznego,

który współdzielił ten przedział ładowni. Wmaszerowali do środka. Thal warknął:

– Staaaać! – i zatrzymali się. Czekali na Hoddana.

Hoddan przyszedł praktycznie kilka chwil po nich. Zamknął właz wejściowy, uszczelniając w ten sposób statek. Skinął głową z aprobatą.

– Możecie teraz się rozejść – powiedział. – Jest tu jedzenie i inne tego typu rzeczy. Statek jest wasz. Tylko nie kręcić mi tu żadnymi pokrętłami, ani nie naciskać przycisków, zanim nie zapytacie mnie wcześniej do czego służą!

Wszedł do sterówki, zamykając za sobą drzwi.

Spojrzał na pulpit sterowniczy, zastanawiając się jak uruchomić statek. Miał jedynie najbardziej podstawowe informacje na temat sposobu jego funkcjonowania. W czasach gdy statek był budowany, wiele pokoleń temu, wyposażony został w oprzyrządowanie sterownicze, które obecnie byłoby zupełnie bezużyteczne. W ramach przystosowań dla uchodźców, zainstalowano na nim współcześnie wykorzystywane przyrządy, ale zostało to zrobione w takim pośpiechu, że nie pochowano nawet kabli, czy wystających spod nich przekaźników. I być może to da mu jakieś wskazówki pozwalające zrozumieć, co do czego służy.

Wrota ładowni ogromnej arki kosmicznej otworzyły się. Hoddan wycofał przez nie statek na zewnątrz. Jego rakiety miały zaskakującą moc. Zauważył, że napęd Lawlora także nie został zaprojektowany dla tego statku. Prawdopodobnie złożono ilościowe zamówienie na tyle to a tyle napędów Lawlora, a potem były one instalowane na wszystkim co potrzebowało nowoczesnego systemu napędowego, czyli praktycznie na wszystkich statkach we flocie. Ale ponieważ była to najmniejsza jednostka, więc przy swojej niewielkiej masie powinna być bardzo szybka.

– Pożyjemy, zobaczymy – powiedział do siebie.

W przestrzeni kosmicznej, naturalnie współdzieląc orbitę ze statkiem z którego właśnie wyleciał, Hoddan wypróbował dokładnie nowy statek. Musiał go dobrze wyczuć. Najpierw postanowił wykonać proste zadanie astrogacyjne, oparte na praktycznych zasadach, polegające na przejściu, przy pomocy zwykłych uderzeń ciągu rakietowego, z niskiej orbity na wysokość pięciu średnic planety, gdzie mógł już podjąć pracę napęd Lawlora. Trzeba było po prostu na rozciągnąć orbitę, i ekstremalnie ją wydłużyć, wychodząc z pozycji, w której, podobnie jak wszystkie pozostałe statki, poruszał się po orbicie kołowej. Po czwartym okrążeniu planety był już w najwyższym punkcie orbity na pełnej wysokości pięciu średnic. Dotknął przycisku napędu Lawlora, i wszyscy na pokładzie doznali tych tak bardzo specyficznych zaburzeń zmysłów, które towarzyszą zawsze przejściu w nadszybkość. Mały pojazd mknął przez pustkę kosmosu z szybkością wielokrotnie przekraczającą prędkość światła.

Wiedza Hoddana na temat lotów w kosmosie miała charakter czysto praktyczny. Przeszedł się po statku. Po obejrzeniu go od zewnątrz, przypuszczał, że kiedyś był to mały jacht towarowy. Kilka chwil wewnątrz jednostki, jednak nieco zweryfikowało tę koncepcję. Na statku były dwie sale do przyjęć. Cała objętość kadłuba przeznaczona została na część mieszkalną oraz na zapasy. Nie było miejsca na ładunek. Skinął głową.

Trąciło to wszystko może już nieco myszką, ale w swoim czasie statek musiał być naprawdę dumą jakiegoś bogacza.

Wrócił do sterowni aby wykonać kilka pomiarów. Z fotela pilota można było zobaczyć jasne plamki bezpośrednio przed dziobem. Nieskończenie małe jasne punkty pojawiały się, szybko stawały się coraz jaśniejsze, a potem uciekały na zewnątrz. Gdy uciekły, znikały, ponieważ ich ruch stawał się zbyt szybki, aby można było go śledzić. Były oczywiście określone metody pomiaru tego zjawiska, tak że zawsze można było otrzymać dokładną prędkość statku poruszającego się w nadszybkości. Hoddan nie miał jednak odpowiednich instrumentów. Ale za to, miał dobre wyczucie takich rzeczy. Na pełnej mocy napędu Lawlora, to był rzeczywiście bardzo szybki statek.

Niebawem wrócił z powrotem do kabiny centralnej, w której siedzieli Darthianie. Jego podwładni znaleźli zaopatrzenie. Przede wszystkim były to różnego rodzaju nowalijki, takie jak hydroponiczne owoce. Teraz siedzieli i w ponurym nastroju napychali się nimi. Byli już niemal pogodzeni ze swoją sytuacją. Pamięć o zdobyczy przywiezionej wtedy gdy poprowadził ludzi do zamku Gheka, skłaniała ich do bardziej optymistycznego spojrzenia na sprawę. Ale kiedy podszedł do miejsca, w którym się zebrali, patrzyli na niego z wyraźnym niepokojem.

– No i? – rzucił ostro.

Thal przełknął kęs, który miał w ustach.

– Byliśmy towarzyszami, Hoddan – oświadczył nieszczęśliwym tonem. – Walczyliśmy razem w wielkich bitwach, we dwu przeciwko pięćdziesięciu, i grabiliśmy zabitych.

– Mniej więcej się zgadza – potwierdził Hoddan. Jeśli Thal miał zamiar teraz wygłosić swoje wspomnienia z walki w porcie kosmicznym, to z nim wszystko było chyba w porządku. – Teraz udajemy się po znacznie lepszą zdobycz.

– Ale po co? – zapytał nieszczęśliwie Thal. – W tym miejscu, jesteśmy wysoko ponad naszym rodzinnym światem…

– O, nie! – powiedział Hoddan. – Z miejsca, w którym jesteśmy teraz, nie byłbyś w stanie nawet wskazać swojego słońca.

Thal przełknął ślinę.

– Nie… nie rozumiem, czego od nas chcesz – zaprotestował. – Nie mamy żadnego doświadczenia w kosmosie! Jesteśmy prostymi ludźmi…

– Teraz, jesteście piratami – Hoddan odpowiedział mu z czymś w rodzaju dobrotliwej krwiożerczości. – Będziecie robić, to co wam powiem, dopóki nie zaczniemy walki. Wtedy, będziecie walczyć dobrze, albo zginiecie. To wszystko, co musicie wiedzieć!

Zostawił ich samych. Kiedy prowadzi się ludzi, rzadko kiedy mądrą rzeczą jest dyskutowanie z nimi strategii lub taktyki. Większość ludzi działa najlepiej, jeśli wiedzą tylko to, czego się od nich oczekuje. Wtedy nie mogą wpaść w konfuzję, i nie próbują wykombinować, jak zrobić wszystko lepiej.

****

Hoddan sprawdził dokładniej jacht. Na ścianach ciągle widać było resztki rozmaitych elementów ozdobnych, które nie miały nic wspólnego z przydatnością w kosmosie. Statek był bardzo stary, i to spowodowało, że inspekcja Hoddana musiała być bardziej staranna. Znalazł mały przedział, solidnie wypakowany zapasami. Zawartość szaf magazynowych wyglądała nieco dziwnie. Przyjrzał się bliżej jej zawartości, aby się upewnić. To był… to kiedyś był… warsztat maszynowy w miniaturze. Za dawnych lat, zanim komunikatory kosmiczne stały się urządzeniami naprawdę dalekiego zasięgu, jacht lub statek wychodzący poza odległości orbitalne, zdany był tylko na siebie. Jeśli przytrafiła mu się jakaś awaria, trzeba było rozwiązać to we własnym zakresie. Musiał zostać zreperowany przez własną załogę, lub w jakiś inny sposób. Tak więc te wczesne pojazdy kosmiczne, przewoziły zadziwiająco kompletne wyposażenie do dokonywania większości napraw. W ostatnich pokoleniach, w ten sposób wyposażano tylko wielkie liniowce, a i to niemal się nie słyszało aby ich warsztaty narzędziowe musiały kiedykolwiek zostać wykorzystane.

Jacht, który przekazano w ręce Hoddana dla załatwienia spraw na Waldenie, przewoził właśnie resztki takiego warsztatu. Przywódcom emigrantów powiedział, że leci prosić o miłosierdzie. Swoich podwładnych zapewnił, że celem ich podróży było piractwo. Teraz jednak…

Zaczął opróżniać szafkę ze wszystkich rzeczy, które w niej przechowywano. Ten miniaturowy warsztat naprawczy zorganizowany został naprawdę w bardzo pomysłowy sposób. Tokarka wbudowana była w elementy wzmocnień ścian i stanowiła część ich konstrukcji. Prasa, i jednocześnie wiertarka, wykorzystywała wnękę. Cewki i kondensatory urządzeń spawalniczych, umieszczone zostały pod podłogą. Szybkie sprawdzenie pokazało jednak, że kondensatory urządzeń są w kiepskim stanie, a uzwojenia mogą być nawet w beznadziejnym. Ale w starych dobrych czasach, używano naprawdę niezłych materiałów, tak więc… Hoddan zaczynał mieć całkiem niedorzeczne nadzieje.

Wrócił do sterowni, aby wszystko sobie dobrze przemyśleć.

Przygotował już wcześniej plan działania, polegający na pirackim zagarnięciu liniowca kosmicznego. Wyglądał on całkiem rozsądnie nawet pomimo tego, że jego jacht nie miał żadnego uzbrojenia, a załoga nie dość że była niechętna, to jeszcze nie będzie miała w rękach niczego bardziej zabójczego niż paralizatory. Plan ten opierał się na założeniu, że będzie w stanie swoim jachtem wylądować w podobny sposób, jak to już wcześniej robił szalupą. To powinno zupełnie wystarczyć.

Gdyby udało mu się przyczaić w pobliżu Waldena tak by nikt go nie zauważył, aż do chwili gdy liniowiec przyleci do wielkiego portu kosmicznego planety, to będzie mógł podjąć próbę realizacji swojego planu. W jakąś godzinę po jego wylądowaniu, wszedłby na bliską orbitę wokół Waldena, która sprowadziłaby go bardzo nisko, nad sieć lądowniczą. Wtedy dając pełny ciąg hamujący, zanurkowałby jachtem jak kamień, w kierunku sieci lądowniczej. Wszystko to stałoby się na tyle szybko, aby załoga sieci nie wpadła na pomysł, żeby odepchnąć go polem siłowym.

Gdyby nawet podjęli taką próbę, to nie mieli żadnych szans na to aby zdążyć. Zanim na dobre zdaliby sobie sprawę z jego manewru, byłby już na ziemi.

Dalej, to już prosta, szybka akcja. Hoddan i siedmiu Darthian, strzelając z paralizatorów, wyskoczyliby z jachtu i wpadli do pomieszczeń sterujących siecią. Hoddan rozwaliłby w nich przyrządy. Potem pobiegliby do stojącego liniowca, opanowali go strzelając do wszystkich próbujących się im przeciwstawić, a następnie zamknęli się w statku.

Oczywiście potem by nim wystartowali. Musieliby wykorzystać rakiety liniowca, które generalnie przeznaczone były do wykonywania awaryjnych lądowań, ale w razie potrzeby dało się na nich również wystartować. Nawet po tym jednym użyciu, będą nadawać się już tylko na złom, ale… A przy zniszczonych przyrządach sterujących sieci lądowniczej, nikt nie byłby w stanie nawet próbować ich zatrzymać.

To nie był taki zły pomysł. Naprawdę były spore szanse jego realizacji. Do tego właśnie, potrzebni mu byli Darthianie. Nikt się nie spodziewał, że ktoś może podjąć taką próbę, a więc niemal na pewno powinno się udać. Wadą planu było to, że po przechwyceniu liniowca, będzie musiał pozostawić jacht.

Hoddan na trzeźwo przemyślał całą sprawę. Oczywiście, zanim dolecą na Waldena, będzie musiał na tyle przerazić swoją załogę, aby walczyli jak szaleni, ze strachu przed tym co w przeciwnym przypadku mógłby z nimi zrobić. Ale gdyby tylko dało się jakoś zatrzymać również jacht kosmiczny…

Skinął głową z zastanowieniem. Zaczął dostrzegać nowe możliwości. Gdyby te nie wypaliły, zawsze pozostaje w odwodzie pierwotny plan. W każdym razie, musi zdobyć nowoczesny liniowiec kosmiczny z odpowiednim ładunkiem, który przekaże emigrantom z Colina. A potem…

Czasami różne urządzenia elektroniczne działały na podobnej zasadzie. Na przykład, jednostka napędu Lawlora, formowała pole siłowe uginające przestrzeń i tworzące w niej coś w rodzaju leju, w który wpadał znajdujący się w pobliżu statek. Efekt lotu szybszego-niż-światło uzyskiwany był na zasadzie zbliżonej trochę do biegu osła podążającego za marchewką, uwiązaną przed nim na kiju. Statek wpadając w ugięcie przestrzeni przesuwał się, jednocześnie przesuwając samo ugięcie. Pola siłowe sieci lądowniczej miały zbliżony charakter. Oczywiście były one inaczej skonfigurowane, ale generalnie sieć lądownicza tworzyła wokół statku kosmicznego klamrę ugiętej przestrzeni, tak by statek nie mógł się z niej wydostać. Kiedy sieć przesuwała ugięty obszar do góry lub w dół, statek poruszał się razem z nim.

O tym wszystkim wiedziały nawet dzieci. Ale na Zan wyewoluowała jeszcze inna sztuczka. Opierała się ona na tym, że urządzenie oparte na dwóch poprzednich rozwiązaniach, mogło generować również pioruny kuliste. Piorun kulisty był obszarem przestrzeni tak bardzo ściśniętym, że zawarta w nim energia mogła z niego wyciekać tylko w bardzo powolnym tempie. Chyba, że zetknął się on z przewodnikiem. Wtedy eksplodował. Dzięki tej właściwości, piraci z Zan mogli wykorzystywać pioruny kuliste do wymuszenia kapitulacji swoich ofiar.

Hoddan zaczął wyciągać schematy. Jednostka napędu Lawlora została zainstalowana długo po tym jak zbudowano ten jacht. Powinna być nowoczesna, bez żadnych wątpliwości. Wyłączając ten czy tamten z jej elektronicznych komponentów, a jeszcze inne włączając, mogłaby stać się całkiem praktycznym generatorem piorunów kulistych, zdolnym w razie potrzeby do miotania solidnymi wyładowaniami. Była to powszechna praktyka na Zan. Dziadek Hoddana używał tej broni przez całe lata. Miała ona tę przewagę, że mogła być używana w obszarze pola grawitacyjnego, w przeciwieństwie do napędu Lawlora. Jej kolejna zaleta polegała na tym, że komercyjne pojazdy kosmiczne nie mogły korzystać z takiego gadżetu w celach obronnych, gdyż firmy ubezpieczeniowe nie pozwalały na grzebanie w instalacjach napędu Lawlora.

****

Hoddan przygotował do pracy pozostałości warsztatu narzędziowego na antycznym jachcie oraz wybrane ze starożytnego szmelcu cewki i kondensatory. Powoli zaczęło go to wciągać. Niemal zapomniał, że był kapitanem starego gruchota, który powinien znaleźć się na złomowisku, na długo przed jego urodzeniem.

Stopniowo jednak zaczął odczuwać coraz mocniejszy głód i uświadomił sobie, że nikt nie przyniósł mu jedzenia. Ruszył z oburzeniem do centralnego salonu jachtu, i stwierdził że jego siedmiu członków załogi potężnie chrapie, rozwaliwszy się gdzie popadło.

Obudził ich z wielkim wrzaskiem. Zagonił ich z furią do pracy nad gospodarstwem domowym – włączając przygotowywanie posiłków – które mogło być traktowane lekko w zamku feudalnym, gdzie silne wiatry z zewnątrz wywiewały smród, i podsuszały cuchnące rzeczy, ale na statku kosmicznym musiało być rygorystycznie pilnowane.

Wrócił do pracy. Nagle przerwał i przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a następnie odłożył na moment swoją aktualną pracę, aby wyciągnąć schematy. Zaczął je przeglądać z dużym zainteresowaniem. Potem wrócił do swej pracy nad adaptacją napędu Lawlora do tworzenia piorunów kulistych.

Cewki można było poprzewijać. Pewien procent starych kondensatorów trzymał ładunek. Zredukował natężenie prądu w jednostce napędowej wiertarko-prasy do minimalnego, i po tym zabiegu posłużyła mu ona jako urządzenie dla tłoczenia małych części. Zbudował elementy lampy próżniowej, jaką normalnie można było znaleźć jedynie w sterowni sieci lądowniczej. Zainstalował cały układ lampy na podstawce dużego szklanego słoja. Wziął następnie ten słój do śluzy wejściowej statku, usunął z niej całe powietrze, aby uzyskać próżnię i zalutował w środku elementy tej niezwykłej lampy. Przyniósł ją z powrotem i wyszedł z nadszybkości na czas podłączenia całej nowej instalacji do obwodu napędu, razem ze wszystkimi wyłącznikami i przełącznikami, służącymi do sterowania nią z pulpitu przyrządów statku.

Kiedy skończył, przyjrzał się gwiazdom. Układ najbliższych słońc był mu całkowicie obcy. Ale obszar Worka Węgla stanowił znacznik przestrzenny wykorzystywany przez połowę tego sektora galaktyki. Jako druga podstawa namiaru mogło posłużyć skupienie gwiazd Wewnętrznego Pogranicza. A pewna wapienna chmura, ze znajdującym się za nią skupieniem gwiezdnym, pozwalała równie dobrze zlokalizować położenie statku, jak drogowskaz na autostradzie.

Skorygował kurs jachtu i wszedł z powrotem w nadszybkość. Dwa dni później wyszedł z niej i znów przebadał kosmos. Ponownie wszedł w nadszybkość, i znowu wyszedł, wykonując kolejny skok w podróży z szybkością nadświetlną – i znajdował się już w systemie słonecznym, którego ozdobą i dumą była planeta Walden.

Skorzystał z teleskopu, kontemplując widok Waldena na ekranie urządzenia. Jacht kosmiczny sprawnie zmierzał w kierunku planety. Jego siedmiu darthiańskich członków załogi, świadomych zbliżającej się akcji, z żałosnymi minami ostrzyło swoje dwustopowe noże. Nie wiedzieli co innego mogliby zrobić, ale byli dalecy od szczęścia.

W końcu ich depresja udzieliła się również Hoddanowi. Takie ponure przewidywania przed emocjonującymi i nerwowymi wydarzeniami są jedynie dowodem na to, że człowiek nie jest głupi. Dziadek Hoddana znany był ze stwierdzenia, że kiedy człowiek wyobraża sobie wszelkiego rodzaju kłopoty, ryzykowne momenty i katastrofy będące przed nim, to zwykle ma rację. Hoddan podzielał ten punkt widzenia. Ale nie było już możliwości wycofania się.

Kiedy jacht mknął dalej, starannie przyjrzał się powierzchni Waldena. Znalazł ocean wynurzający się ze strefy porannego mroku. Zgodnie z mapami, stolica i port kosmiczny powinny leżeć na zachodnim brzegu tego oceanu. Po odczekaniu odpowiedniego i bardzo długiego odcinka czasu, w okolicy krawędzi tarczy planety pojawiło się miejsce gdzie położona była stolica.

Z odległości niemal stu tysięcy mil, Hoddan podkręcił powiększenie do jego górnej granicy i ponownie popatrzył. Teraz Walden nie mieścił się już w polu widzenia teleskopu. W związku z tym na raz mógł przeglądać tylko niewielką część powierzchni planety. Musiał więc nieco poszukać, zanim ponownie odnalazł jej stolicę. Tym razem widać było już wszystko bardzo wyraźnie. Mógł rozróżnić poskręcane linie autostrad i dróg, oraz prostokątną siatkę ulic miasta. Poszczególne budynki, ciągle jednak były niewidoczne. Ale udało mu się dojrzeć port kosmiczny i cień sieci lądowniczej, a w samym jej środku znajdowało się coś srebrzystego, co rzucało swój własny cień. Wynoszony w kosmos statek kosmiczny. Liniowiec.

Rozległo się pukanie do drzwi sterowni. Thal.

– Czy coś się stało? – zapytał niespokojnie Darthianin.

– Właśnie zobaczyłem statek, który zdobędziemy – oznajmił Hoddan.

Thal wyglądał na nieszczęśliwego. Wycofał się. Hoddan wykreślił maksymalnie okrężny kurs, jaki musi wziąć, aby w końcu jacht spotkał się z liniowcem i obydwa statki leciały w tym samym kierunku i z tą samą szybkością, tak by możliwe było jego zdobycie.

Skierował jacht na wymaganą trajektorię. Dał pełną moc Aktualnie kierował się tak jakby dalej od swoich przewidywanych ofiar. Mały jacht leciał do przodu. Zdawało się, że nie się nie dzieje. Czas mijał. Hoddan nie miał nic do roboty, poza zamartwianiem się. A więc – martwił się.

Thal ponownie zapukał do drzwi.

– Czy zbliża się czas wyruszenia do walki? – zapytał ponuro.

– Jeszcze nie – powiedział Hoddan. – W tej chwili oddalamy się od naszych ofiar.

****

Minęło kolejne pół godziny. Kurs został zmieniony. Jacht znalazł się gdzieś z tyłu, za Waldenem. Pomiędzy nim, a planowaną zdobyczą leżała cała planeta. Mały statek ponownie zmienił nieco kurs. Powinien przejść na tyle blisko, aby musnąć górne warstwy atmosfery Waldena. Hoddan znów nie miał nic do roboty, poza chorobliwym zadręczaniem się ponurymi myślami. Nadal więc się zadręczał.

Napęd Lawlora zaczął siadać w coraz silniejszym polu grawitacyjnym Waldena, więc go wyłączył. Siedział ponuro w sterowni, od czasu do czasu tylko spoglądając na kurczącą się przestrzeń między nim, a pędzącą w jego stronę plamistą powierzchnią pobliskiej planety. Jej przyciąganie coraz bardziej wykrzywiało trajektorię lotu jachtu. Teraz leciał już po krzywej parabolicznej.

Wkrótce powierzchnia dla odmiany zaczęła maleć. Jacht zwiększał teraz odległość od planety. Hoddan spojrzał przez teleskop. Przeszukiwał przestrzeń przed sobą na pełnym zakresie szerokości pola widzenia. Wkrótce dostrzegł lecący liniowiec. Wznosił się płynnym ruchem. Sieć ciągle wypychała go w górę, z równym, stałym przyśpieszeniem. Musiał zostać wyniesiony na odległość nie mniej niż czterdziestu tysięcy mil, zanim będzie mógł wejść w nadszybkość. Na swojej obecnej wysokości miał już jednak z pewnością taki wektor prędkości zewnętrznej, który był w stanie wynieść go dowolnie daleko w kosmos. Na dziesięciu tysiącach mil, sieć lądownicza powinna go wypuścić.

Tak właśnie się stało. Hoddan był w stanie to stwierdzić, ponieważ podczas wynoszenia przez pola siłowe liniowiec skierowany był równo rufą w kierunku planety. Teraz nieco się kołysał. Był już wolny. Nie miał solidnego uchwytu. Od tej chwili leciał w górę jedynie siłą bezwładności.

Hoddan zaczął obgryzać paznokcie. Znów nie miał nic do roboty przez kolejne czterdzieści minut. Wkrótce na nicnierobienie pozostało tylko trzydzieści minut. Jeszcze dwadzieścia. Dziesięć, Pięć, Dwie…

Liniowiec znajdował się zaledwie dwadzieścia mil od niego, gdy Hoddan odpalił rakiety swojego statku. Pozostawiły w przestrzeni kolosalną chmurę oparów. Jacht delikatnie się poruszył, zgrabnie się przesunął, wytracając dokładnie tyle szybkości ile było to potrzebne – był teraz niemal dokładnie w górze, nad równikiem planety – i precyzyjnie zmierzając w kierunku liniowca. Hoddan poruszył przyrządami

sterowniczymi, obracając mały statek dookoła. Oczywiście, tak blisko planety nie mógł użyć napędu kosmicznego do jego właściwych celów. Ale przełączył pewne elementy jednostki Lawlora, i podłączył inne, zamieniając zmodyfikowany napęd w miotacz piorunów kulistych.

Od strony jachtu pomknęła przez przestrzeń płonąca plama czystego żaru. Wydawało się, że nie trafi… Nie. Hoddan zdążył ją odchylić. Uderzyła w kadłub liniowca. Sparaliżowała na chwilę wszystkie elementy wyposażenia elektrycznego statku. Z całą pewnością nie mogła pozostać nie zauważona.

– Wzywam liniowiec – Hoddan wygłosił te słowa do mikrofonu z prawdziwą przykrością. – Wzywam liniowiec! Jesteśmy piratami, atakującymi wasz statek. Dajemy wam dziesięć sekund na to, aby przejść do szalup ratunkowych, albo was zniszczymy.

Odłożył mikrofon, znów obgryzając paznokcie u rąk. Denerwował się niemal do bólu. Po dziesięciu sekundach odległość między oboma statkami zmniejszyła się w dostrzegalny sposób.

Drugi piorun kulisty wystrzelił więc z mniejszej odległości. Posłał go w taki sposób aby oblatywał liniowiec dookoła, po coraz węższej spirali. Detonował trafiając w dziób liniowca. Płynne światło przeleciało przez cały jego kadłub.

– Wasze dziesięć sekund minęło! – oznajmił zmartwionym tonem. – Jeśli się nie ewakuujecie…

W tej samej chwili, jednak, momentalnie się odprężył. Pęcherz skrywający jedną z lodzi ratunkowych liniowca otworzył się szeroko. Sama łódź jednak nie odbiła. W tak krótkim czasie niemożliwe było, aby zdołała się wypełnić pasażerami i członkami załogi. Otwierający się pęcherz był jedynie sygnałem poddania.

Pierwsze dwa pioruny kuliste były tylko miniaturami na pokaz. Hoddan dopiero teraz wystrzelił kulę energii o pełnych rozmiarach. Błysnęła złośliwie mknąc przez próżnię, warunkująca jej istnienie plazma gazowa była środkiem emisji promieniowania. Pomknęła w kierunku liniowca i ostrzegawczo zawadziła lekko jego burtę. Jacht z Darth przysuwał się coraz bliżej. Pięć mil. Dwie.

– Wszyscy na zewnątrz – powiedział z żalem w głosie Hoddan. – Nie możemy czekać ani chwili dłużej!

Spod kadłuba liniowca wystrzeliła łódź ratunkowa. Chwilę później druga. Trzecia, czwarta i piąta. Ostatnia łódź desperacko się ociągała. Jacht był już niecałą milę od statku, gdy zwolniła zaczepy i szaleńczo zanurkowała w stronę planety, którą opuściła kilka chwil wcześniej. Pozostałe łodzie były już tylko prowadzącymi w dół smugami spalin rakietowych, powoli rozpraszających się od tyłu. Obsługa sieci lądowniczej powinna ich przechwycić i zapewnić miękkie i bezpieczne lądowanie.

Hoddan odetchnął z ulgą. Delikatnie poruszył przyrządami sterującymi jachtu. Ostrożnie manewrował najnowszymi usprawnieniami, które wbudował w oryginalną prostą jednostkę napędu Lawlora. Oba statki zetknęły się z wyraźnym szczęknięciem. Wydawało się straszliwie głośne.

Thal otworzył drzwi. Był trupioblady.

– U-uderzyliśmy w c-coś! K-kiedy zacznie się walka?

Hoddan odpowiedział mu z żalem.

– Zapomniałem o was. Walka się skończyła. Jednak przynieście swoje paralizatory. Niech nikt nie zostaje z tyłu, ale paru z was może zostać na jachcie.

Wstał, żeby przejąć zdobyty statek.

IX

Normalnie podróż z Waldena na planetę Krym zajmowała, z prędkością marszową w nadszybkości, około tygodnia. Hoddanowi zajęła pięć dni. Miał po temu dobre powody. Chciał wyprzedzić na Krymie wieści o swoim pirackim wyczynie. Mógł znieść podejrzenia i nie mógł rozproszyć wątpliwości, ale nie chciał by pewne wiadomości na temat jego postępku, przeszkadzały w realizacji celu odwiedzin.

Szczelnie zamknięty jacht kosmiczny krążył na orbicie, daleko w przestrzeni. Wielki statek wylądował na dole samotnie, przy użyciu sieci lądowniczej. Podczas opuszczania był jasno oświetlony. Po dotknięciu stałego gruntu i wyłączeniu pól sieci, wyglądał bardzo nowocześnie, niewinnie i ściśle biznesowo. Faktycznie dla Hoddana zdobycie akurat tego konkretnego liniowca było pewnym łutem szczęścia. Nie był to jeden z gigantycznych transportowców latających między skupiskami gwiezdnymi, które wykonują rejsy o długości tysięcy lat świetlnych, zatrzymując się jedynie na najważniejszych planetach. Był to statek o średnich rozmiarach o ładowności pięciu tysięcy ton, zbudowany do obsługi tras w regionie Mgławicy Końskiej Głowy. Był nowiutki, i kiedy wtrącił się Hoddan, leciał właśnie ze stoczni do właścicieli. Oczywiście, pomimo tego, w swojej dziewiczej podróży, przewoził również cargo.

Hoddan zwięźle opowiedział się kontroli sieci lądowniczej.

– Nie, nie ma mnie w grafiku – wyjaśniał. – Nowy statek. Złapałem nieregularną wycieczkę czarterową na Waldenie i muszę pozbyć się przewożonego ładunku. Jaka jest możliwość przesunięcia mnie do obszaru oczekiwania, tak bym mógł porozmawiać z jakimiś brokerami?

Ponownie pojawiły się pola siłowe i liniowiec bardzo delikatnie został przesunięty na wolne miejsce po boku centralnej przestrzeni sieci lądowniczej. Tam nie będzie przeszkadzał innym.

Hoddan uważnie ubrał się w odzież znalezioną w kabinie kapitana liniowca. Zauważył, że Thal z rozgoryczonym wyrazem twarzy, ma na sobie fartuch. Kiedy Hoddan przed nim stanął, odłożył trzymanego w ręku mopa.

– Schodzę na brzeg – zwięźle powiedział Hoddan. – Kiedy wrócę, bądźcie gotowi.

– Gotowi do czego? – gorzko skarżył się Thal. – Banda kur domowych! Muszę sprzątać mopem! I to ja, darthiański kawaler! Myślałem, że będę piratem! I co robię? Szoruję podłogi! Zmywam farbę! Cechuję pakunki w ładowniach! Zamalowuję stare nazwy i na ich miejsce wypisuję nowe! Ja, darthiański kawaler!

– Nie – powiedział Hoddan. – Nie kawaler. Pirat. Jeśli nie będę wracał, a ty i inni nie będziecie pracować nad statkiem, wkrótce policja z Krymu

zacznie dopytywać się dlaczego. Uważnie sprawdzą moje podrobione papiery, i wszyscy zawiśniemy za piractwo. A więc macie nikogo nie wpuszczać. Z nikim też nie rozmawiajcie. Jeśli to zrobicie… pfft!

Przeciągnął palcami przez gardło, pokiwał głową i radośnie pogwizdując wyszedł przez właz awaryjny dla załogi, umieszczony pod kadłubem statku. Przemaszerował przez lądowisko i opuścił je pomiędzy dwoma gigantycznymi stalowymi łukami sieci. Wynajął pojazd naziemny.

– Dokąd – zapytał kierowca.

– Hmmm… - powiedział Hoddan. – Jest taka firma prawnicza… Zapomniałem jej nazwy…

– Są ich miliony – powiedział kierowca.

– Ta, jest specjalna – wyjaśnił Hoddan. – Jest tak dystyngowana, że nawet nie chcą z tobą gadać, jeśli nie jesteś prawnukiem klienta. Są też tak strasznie etyczni, że nie chcą się tykać spraw poniżej miliona kredytów. W nazwie firmy mają z dziewiętnaście nazwisk i …

– O! – stwierdził kierowca. – To musi być… Cholera! Ja też nie mogę spamiętać ich nazwy. Ale zawiozę tam pana.

Wyjechali z portu na drogę, włączając się do ruchu. Hoddan odprężył się trochę. Potem jednak znowu się skoncentrował. Nie był w mieście, odkąd nie zatrzymał się na krótko tutaj, po drodze na Darth. Ruch uliczny był straszny. I on, Hoddan – który był w ogniu szeregu zażartych bitew na Darth, a całkiem niedawno zdobył statek w kosmosie – czuł coraz większą obawę, gdy samochód którym jechał, śmigał między tabunami trąbiących, poruszających się w szalonym tempie, wyjących pojazdów. Kiedy w końcu się zatrzymali, poczuł wyraźną ulgę.

– To tam, wewnątrz – powiedział kierowca. – Znajdzie pan ich nazwę na tablicy informacyjnej.

Hoddan zapłacił i wszedł do gigantycznego budynku. Popatrzył na tablicę informacyjną, po czym wzruszył ramionami. Podszedł do znajdującej się u dołu schodów portierni. Wyjaśnił, że szuka firmy prawniczej, której nazwy nie ma w wykazie na tablicy informacyjnej. Byli niesamowicie tradycyjni i mieli reputację najwyższą z możliwych. Nie szukali klientów…

– Czterdzieści dwa i czterdzieści trzy – odparł portier marszcząc groźnie brwi. – Przypuszczalnie nie powinienem tego panu podawać, ale… piętra czterdzieste drugie i trzecie.

****

Hoddan wszedł. Nikt go tam nie znał. Recepcjonista spoglądał na niego z zaskakującą awersją.

– Ja w sprawie piractwa kosmicznego – oświadczył uprzejmie Hoddan. – Proszę z którymś z pracowników firmy.

Dziesięć minut później siedział wygodnie w najwygodniejszym z wygodnych krzeseł. Siwowłosy człowiek o nieskończenie wielkiej godności, szacowności i powadze powiedział do niego:

– Słucham pana?

– Jestem – skromnie wyjaśnił Hoddan, – piratem. Mam w porcie kosmicznym statek z bardzo przekonywującymi papierami, ładunek rigeliańskich futer, biżuterii z planet Cetis, i raczej dużą ilość ładunku melacyntu. Chciałbym pozbyć się cargo i zainwestować znaczącą część przychodu w bezpieczne akcje na Krymie.

Prawnik spojrzał groźnie. Wyglądał na lekko zaszokowanego. Potem ostrożnie oznajmił:

– Wygłosił pan dwa oświadczenia. Jedno, że jest pan piratem. Samo w sobie biorąc, nie jest to moja sprawa. Drugim, jest pańskie życzenie, że chce pan sprzedać pewien ładunek i zainwestować w odpowiedni interes na Krymie. Zakładam, że między tymi dwoma spostrzeżeniami, nie ma żadnego związku.

Przerwał na chwilę. Hoddan nic nie powiedział. Prawnik kontynuował z godnością:

– Oczywiście, nie jesteśmy firmą brokerską. Jednak, możemy pana reprezentować w kontaktach z miejscowymi brokerami. I oczywiście możemy panu doradzać…

– Chciałbym także kupić – dodał Hoddan – pełny ładunek statku, maszyn rolniczych, mikrofilm biblioteki technicznej, narzędzi do maszyn, taśmy wizyjne z instrukcjami technicznymi i bibliotekę takich taśm, generatory, i takie rzeczy.

– Hmmm… - odparł prawnik. – Wyślę jednego z naszych urzędników, aby przyjrzał się pańskiemu ładunkowi, tak byśmy mogli rozmawiać już konkretnie z brokerami. Powie mu pan w szczegółach, co chce pan kupić.

Hoddan wstał.

– Zabiorę go od razu na statek.

Był mile zaskoczony, jak gładko przebiegły wszystkie sprawy. Zabrał na statek młodego urzędnika. Pokazał mu, spreparowane przez siebie, dokumenty statku. Zaprowadził go do ładowni z cargo. Przedyskutował pewne szczegóły tego, co chciał kupić.

Po wyjściu urzędnika, znowu przyszedł Thal ze skargą.

– Spójrz tutaj! – gorzko narzekał. – Wyszorowaliśmy ten okręt dokładnie. Calutki, od dziobu po rufę! Nie ma na nim nawet plamki, ani odcisku palca. A ciągle jeszcze mamy szorować! Zdobyliśmy ten statek! Czy to jest piracka uczta?

Hoddan odpowiedział:

– Tak się zarabia pieniądze. Niebawem, chłopcy wyślę was na brzeg, z kieszeniami pełnymi forsy.

Przybyli brokerzy, eskortowani przez urzędnika z biura prawniczego. Kłócili się z nim z prawdziwą pasją. Ale powaga firmy, którą reprezentował, była olbrzymia. Nie było żadnych podejrzeń – a w każdym razie jawnych podejrzeń – i futra zostały sprzedane. Urzędnik sumiennie poinformował Hoddana, ile zdołał za nie osiągnąć. Wkrótce pojawili się kolejni brokerzy. Sprzedana została biżuteria. Urzędnik z biura prawniczego naszkicował pośpiesznie wyliczenia i podał Hoddanowi zysk netto. Ładunek melacyntu został zakupiony w całości przez grupę

brokerów, żaden z nich nie był w stanie samodzielnie sfinansować operacji.

Hoddan wyciągnął pieniądze i wysłał swoich Darthian na brzeg, dając im do podziału tysiąc kredytów. Z pojaśniałymi twarzami i błyszczącymi oczyma, skierowali się w kierunku najbliższych barów.

– Jak tylko mój statek zostanie załadowany – zalecił Hoddan urzędnikowi, – chcę, żeby wyciągnięto ich z więzienia.

Urzędnik skinął potwierdzająco głową. Przyprowadził sprzedawców maszyn rolniczych. Przedstawicieli bibliotek mikrofilmów. Producentów generatorów, podręczników na taśmach wizyjnych i reprezentantów pokrewnych dziedzin. Hoddan kupował starannie. Terminy dostaw zostały ustalone na następny dzień.

– Teraz – zaproponował urzędnik, – porozmawiajmy o inwestycjach, które chce pan poczynić za pozostałą kwotę.

– Jakąś rozsądną sumę chciałbym zatrzymać w gotówce – rzekł z zastanowieniem Hoddan. – Ale… w porządku… mówiłem, że dobrym, mało ryzykownym biznesem są ubezpieczenia. Jak rozumiem, większość instytucji ubezpieczeniowych podzielona jest na działy, które są traktowane oddzielnie. To będzie dział ubezpieczeń na życie, dział nieszczęśliwych wypadków, i tak dalej. Czy tak? I można inwestować w każdy z nich oddzielnie?

Urzędnik odparł beznamiętnie:

– Chciał mi pan dać do zrozumienia, sir, że jest pan zainteresowany w ubezpieczeniach od ryzyka. Najbardziej być może ubezpieczeniach od ryzyka w zakresie piractwa. Mam tutaj notowania działów ubezpieczeń od ryzyka, z przedsiębiorstw na całym Krymie. Oczywiście, nie są to bardzo aktywne walory, ale jeśli podniesie się hałas w związku ze statkiem pirackim działającym w tej części galaktyki, można by przewidywać…

– Wchodzę w to – zastanawiał się Hoddan. – Zobaczmy… Mój ładunek przyniósł tyle… Hmmm… Moje zakupy wyniosą nie więcej niż tyle. Hmmm… Opłaty za poradę prawną, oczywiście… Wspominałem już o sumie w gotówce. Tak. To będzie różnica, mniej więcej oczywiście, którą przeznaczy pan na akcje o których mówiliśmy, ale ponieważ przewiduję pewną aktywność cenową, jeśli o nie chodzi, zostawię panu jeszcze pewne specjalne instrukcje.

Przekazał mu szczegółowe, przemyślane uwagi, dotyczące tego co, jak się spodziewał, będzie można znaleźć w doniesieniach prasowych, w najbliższych dniach. Urzędnik beznamiętnie je zanotował. Hoddan dodał do tego instrukcje.

– Tak, proszę pana – powiedział na koniec urzędnik, głosem bez żadnej intonacji. – Jeśli jutro rano przyjdzie pan do mojego biura, wszystkie dokumenty będą już przygotowane, i będziemy mogli sfinalizować sprawy. Pański nowy ładunek chyba nie zostanie dostarczony wcześniej, ale jeśli mogę coś powiedzieć, sir, pańska załoga również nie będzie gotowa. Szacuję każdego z nich na dwie godziny zabawy i czternaście godzin dochodzenia do siebie.

– Dziękuję panu – odparł Hoddan. – Zobaczymy się więc jutro rano.

****

Po wyjściu urzędnika z biura prawniczego, zamknął statek na głucho. Poczuł się bardzo samotny. Był jedyną żywą istotą na całym, ogromnym statku. Odgłos jego kroków rozbrzmiewał głuchym echem. Nie było nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Nawet nikogo, kto by mu zagrażał. Ostatnio miał do czynienia z całą masą zagrożeń.

Opuszczony poszedł do kabiny kiedyś zajmowanej przez poprzedniego kapitana liniowca. Jego samotność jeszcze wzrosła. Zaczęło go dręczyć to zniechęcające uczucie zwątpienia w samego siebie, będące plagą ludzi najbardziej bezinteresownych i obowiązkowych. Oczywiście, to nie działania z minionych dni go kłopotały. Tym, co naprzykrzało się jego myślom, były wydarzenia dzisiejsze. Czuł, że były one nie do końca właściwe. Różnica pozostawiona w rękach prawników, nie była dostatecznie duża, aby pokryć pewien margines, który sam sobie ustanowił jako granicę do skompensowania. Jego zamiarem było samozbilansowanie się całego tego przedsięwzięcia – wszyscy z nim związani mieli zarabiać, włączając nawet właścicieli statków i ładunku, który zrabował. Teraz jednak, nie był tego już taki pewien.

Zastanawiało go, że jego dziadka, nie niepokoiły żadne złe myśli związane z tą kwestią. Stary pirat wydawał się być całkowicie wolnym od takich wątpliwości. Opierało się to na jego przekonaniu, że piractwo było podstawowym elementem umożliwiającym działanie systemu ekonomicznego galaktyki. Hoddan, pamiętał go dokładnie, jak przemawiał, połykając w swej specyficznej wymowie końcówki słów:

– Powiadam ci, że piractwo umożliwia rozwój systemu ekonomicznego galaktyki! Wszyscy wiedzą, że interesy cierpią, jeśli sprzedaż detaliczna leci na dół. Przez to zmniejszają się nakłady inwestycyjne. To daje dalsze skutki. Zjada zamówienia dla fabryk, które zwalniają ludzi. A wyrzuceni z pracy ludzie nie mają pieniędzy, które mogliby wydawać, co jeszcze bardziej obniża sprzedaż detaliczną, To znów redukuje inwestycje i zamówienia dla fabryk i w efekcie powstaje bezrobocie, i ponownie uderza w rynek detaliczny. To jest sprzężenie zwrotne. Rozumiesz? – Zwyczajem dziadka Hoddana było, że w tym momencie, wpatrywał się ostro po kolei w każdego, ze swoich słuchaczy.

– Przypuśćmy jednak, że jakiś pirat uprowadzi i obrabuje statek. Właściciele na tym nie tracą. Jest ubezpieczony. Zamawiają następny statek, który bezzwłocznie jest budowany. Przy jego budowie zatrudniani są ludzie, którym płaci się pieniądze, wydawane w handlu detalicznym, i przemysł idzie w górę. Ponadto, więcej ludzi ubezpiecza się przeciwko piractwu. Firmy ubezpieczeniowe zatrudniają nowych księgowych i urzędników. Ci także dostają więcej pieniędzy do wydania w handlu detalicznym, co pozwala ruszyć inwestycje i utrzymać w ruchu fabryki, co znów daje zatrudnienie większej liczbie ludzi… Widzicie? To właśnie piractwo jest motorem biznesu w galaktyce.

Hoddanowi znane były wątpliwości odnośnie takiego toku myślenia, ale mógł on nie być tak do końca błędny. Wydał całkiem niezłą część zysków ze swego piractwa na akcje firm udzielających ubezpieczeń od ryzyka, na które liczył, że uczynią jego działania dobroczynnymi dla wszystkich których one dotyczyły, a przynajmniej takie były jego intencje. Jednak mogło to być nie do końca prawdą. W tym konkretnym przypadku, mogło to być mniej niż… no cóż… wystarczająco prawdziwe. Zatem więc…

Wtedy wpadł na pomysł, jak można wszystko przygotować, by nie było żadnych wątpliwości. Zaczął opracowywać szczegóły. Odpłynął w sen w trakcie układania w głowie listu do swego dziadka na pirackiej planecie Zan.

Kiedy nad port kosmiczny na Krymie zawitał poranek, dostawcy zaczęli zwozić gigantyczne maszyny rolnicze, takiego rodzaju, jaki normalnie nigdy nie byłby transportowany frachtem kosmicznym. Przybywały również generatory, turbiny i zbiorniki z tworzyw sztucznych, a także podręczniki na taśmach wizyjnych, wielkie skrzynie wypełnione taśmami. Były również narzędzia do maszyn i części zamienne – te ostatnie w olbrzymich ilościach – i bardzo wiele różnych innych rzeczy, których emigranci z Colina prawdopodobnie nie oczekiwali, a mogli nawet nie rozpoznawać. Ładownie liniowca wypełniły się aż po same luki.

Poszedł do biura swoich adwokatów. Przeczytał i podpisał papiery, w atmosferze wielkiej szacowności, godności i etycznych celów. Urzędnik z biura prawników, towarzyszył mu na posterunek policji, gdzie siedmiu posępnych Darthian, z potężnym kacem, ponuro próbowało pocieszać się wspomnieniami o tym, jak do tego wszystkiego doszło. Zabrał ich stamtąd i odwiózł na statek. Urzędnik z biura prawniczego, zaprezentował mu z dużą pompą, mały ale dosyć ciężki pakunek.

– Oto pieniądze, których pan sobie życzył, sir.

– Dziękuję – powiedział Hoddan. – To chyba już ostatni z naszych interesów?

– Tak, proszę pana – odparł urzędnik. Zawahał się, i po raz pierwszy pokazał jakiś ślad ludzkich uczuć. – Czy mógłbym zadać panu jedno pytanie, dotyczące piractwa?

– Czemu nie? – zapytał Hoddan. – Proszę, dalej.

– Kiedy pan… eee… zdobył ten statek – rzekł z nadzieją urzędnik, – czy… eee… zastrzelił pan mężczyzn i zatrzymał kobiety?

Hoddan westchnął.

– To, czego najbardziej – wyjaśnił z żalem, – nie znoszę, to niszczyć interesujące teorie. Nie. Żyjemy we współczesnych czasach. Efektywność zaatakowała także piracki biznes. Moja załoga zajmuje się głównie szorowaniem podłóg i kucharzeniem.

Łagodnie zamknął wrota ładunkowe statku i przeszedł do sterowni, aby wywołać operatorów sieci lądowniczej. Po kilku minutach chwyciła ona liniowiec, ponownie przestawiła na środek, a następnie wyniosła w stronę gwiazd.

****

I cała podróż z powrotem na Darth była mniej więcej tak samo nudna jak start. Nie mieli żadnych kłopotów ze znalezieniem jachtu kosmicznego, krążącego po dalekiej orbicie. Hoddan wysłał polecenie odblokowania, i w odpowiedzi transmiter jachtu zaczął emitować sygnał kierunkowy, pozwalający na jego lokalizację. Kiedy liniowiec ustawił się przy nim, lekko go trącając, zadziałał ostatni z wynalazków Hoddana i jacht natychmiast przylgnął do kadłuba większego statku. Równie monotonnie minęły cztery dni w nadszybkości. Po drodze zrobili jedynie trzy lub cztery przerwy dla określenia pozycji. Przystanek na Krymie spowodował powstanie pewnego opóźnienia, ale Hoddan dzięki dobremu namiarowi na słońce Darth, wrócił mniej więcej dzień później niż standardowo trwałby lot kosmiczny bezpośrednio z Waldena. Niewiele czasu również, jeśli w ogóle, stracił na wejście na orbitę zajętą przez rupiecie floty kosmicznej emigrantów. Wkrótce potem wywoływał już statek przywódców, odczuwając niewielką troskę o możliwe katastrofy, jakie mogły się tu wydarzyć, gdy on był daleko.

– Wzywam statek przywódców – powiedział energicznie. – Wzywam statek przywódców! Tu Bron Hoddan, zgłaszam swój powrót z Waldena, ze statkiem i maszynami przeznaczonymi na wasz użytek.

Kiedy brodaty, stary przywódca emigrantów odpowiadał na wezwanie, jego szorstki głos wydawał się chwilami lekko załamywać. Obdarzył Hoddana takim potokiem błogosławieństw, że ten niemal się do nich przyzwyczaił. Potem zajęli się sprawą przejścia emigrantów na pokład nowego statku. Nie wiedzieli jak się używa kanałów ewakuacyjnych na statkach i bąbli szalup ratunkowych. Hoddan musiał im to wszystko zademonstrować. Wkrótce potem pojawiło się u niego najpierw dwudziestu, potem trzydziestu, pięćdziesięciu ludzi z Colina, gorączkowo przeszukujących statek i z niedowierzaniem raportujących o tym, co znaleźli.

– To po prostu niemożliwe! – oświadczył stary człowiek. – To po prostu niemożliwe!

– Nie określiłbym tego w taki sposób – stwierdził Hoddan. – To było mało prawdopodobne, ale się udało. Obawiam się tylko, że to ciągle może być za mało.

– To… wielokrotnie więcej niż oczekiwaliśmy w naszych najśmielszych marzeniach – pokornie rzekł stary człowiek. – Tylko… - przerwał. – Jesteśmy wdzięczni, bardziej niż da się to wyrazić.

Hoddan wziął głęboki oddech.

– Muszę odwieźć moją załogę z powrotem do domu – wyjaśnił. – Potem wrócę tu i… cóż… może przydam się do objaśniania pewnych rzeczy. I chciałbym prosić pana o pewną łaskę… na mój własny rachunek.

– Ależ naturalnie – zgodził się stary człowiek. – Oczywiście. Będziemy oczekiwać pańskiego powrotu. Naturalnie! I… może coś… może coś zorganizujemy…

Hoddan poczuł ulgę. Objawy radości emigrantów wydawały się w dziwny sposób wyjątkowo ograniczone. Ucieszeni byli niesamowicie z

maszyn rolniczych. Ale biblioteka mikrofilmów, zdawała się powodować objawy radości raczej z obowiązku niż ze szczerej woli. Podręczniki na taśmach wizyjnych, stały się obiektem jedynie uprzejmych komentarzy. Hoddan odczuwał niejaki dyskomfort. W atmosferze we flocie wydawało się panować coś w rodzaju tajonej desperacji, do której nie chcieli się przyznać, ani o niej mówić. Ale wróci tu jeszcze. Oczywiście.

Zabrał swoją szalupę ratunkową na nowy liniowiec. Wpiął ją w bąbel dla szalup i jego siedmiu Darthian przecisnęło się przez kanał ewakuacyjny do środka. Hoddan szybko oderwał się od statku, zanim ktokolwiek pomyślał, aby zapytać, dlaczego brakowało szalup, w miejscach które w oczywisty sposób były dla nich przeznaczone.

Kiedy cechy ukształtowania powierzchni Darth zaczęły wskazywać, że zza horyzontu wkrótce ukaże się zamek Dona Lorisa, skierował się na dół. Zaraz po tym jak to zrobił, dotknął atmosfery. Zbiorniki paliwa silników rakietowych szalupy zostały ponownie napełnione, a więc postanowił lekkomyślnie zmarnować trochę paliwa, wykonując dramatyczne lądowanie, w odległości nie większej niż kilkaset jardów od blanków zamku, na których niegdyś Fani tak rozważnie przygotowała dla niego zwój liny.

Teraz, z tych samych blanków na szalupę skierowały się wszystkie głowy, ale brama zamku była zamknięta. I pozostała zamknięta. Panowało coś w rodzaju atmosfery podejrzliwości, wzmagającej się nawet do wrogości. Hoddan poczuł się niemile widzianym gościem.

– W porządku, chłopcy – oświadczył zrezygnowany. – Jazda stąd i do zamku. Macie waszą zdobycz z podróży – wyliczył każdemu z nich znacznie więcej pieniędzy, niż każdy z nich miał nadzieję, że faktycznie dostanie – i chciałbym, żebyście dali to pudło Donowi Lorisowi. To prezent ode mnie. Chciałbym też… skonsultować się z nim odnośnie współpracy między nami dwoma w … eee … pewnych planach, które mam. Zapytajcie, czy mogę przyjść i z nim porozmawiać.

Siedmiu jego dawnych włóczników wypadło na zewnątrz. Rozradowani pomaszerowali do bramy zamkowej. Hoddan widział jak wzbudzali zazdrość u obserwatorów w górze, na murach, pokazując im przyniesione ze sobą duże sumy pieniędzy. Pudło dla Dona Lorisa niósł Thal. Było to, to samo pudło, które wręczył mu urzędnik z biura prawników, zawierające w środku porządną kwotę w gotówce. Kwota teraz była oczywiście częściowo pomniejszona. Hoddan zapłacił z tych pieniędzy swojej nie do końca ochotniczej załodze – zapłacił im faktycznie tak, jakby, zgodnie ze swoimi oczekiwaniami, walczyli. Pomyślał, że może to być przydatne na przyszłość. Ciągle jednak zostało więcej, niż Don Loris mógłby dostać z Waldena za sprzedanie go jego przedstawicielom.

Zamkowa brama otworzyła się, chociaż niechętnie. Siódemka weszła do środka. Razem z pudłem.

Czas mijał. Wiele czasu. Hoddan rozmyślał o argumentach, jakie mógłby przedstawić Donowi Lorisowi. Potrzebował zebrać bardzo dużą sumę pieniędzy, i mógł to zrobić w ten-albo-inny sposób, ale ten-albo-inny sposób oznaczał okazjonalne rajdy pirackie, które wymagały chętnych na piratów do załogi, i gdyby Don Loris ośmielił swoich przybocznych…

Oczywiście, mógł udać się także do innego darthiańskiego thana, ale wiedział jakiego typu łotrem był Don Loris. Innego człowieka musiałby dopiero rozgryźć.

****

Minęła blisko godzina, zanim zamkowa brama ponownie się otworzyła. Wymaszerowały z niej dwa rzędy włóczników. Razem było to ośmiu ludzi, z dowodzącym sierżantem. Hoddan nie rozpoznawał żadnego z nich. Podeszli do szalupy. Sierżant formalnie wygłosił oficjalną wiadomość. Don Loris chciałby przyjąć Brona Hoddana w swoim zamku, aby wysłuchać co ma on do powiedzenia.

Hoddan czuł się wyjątkowo niepewnie. Czekając, przez cały czas myślał o skrywanej rozpaczy panującej we flocie emigrantów. Martwił się tym bardzo. Ponadto zatroskany był faktem, że Don Loris nie przywitał go z jakąś specjalną serdecznością, nawet teraz gdy w dobrym stanie sprowadził z powrotem jego przybocznych. Wiedziony ponurym przeczuciem, sprawdził swoje paralizatory. Wymagały naładowania. Zrobił to, korzystając z urządzeń zasilających szalupy.

Przeczuwając coś złego, szedł w kierunku zamku, z ośmioma włócznikami, otaczającymi go, tak jak kiedyś gliniarze otoczyli go na Waldenie. Nie było miło, sobie o tym przypomnieć. Zmarszczył groźnie brwi do swoich myśli, wchodząc do bramy zamkowej, idąc długim kamiennym przejściem i dalej kamiennymi schodami do wielkiej sali reprezentacyjnej zamku. Don Loris, podobnie jak już kiedyś w przeszłości, siedział z zrzędliwą miną przy swym olbrzymim palenisku. Tym razem wyglądało to jakby niemal wszedł w sam ogień. Dodatkowo założył na głowę kaptur od grubego płaszcza. Lady Fani siedziała razem z nim.

Witając Hoddana Don Loris wyglądał jednak, jakby starał się odsunąć swoją zgryźliwość na bok, choć na trochę.

– Mój drogi kolego – rzekł ze skargą w głosie, – nie chciałbym witać pana, robiąc wymówki, ale czy wie pan, że przez pańską ucieczką tą szalupą, przysporzył pan mi śmiertelnego wroga? To jest fakt! Mój sąsiad, na którego ziemi szalupa wylądowała, poczuł się głęboko urażony. Uważał ją za swoją własność. Zbierał swoich przybocznych do walki o nią, kiedy usłyszałem o jego resentymencie i częściowo ułagodziłem go przeprosinami i prezentami. Ciągle jednak twierdzi, że powinienem mu ją zwrócić, jeśli kiedykolwiek pan by się w niej tutaj pojawił!

– O! – odparł enigmatycznie Hoddan. – To niedobrze,

Rzeczy zaczęły wyglądać dosyć złowieszczo. Lady Fani przypatrywała mu się dziwnie. Tak jak gdyby próbowała mu coś powiedzieć, bez słowa. Wyglądała też, jakby niedawno płakała.

– Chciałbym się upewnić – dodał z rozdrażnieniem Don Loris, – dał mi pan właśnie bardzo miły prezent. Ale moi przyboczni powiedzieli mi, że wrócił pan ze statkiem. Z bardzo dobrym statkiem. Co się z nim stało?

Sieć lądownicza została w końcu naprawiona, i mógłby pan wylądować. Co się z nim stało?

– Oddałem go – powiedział Hoddan. Już widział, co Fani próbowała mu powiedzieć. Korytarz… nie, dwa… prowadzące do wielkiej Sali, wypełnione były włócznikami. Jego ton zmienił się na sardoniczny. – Dałem go pewnemu staremu człowiekowi.

Don Loris potrząsnął głową.

– To niedobrze, Hoddan. Teraz ta flota nad naszymi głowami. Jeśli to piraci i chcą kilku moich ludzi do swoich załóg, powinni zwrócić się do mnie! Nie mogę potraktować lekko pańskiego pomysłu porywania moich ludzi i wywożenia ich na jakieś pirackie eskapady! To musi przynosić mi zyski! Ale jeśli może pan sobie pozwolić na dawanie mi prezentów, takich jak ten, i bycie takim hojnym dla moich przybocznych… właściwie nie rozumiem dlaczego…

– Właśnie przybyłem po to, by zaaranżować interes w tym celu – zauważył.

– Nie wydaje mi się, żeby mi się spodobał – zrzędliwie odparł Don Loris. – Preferuję raczej interesy bezpośrednio z właściwymi ludźmi. Zorganizuję wszystko wokół sieci lądowniczej, i przygotuję regularną usługę rekrutacyjną, którą oczywiście ja sam będę prowadził. Ale pan… pan jest nieodpowiedzialny! Życzę panu dobrze, ale kiedy wywiózł pan moich ludzi dla piratów, obrócił pan moich sąsiadów w moich wrogów, zaraził pan moją córkę dziwnymi pomysłami, a w dodatku rząd zaprzyjaźnionej planety, prosi mnie tak mocno, abym już dłużej nie udzielał panu schronienia… Dlatego to właśnie jest koniec, Hoddan. A więc z wielką przykrością…

– Przykrość raczej jest po mojej stronie – stwierdził Hoddan.

Wycelował paralizator w powoli otwierające się drzwi. Nacisnął spust broni. Jej pomruk pociągnął za sobą wybuch potężnych wrzasków, ponieważ nie każdy, kogo trafił, padł nieprzytomny. Nie udało mu się także trafić wszystkich czekających w korytarzu. Ludzie napływali falami z jednych drzwi, a potem również i drugich, co wymagało odpowiedniej reakcji jego broni.

Wtedy nagle koło twarzy Hoddana przeleciała włócznia, chybiając go jedynie o cale. To na mgnienie oka ściągnęło jego wzrok na podłogę. Koło nosa przeleciał mu z kolei wirujący nóż. Popatrzył w górę. Dookoła wielkiej sali były balkony, a zza ich balustrad wychylali się ludzie, rzucający w niego różnymi rzeczami. Pojawiali się nieustannie, wyskakując z ukrycia. Nie było w tym żadnego rytmu, który mógłby uchwycić. Nie mógł więc przewidzieć ich ruchów, ani strzelać do nich poprzez balustrady balkonów. W dodatku do sali wdzierała się coraz większa liczba ludzi, posuwając się za ciężkimi krzesłami i stołami, pchając je przed sobą jako ruchome tarcze. W jego kierunku leciało coraz więcej włóczni i noży.

****

– Bron! – gardłowy krzyk lady Fani.

Pomyślał, że ma dla niego jakieś wyjście. Skoczył w jej stronę.

– Ja… Nie chciałam, żebyś przychodził – łkała.

Więc dla odmiany przeszli na ty. W szczęknięciach i walnięciach broni o podłogę nastała jakaś osobliwa przerwa. Po kilku sekundach, hałasy ponownie się rozpoczęły. Potem ucichły. Tylko jeden człowiek wychylił się zza balustrady i cisnął nożem. Szczęknięcie jego uderzenia o posadzkę, było bardzo samotnym dźwiękiem. Don Loris niemal zawył w na niego.

– Ty idioto! Uważaj na lady Fani!

Lady Fani nagle uśmiechnęła się drżąco.

– Cudownie! – powiedziała. – Nie ośmielą się niczego zrobić, dopóki jesteś tak blisko mnie jak teraz.

– Naprawdę tak przypuszczasz? – zapytał Hoddan. – Mogę na to liczyć?

– Jestem tego pewna! – rzuciła Fani. – I myślę, że lepiej jeśli ty również będziesz.

– A więc, najmocniej przepraszam – rzekł Hoddan z największą uprzejmością.

Poderwał ją do góry i przerzucił przez ramię. Z paralizatorem w wolnej ręce zmierzał przez salę.

– Z sali – pokierowała nim ochoczo, – wyjdź bocznymi drzwiami i skręć w lewo, a nikt nie będzie mógł ci skoczyć na kark. Potem do bramy znów w lewo.

Posłuchał jej. Od czasu do czasu oddawał z pistoletu pojedynczy strzał na postrach. Don Loris obrócił swój zamek w całkiem niezłą pułapkę. Lady Fani stwierdziła żałośnie.

– To jest niesamowicie mało dostojne, a poza tym nie widzę dokąd idziemy. Gdzie jesteśmy?

– Niemal przy bramie – wydyszał Hoddan. – Teraz już w niej. – Otworzył masywne wejście do twierdzy Dona Lorisa. – Mogę cię już postawić.

– Nie radzę – odparła lady Fani. – Pomimo tego, że mój tyłek sterczy prosto w górę, wydaje mi się, że lepiej zrobisz, jeśli dojdziemy do szalupy dokładnie w taki sposób, jak dotąd.

Ponownie Hoddan posłuchał, biegnąc przez otwarty teren. Ścigały go ryki furii. Ewidentnie, w zamku zapanowała opinia, ze lady Fani została porwana w miejsce siedmiu zwróconych włóczników.

Hoddan ciężko łapiąc powietrze dotarł do szalupy. Postawił Fani na ziemi i zaczął ją z niepokojem wypytywać:

– Jesteś cała? Mam u ciebie olbrzymi dług wdzięczności! Byłem w kropce! – Potem kiwnął głową w kierunku zamku. – Są nieźle wściekli, co nie? Teraz pewnie myślą, że mam zamiar cię porwać.

Lady Fani rozpromieniła się.

– Gdybyś to zrobił, to byłoby straszne – oznajmiła z nadzieją w głosie. – Nie mogę zrobić zupełnie nic, by cię powstrzymać. A udane publiczne porwanie na Darth, jest równoważne prawnie zawartemu małżeństwu. Czyż to nie byłoby straszne?

Hoddan otarł twarz i poklepał ją uspokajająco po ramieniu.

– Nie martw się – powiedział ciepło. – Po prostu wyciągnęłaś mnie ze straszliwych kłopotów. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Na szczęście, planuję poślubić dziewczynę z Waldena, o imieniu Nedda. Do widzenia, Fani! Uważaj, żeby nie dosięgnął cię odrzut rakiet.

Wszedł do włazu szalupy, odwrócił się aby wysłać jej ojcowski uśmiech, i zamknął za sobą pokrywę. Kilka sekund później, szalupa oderwała się od ziemi. Znikła za chmurami dymu rakietowego.

I chociaż Hoddan nie miał o tym zielonego pojęcia, zostawił za sobą najbardziej wściekłą dziewczynę w kilku najbliższych systemach słonecznych.



X

Mężczyźni, niezależnie od tego gdzie i kiedy żyli bądź żyją, zazwyczaj wykazują wyjątkową tępotę w sprawach dotyczących kobiet. Hoddan leciał swą szalupą w stronę nieba, z uczuciem głębokiej wdzięczności dla lady Fani. Nie przyszedł mu do głowy nawet najmniejszy cień podejrzenia, że dziewczyna, która dwukrotnie pokrzyżowała łotrostwa swojego ojca skierowane przeciwko niemu, mogła w tej chwili czuć do niego wszystko, tylko nie przyjazne uczucia. Wspominał z rozrzewnieniem, jak uratował ją przed ślubem z lordem Ghekiem. Nie dotarło do niego, że większość dziewczyn kiedyś zamierza się zgodzić na małżeństwo z kimś, i nawet nie podejrzewał, że w kobiecych instynktach leży czynienie wysoce dramatycznych i romantycznych wyobrażeń na temat swego małżeństwa, tak by panie miały coś sentymentalnego, do czego będą mogły wracać w późniejszych latach.

W miarę jak Hoddan kierował się coraz wyżej, niebo stało się krwiście purpurowe, a potem czarno aksamitne, nakrapiane ognikami. Bardzo go podbudowało powitanie, z jakim przyjęli go wcześniej emigranci, ale jednocześnie zaintrygowało, delikatne wrażenie pewnej wszechobecnej desperacji. Generalnie jednak, czuł się bardzo szlachetny i prawy, chociaż jego plany na przyszłość były raczej specyficzne. Już wcześniej napisał list do dziadka, o którego dostarczenie chciał poprosić flotę emigrantów. W głowie miał kolejny list – to znaczy w formie listu, ale praktycznie okólnik public relations – który miał nadzieję przelać na papier zanim emigranci będą chcieli ruszyć w dalszą drogę. Uważał, że potrzebuje zyskać sobie jeszcze więcej ich wdzięczności, tak by mógł gładko zamknąć i zlikwidować sprawy, pozostawiając wszystkich, poza sobą, zadowolonych i szczęśliwych.

Dla siebie przewidywał bowiem jedynie głęboką satysfakcję moralnego spełnienia. Chciał robić wielkie rzeczy, już odkąd był małym chłopcem, a jeśli chodzi o elektronikę, to od czasów swej młodości, gdy znalazł w bibliotekach zagrabionych statków kosmicznych odpowiednie podręczniki. Udał się na Waldena, w nadziei realizacji swoich aspiracji. Tam, oczywiście, zawiódł, ponieważ przemysłowcy w świecie wolnej ekonomii, uważają, że ta wolność oznacza przywilej bycia głupim bez żadnej związanej z tym kary. Oczywiście, w ekonomii innej niż ta wolna, głupota uważana jest za obowiązkową wśród administratorów. Teraz jednak Hoddan wierzył, że znalazł się w tej fascynującej sytuacji, posiadania wiedzy, która potrzebna jest ludziom, znającym swe potrzeby.

Kiedy nawiązał kontakt z flotą, był sam w szalupie, musiał więc odrzucić swoje myśli i zająć się manewrowaniem, w stronę bąbla dla łodzi ratunkowych na liniowcu. W trakcie tej pracy, jednak ponownie ogarnęły

go wszystkie rozterki. Wymyślił co prawda odbiornik transmisji energii, projektor mikrofal, przekształcił napęd Lawlora w generator piorunów kulistych i opracował kilka mniejszych podobnych urządzeń. Ale pierwsze z nich wynalezione zostało już wcześniej, w skupisku Cetis, drugie mógł zrobić właściwie każdy, a trzecie było standardowym rozwiązaniem na Zan. Ciągle musi dokonać czegoś znaczącego.

Kiedy podczepił łódź do liniowca i przeciskał się przez kanał ewakuacyjny do wnętrza statku znajdował się w stanie wielkiej rozterki, co bardzo dobrze robiło jego skromności.

****

Brodaty stary człowiek przyjął go w kwaterze kapitańskiej, którą sam Hoddan zajmował przez kilka dni. W ciągu paru minionych godzin, wydawało się, że postarzał się o całe lata.

– Przez kilka minut byliśmy bardzo zaskoczeni – rzekł ciężko do Hoddana, – tym co pan nam przywiózł. Dziesięć takich statków jak ten, i bylibyśmy lepiej wyekwipowani, niż myśleliśmy na początku naszej podróży. Wydaje się, że kilka tysięcy z nas zdoła przetrwać kolonizację systemu Thetis.

Hoddan wpatrywał się w niego. Stary człowiek położył rękę na jego ramieniu.

– Jesteśmy naprawdę bardzo wdzięczni – mówił dalej, podejmując patetyczną próbę cieplejszego spojrzenia. – Proszę w to nie wątpić! Tylko że… te… Pan oczywiście tylko przyjął to co panu oferowano na nasz użytek. Ale nie mogę na to poradzić, że tak desperacko chciałbym żeby… żeby zamiast tych narzędzi do obróbki metalu, na czym przecież kompletnie się nie znamy, zamiast tych maszyn z taśmami pokazującymi obrazki… wolałbym, żeby dali nam choć jeden, jedyny pług dżunglowy więcej!

Hoddanowi po prostu opadła szczęka. Ludzie z Colina potrzebowali maszyn umożliwiających opanowanie planety. Pragnęli ich tak bardzo, że nie chcieli nic innego. Nie byli nawet w stanie zauważyć, że cokolwiek innego może mieć dla nich jakąś wartość. Większość z nich wybiegała w przyszłość tylko do problemu potencjalnego głodu, który może pojawić się gdy zapasy ze statków zostaną wyczerpane, ponieważ nie będzie można wydrzeć i przygotować pod uprawy dostatecznie dużo ziemi, aby na czas zwiększyć zasoby żywności.

– Czy byłaby – wypytywał desperacko stary człowiek, – możliwa wymiana tych bezużytecznych maszyn na inne, które będą dla nas przydatne?

– Proszę… proszę pozwolić mi na rozmowę z pańskimi mechanikami – powiedział nieszczęśliwym głosem Hoddan. – Być może coś da się zrobić.

****

Idąc do pomieszczeń, w których mechanicy floty przeglądali swój skarbiec, ledwie powstrzymywał się przed rwaniem sobie włosów z głowy. Przybył tu na górę, do floty, aby dalej napawać się swoją szlachetnością i robić wielkie rzeczy dla ludzi, którzy go potrzebowali, i zdawali sobie z tego sprawę. A zamiast tego stanął wobec braku nadziei ludzi, którym jego największy wyczyn wydawał się kpiną, ponieważ uważali go za tak dalece niewystarczający.

Zebrał razem tych, którzy próbowali utrzymać podczas lotu statki floty na chodzie. Byli to oczywiście kompetentni ludzie. Byli śmiali i zdecydowani. Teraz jednak musiał spowodować, że będą mieli jakąś nadzieję. Hoddan zaczął im robić wykład. Potrzebowali maszyn. Nie dostali może takich maszyn, jakie chcieli, ale przywiózł im maszyny, przy pomocy których mogą je sobie zrobić. Dostali automatyczne obrabiarki, tokarki, wtryskarki i formy ciśnieniowe. Przywiózł również instrukcje i podręczniki, pozwalające przy ich pomocy zbudować inne maszyny, których mogła potrzebować kolonia na Thetis. Przywiózł im właśnie to, ponieważ mają do dyspozycji surowce. Mogą przecież wykorzystać same statki. Nawet niektóre z odpadków, jakie przywieźli w pojemnikach, zrobione są przecież z dobrego metalu, tylko po prostu bezużytecznego w swojej obecnej postaci. Przy pomocy tego, co im przywiózł, będą mogli zrobić to, czego będą potrzebować. Na przykład, może pokazać im, jak zrobić… powiedzmy… piłę tartaczną.

Pokazał im jak zrobić piłę tartaczną – wąskie, szablaste narzędzie obrotowe, którym nakłuwało się drzewo i rozcinało z szybkością noża krojącego ciepłe masło. Jeden z nich także ją zmontował i wycinał deski i belki na tymczasowe mosty i tego typu konstrukcje.

Obserwowali uważnie, ale cały czas z dystansem. Nie dawali żadnego znaku przypływu nadziei. Nie chcieli pił tartacznych. Chcieli maszyn do walki z dżunglą.

– Przywiozłem wam wszystko! – naciskał ich dalej. – Na tym statku macie skondensowaną cywilizację. Macie życie zamiast głodu. Patrzcie teraz na to, Zbuduję pompę irygacyjną do nawadniania waszych pól!

****

Na ich oczach, korzystając z automatycznej obrabiarki, wykonał pompę irygacyjną. Pokazał im następnie, że obrabiarka może dalej działać samoczynnie, wytwarzając kolejne pompy irygacyjne, bez innych działań ludzkich, niż po prostu ręczne przekładanie narzędzi, które zostały wykonane wcześniej.

Mechaników nie było łatwo poruszyć. Obserwowali to, co im pokazywał wcześniej, bez śladu zrozumienia. Teraz słuchali nie wykazując entuzjazmu. Ich oczy podobne były oczom dzieci, oglądających cuda, których nie są w stanie pojąć.

Zbudował sanie, których płozy ślizgały się na poduszce powietrznej tworzącej się pomiędzy nimi i podłożem na którym spoczywały. Przesuwały się praktycznie bez tarcia. Zbudował maszynę do robienia gwoździ – beznadziejnie prostą. Zrobił również młotek elektryczny, który szumiąc wbijał gwoździe w dowolny obiekt w jaki chcieli aby je wbić, Zbudował…

Raptownie przerwał i usiadł trzymając twarz w rękach. Ludzie z floty stanęli wobec tak przemożnej katastrofy, że nie byli w stanie dostrzec jej szczegółów. Mogli jej tylko doświadczać. Tak jak ich przywódca nie potrafił odpowiedzieć na pytania dotyczące kłopotliwego położenia floty, zanim nie wyrzucił z siebie całej jej historii, w takiej formie w jakiej miał ją zakodowaną w swym umyśle, tak teraz mechanicy nie byli w stanie wybiec myślą w przyszłość. Byli wręcz sparaliżowani rozmiarem stojącej przed nimi klęski. Mogli żyć, dopóki nie wyczerpią się zapasy całej floty. Nie mogli rozszerzyć puli zapasów bez maszyn do opanowania dżungli. Musieli więc mieć maszyny do opanowania dżungli. Nie byli w stanie sobie nawet wyobrazić, że mogliby potrzebować czegokolwiek innego niż maszyny do opanowania dżungli…

Hoddan uniósł głowę. Mechanicy spoglądali na niego ponurym wzrokiem.

– Jesteście ludźmi zajmującymi się utrzymaniem? – zapytał. – Naprawiacie na statkach rzeczy, które się zniszczą lub ulegną awarii? Czy skończyły się wam jakieś części niezbędne do napraw?

Po dłuższej chwili przerwy, wstał mężczyzna o zmęczonych oczach i powoli rzekł:

– Na statku, z którego jestem, mamy kłopoty. Nasz ogród hydroponiczny, odświeża powietrze. Ale zużyły się rury do instalacji obiegu wody. Kompletnie przerdzewiały. Nie mamy już ani jednej rury, aby je wymienić. Musimy utrzymywać obieg wody przy pomocy wiader.

Hoddan wstał. Spojrzał na niego. Nie przywiózł żadnego zapasu rur dla ogrodów hydroponicznych! Nie miał też surowców do ich wykonania. Wziął elektryczne nożyce i wyciął cały fragment metalowej wykładziny ze ściany ładowni. Pociął ją na paski. Zapytał o średnicę rury. Następnie na ich oczach zrobił rurę – nawinął spiralnie na trzpień odpowiedniej grubości i pospawał tak by ją zespolić.

– Ja też potrzebuję coś takiego na moim statku – poprosił inny człowiek.

Brodaty człowiek odpowiedział mu poważnie:

– Zrobimy ich więcej i roześlemy na statki, na których są potrzebne.

– Nie – oznajmił Hoddan. – Roześlemy narzędzia do ich zrobienia. Narzędzia możemy zrobić tutaj. Przecież muszą być również innego rodzaju naprawy, których nie można przeprowadzić. Przy pomocy przywiezionych przeze mnie maszyn, zrobimy narzędzia, które pozwolą je wykonać. Odtwarzacze taśm wizyjnych, zawierają również szpule, które pokazują dokładnie jak to zrobić.

Była to dla nich zupełnie nowa koncepcja. Mechanicy mieli inne praktyczne i natychmiastowe problemy, oprócz ogólnego zużycia statków floty. Nie działające pompy, przegrzewające się silniki. Byli w stanie

zrozumieć konieczność rozwiązania tych problemów, tak jak rozumieli potrzebę pługów dżunglowych. Nie mogli jednak wyobrazić sobie niczego pomiędzy. Przynajmniej jednak byli w stanie nauczyć się robienia narzędzi niezbędnych do napraw.

****

Tak więc Hoddan ich uczył. Dzięki temu co przywiózł, w ciągu każdego dnia doprowadzano do stanu używalności pięć statków – przedtem uznawanych za niemożliwe do naprawienia. Minęły dwa dni. Trzy. Mechanicy zaczęli coraz częściej pojawiać się na liniowcu. Ci, którzy wcześniej już się czegoś nauczyli, przekazywali zdobytą wiedzę kolejnym. Czwartego dnia, ktoś zaczął wykorzystywać odtwarzacze taśm wizyjnych do pozyskania informacji o spawaniu precyzyjnym. Piątego dnia ustawiały się już kolejki ludzi czekających na to, by z nich skorzystać.

Szóstego dnia mechanik z czegoś, co po drugiej stronie galaktyki było luksusowym pasażerskim liniowcem – ale było to wiele lat temu – poprosił przez komunikator kosmiczny o rozmowę z Hoddanem. Gorączkowo pracował nad pomniejszymi naprawami, których nie był w stanie zrobić już od tak dawna. Aby zdobyć materiały, wyciągnął pojemnik z jedną z nienadających się do użytku maszyn, które dostarczono flocie. Przejrzał ją. Uznał, że jeśli niektóre części zostaną wymienione na nowe zrobione z dobrego metalu, maszynę będzie można naprawić!

Hoddan poprosił go o przybycie na liniowiec, który pełnił teraz rolę statku flagowego floty. Rozpoczęła się dyskusja. Jak obrobić takie duże elementy metalowe, które mogą być wzięte stąd lub stamtąd… obróbka dużych elementów metalowych… Hoddan zaczął rysować projekty i robić obliczenia. Nie były precyzyjne. Dalej liczył. Nagle wpatrzył się w to co naszkicował. Elektronika… Miał przed oczyma coś wręcz niesamowitego. Jeśli zastosuje się doskonale znany element czysto naukowej informacji, o której nikt nie pomyślał… Skończył projekt, i ogarnęło go uczucie potężnej uspokajającej satysfakcji.

– Musimy pójść gdzie indziej! – powiedział. – Za mało tu miejsca!

Popatrzył wokół siebie. Nawet nie zauważył, że gdy rozmawiał z pierwszym człowiekiem we flocie, który wykazał się odrobiną wyobraźni, wokół zebrało się wielu innych ludzi. Wszyscy byli niesamowicie zaabsorbowani.

– Wydaje mi się – zaproponował Hoddan, – że możemy zbudować urządzenie elektroniczne, generujące pole zmiękczające cementyt między kryształami stali, bez rozgrzewania całości. Jeżeli to się uda, to będziemy mogli robić odlewy ciśnieniowe i elementy tłoczone na wtryskarkach do mas plastycznych. A wtedy te wszystkie bezużyteczne śmieci, które mamy, mogą zostać przetworzone…

Słuchali uważnie, przytakując mu w miarę jak mówił. Nie zrozumieli wszystkiego w pełni, ale przywykli już do tego, że można mu zaufać.

– Hmmm… – zastanawiał się Hoddan. A gdyby tak powielić te maszyny i rozsyłać na wszystkie statki?

Spoglądali szacującym spojrzeniem na wyposażenie warsztatu narzędziowego. Tak, mogło zostać wykorzystane do powielenia siebie samego…

Nowy warsztat narzędziowy, na antycznej arce kosmicznej, wykonywał kolejny warsztat dla kolejnego statku. Na kolejnym statku te narzędzia mogły wykonać znów kolejny dla jeszcze jednego statku, i tak dalej…

W tym czasie, Hoddan uruchomił tłocznię metalu na zimno. Była olbrzymia. Pobierała energię z jednostki napędowej jednego ze statków. Umieszczało się w niej nieobrobioną masę stali, pomiędzy formami do kształtowania masy plastycznej. Włączało się zasilanie. Na kilka dziesiątych sekundy – nie dłużej – stal stawała się miękka jak kit. Potem zastygała nieco się rozgrzewając. Ale w ciągu tych dziesiątych sekundy, była bardzo precyzyjnie kształtowana.

Skopiowanie konstrukcji oglądanego wcześniej przez Hoddana pługa dżunglowego, z nowego dobrego metalu, zajęło im tylko dwa dni. A po tym pierwszym, tryumfalnie ogłoszonym sukcesie, niemal natychmiast powielili każdą jego część czterdziestokrotnie i wykonali urządzenia do uprawy dżungli w ilości wystarczającej niemal do wycięcia wszystkich lasów na Thetis. Oczywiście prowadzone były również inne przedsięwzięcia. Jeden z pomysłów zgłosił mechanik, który straszliwie się jąkał. Nie był w stanie ani go objaśnić, ani narysować odpowiednich projektów technicznych. A więc po prostu to zrobił. Był to silnik elektryczny, dalece wyprzedzający te stosowane w maszynach na Colinie. Innym razem Hoddan obudził się z krótkiej drzemki z pewnym projektem w głowie. Na wpół śpiąc narysował go, a potem przyglądając się swojemu dziełu stwierdził, że jego podświadomy umysł zaprojektował system dystrybucji energii, przy którym ten stworzony na Waldenie wyglądał raczej prymitywnie.

****

Podczas pierwszych sześciu dni Hoddan, prawdę mówiąc, nie spał w ogóle, a potem mógł złapać tylko od czasu do czasu krótką drzemkę. Ale w końcu zgodził się z przywódcą emigrantów – teraz już nie zdesperowanym, ale tryumfującym – w tym, że mogą oni już wyruszyć w dalszą drogę. Chciał również poprosić o pewną przysługę. Przytrzymując palcami opadające powieki, napisał list do swego dziadka, który skomponował w myślach czekając w liniowcu na Krymie. Udało mu się także zrobić jedną kopię, niezaadresowaną, listu dla celów public relations, który opracował w tym samym czasie. Przepuścił go przez urządzenie powielające i zdołał jeszcze zaadresować każdą z pięćdziesięciu kopii. Potem już był tylko w stanie ziewać niekontrolowany w sposób.

Kiedy poszedł pożegnać się z przywódcą ludzi z Colina, ciągle ziewał. Stary człowiek spoglądał na niego ciepłym wzrokiem.

– Myślę, że wszystko jest w najlepszym porządku – wylewnie oznajmił Hoddan. – Ma pan do dyspozycji dwanaście warsztatów maszynowych, które mogą same się powielać, a do tego ma pan teraz również entuzjastycznie nastawionych mechaników, który nawet piją w sposób prezentowany w materiałach na taśmach wizyjnych, i znajdują w niech więcej niż kiedykolwiek się spodziewali. Ale przede wszystkim potrafią samodzielnie myśleć. Wydaje mi się, że dacie sobie radę.

Brodaty człowiek odpowiedział pokornie:

– Czekałem aż pan powie, że wszystko jest w porządku. Czy poleci pan z nami?

– Nieee – wykręcił się Hoddan. Znowu ziewnął. – Mam tutaj pracę do wykonania. To jest… zobowiązanie, które muszę wypełnić.

– To musi być bardzo ważna sprawa – pokiwał ze smutkiem głową stary człowiek. – Chciałbym aby wśród nas znalazło się choć kilku młodych ludzi, takich jak pan.

– Ma pan ich – odparł Hoddan. – Wkrótce zaczną sprawiać panu kłopoty.

Stary człowiek pokręcił głową, spoglądając na Hoddana naprawdę z wielką sympatią.

– Doręczymy pańskie listy – obiecał ciepło. – Najpierw na Krym, potem na Waldena. Potem polecimy dalej i przekażemy pański list i prezent pana dziadkowi na Zan. Dalej, lecimy prosto na Thetis. Nasi mechanicy będą pracować nad produkcją nowych maszyn, w czasie gdy będziemy w nadszybkości. Równocześnie jednak będą budować nowe narzędzia i uczyć nowych mechaników, w związku z tym dosyć często będziemy musieli wychodzić z nadszybkości, aby przenosić narzędzia i ludzi na nowe statki.

Hoddan przytaknął wylewnie. To był dobry pomysł.

– Tak więc – z zadowoleniem kontynuował stary człowiek, – po prostu zrobimy te transfery na orbitach wokół planet, na które mamy dostarczyć pańskie listy. Ale czy wybaczy pan nam, jeśli tylko zostawimy listy i nie będziemy tych planet odwiedzać? Mamy pewne uprzedzenia…

– Zupełnie mi to wystarczy – zapewnił go Hoddan. – A więc…

– Mechanicy, których pan wyszkolił – dumnie oznajmił stary człowiek, – przygotowali dla pana mały statek. Nie jest dużo większy, niż pańska szalupa, ale jest w stanie wykonywać loty międzygwiezdne, co może być przydatne w pańskiej pracy. Mam nadzieję, że pan go przyjmie. Jest na nim nawet mały warsztat narzędziowy!

Hoddan byłby może bardziej poruszony, gdyby nic o tym nie wiedział. Ale jeden z ludzi, któremu powierzono tę pracę, znękany jakimś problemem, zapytał go o radę. Wiedział więc, co dostanie. To był jacht kosmiczny, z którego korzystał wcześniej, wyremontowany i wyposażony we wszystko, czego mogli mu dostarczyć emigranci.

Udał wielkie zaskoczenie i przekazał szczere wyrazy uznania. Zaledwie godzinę później, przeniósł się do niego, umieszczając swoją szalupę ratunkową na holu. Obserwował jak flota emigrantów wykonuje zwrot na zewnątrz, w kierunku kosmicznej pustki i rusza w dalszą śmiałą podróż. Teraz nie była to jednak już podróż beznadziejna. Prawdę mówiąc, nawet,

kolonia na Thetis powinna wystartować dużo lepiej wyposażona, niż większość zasiedlanych planet.

Potem poszedł spać. Nie miał nic pilnego do roboty, i tak musiał minąć pewien czas, zanim cokolwiek będzie w stanie zrobić. Poza tym był bardzo wyczerpany. Przespał dwanaście godzin, obudził się i ospale coś zjadł, a potem poszedł znów spać. Generalnie, kosmos nawet nie zauważył różnicy. Gwiazdy płonęły w przestrzeni, planety spokojnie obracały się wokół swoich osi. Komety wypuszczały swe pajęcze welony lub je zwijały, a liniowce kosmiczne zabiegały wokół praworządnych interesów ich właścicieli. Zaś kochankowie przysięgali sobie miłość pod gwiazdami i księżycami – najczęściej zupełnie różnymi gwiazdami i księżycami – oraz działo się wiele różnych innych rzeczy, które nie miały nic wspólnego z Hoddanem.

Kiedy jednak w końcu ponownie się obudził, był wypoczęty, i jeszcze raz przeanalizował podjęte działania i obecną sytuację. Wydawało się, że w całkiem obiecującym kierunku idą sprawy we flocie emigrantów, która odleciała już na zawsze. Powinni przez jakiś rok, lub coś koło tego, pamiętać Hoddana z sentymentem, a potem pewnie już nieco bardziej mgliście. Zasiedlanie nowego świata jest jednak absorbującą i ważną pracą. Po pewnym czasie, nikt z nich nie będzie już o nim myślał w ogóle. Ale mógł uznać to, jako pewne zobowiązanie zaciągnięte przez nich, wobec niego.

Teraz zaczął zastanawiać się nad własnymi sprawami. Powiedział Fani, że ma zamiar poślubić Neddę. Na razie rzeczy wyglądały tak, że raczej było to mało prawdopodobne. Oczywiście za rok lub dwa, a może za kilka lat, mógłby zrezygnować z pewnych zobowiązań, które teraz uważał za wiążące. W tym czasie nawet rząd Waldena powinien w końcu zrozumieć, że promienie śmierci nie istnieją, a dobry prawnik mógłby wyprostować pewne sprawy w stopniu pozwalającym mu na powrót na Waldena. Ale… Nedda była naprawdę miłą dziewczyną.

Zmarszczył groźnie brwi. Tak, to było to. Nedda była zdumiewająco miłą dziewczyną. Ale Hoddan nagle odczuł wątpliwości, czy była ona również aż taka cudowna. Stwierdził z zaskoczeniem, że kwestionuje, czy jest ona dokładnie tym, co kreśliły jego długo pielęgnowane ambicje. Spróbował wyobrazić sobie siebie, spędzającego swoje ostatnie lata z Neddą. Nie mógł tak do końca uznać tego za naprawdę ekscytujące. Nedda wykazywała pewne skłonności do tego by być nieco mdłą i pretensjonalną…

****

Niebawem, nieco przygaszony, ale uparcie to bagatelizując, przesunął swoją szalupę do zmodernizowanego włazu jachtu. Przeszedł do jej wnętrza, pozostawiając jacht na orbicie. Skierował się na dół, na Darth. Teraz, gdy odpoczął, musiał wziąć się do pracy, której nie mógł zaniedbać. Aby wykonać tę pracę, potrzebował do załogi ludzi, którzy mogli i chcieli

zostać piratami, za piracką płacę. Na Darth była niezliczona liczba zamków, z niemal równie dużą liczbą zaradnych feudałów, i z pewnością nie mniejszą liczbą głodnych rabunku darthiańskich kawalerów, uwieszonych wokół nich. Jednak zamek Dona Lorisa, miał dwie zalety: jedną prawdziwą, drugą istniejącą jedynie w umyśle Hoddana.

Przyboczni Dona Lorisa wiedzieli, że Hoddan poprowadził ich kompanów po zdobycz. Dużą zdobycz. Ze strony przybocznych Dona Lorisa powinien mieć więc bardziej entuzjastyczne poparcie i mniej kłopotów, niż ze strony innych. To akurat było prawdą.

Iluzją natomiast było to, że lady Fani pozostawała jego pewną, osobistą przyjaciółką, bez żadnych co do niej wątpliwości. To było bardzo dużą pomyłką.

Wylądował po raz czwarty w pobliżu zamku Dona Lorisa. Tym razem nie miał obładowanych łupami ludzi, którzy mogliby pomaszerować do zamku i odegrać rolę heroldów ogłaszających jego przybycie. Na ekranach wizyjnych, twierdza Dona Lorisa wyglądała ciemno, groźnie i odpychająco. Z jej wieżyczek zwisały proporce, których kolory jaśniały w czerwonawym świetle zbliżającego się ku zachodowi słońca. Brama pozostawała zamknięta. Przez długi czas nie było widać żadnej oznaki, że jego lądowanie zostało zauważone. Potem jednak na blankach rozpoczęła się krzątanina, a na zewnątrz murów zaczęła się opuszczać jakaś postać. Zjechała na dół po długiej linie.

Po dotarciu na ziemię, otrzepała się lekko. Ruszyła w kierunku szalupy na tle czerwonych i niemal poziomych promieni zachodzącego słońca. Hoddan obserwował ją z poważnym wyrazem twarzy. To nie był przyboczny Dona Lorisa. Z całą pewnością nie była to również Fani. Nie był w stanie nawet rozpoznać płci przybysza, dopóki postać nie podeszła zupełnie blisko.

Wtedy poczuł kompletne zaskoczenie. To był jego stary przyjaciel, Derec, który przybył na Darth już dawno, zanim Hoddan w ogóle po raz pierwszy lądował przy użyciu szalupy. Derec był jego ochoczym kompanem w dniach, kiedy oczekiwał, że stanie się bogaty dzięki wspaniałym wynalazkom w elektronice. Derec był także tym osobnikiem, który świadomie powiedział gliniarzom o Hoddanie, gdy odkryli jego chyłkiem wniesiony do stacji Mid-Continent odbiornik energii, a na zewnątrz jakieś przypadkowe zwłoki, które zbiegiem okoliczności znalazły się w jego pobliżu.

Otworzył właz łodzi i stanął w jej wejściu. Derec musiał teraz być przez dłuższy czas gościem Dona Lorisa – a w każdym razie zamieszkiwał w jego zamku. Hoddan wątpił, czy uznawał swoją kwaterę za przytulną.

– Dobry wieczór, Derec – kordialnie przywitał go Hoddan. – Dobrze wyglądasz!

– Niestety nie czuję się tak – ponuro odpowiedział Derec. – Czuję się raczej jak głupiec na zewnątrz zamku. A w dodatku funkcjonariusz policji, z którym tu przybyłem, stał się strasznie zrzędny i niemal gryzie, gdy próbuję z nim rozmawiać.

Hoddan zauważył poważnie:

– Jestem pewien, że lady Fani…

– Tygrysica – gorzko przerwał Derec. – Nie możemy znaleźć wspólnego języka.

Patrząc na Dereca, Hoddan stwierdził, że jest w stanie zrozumieć dlaczego Derec to zrobił. Był on tego rodzaju przyjacielem, jakiego można było mieć na Waldenie z braku czegoś lepszego. Był dobrze wychowany. Mógł być nawet zdolny do wspaniałych czynów – nawet do heroizmu. Ale był strasznie, okropnie, przeraźliwie cywilizowany!

– Już dobrze, dobrze – uprzejmie rzekł Hoddan. – Po co przyszedłeś, Derec?

– Bron, przyszedłem – ponuro oświadczył Derec – ponownie cię błagać. Musisz się poddać! Nie możesz zrobić nic innego! Ludzie nie mogą posiadać promieni śmierci, Bron! A przede wszystkim nie wolno ci przekazać piratom informacji jak je wytworzyć!

Hoddan przez moment poczuł się zdezorientowany. Potem uświadomił sobie, że informacje Dereca na temat floty, pochodziły od włóczników, których odwiózł z powrotem z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi. Derec nie zauważył braku błyszczących światełek na niebie o zachodzie słońca, albo nie pojmował, że oznaczało to, iż flota odleciała.

– Hmmm… – powiedział Hoddan. – A skąd pomysł, że ja tego już nie zrobiłem?

– Ponieważ wtedy by cię zabili – odparł Derec. – Don Loris wyraźnie tak twierdził. On nie wierzy, żebyś ty potrafił wytwarzać promienie śmierci. Powiada, że nie jest to taka tajemnica, która można by bezpiecznie przekazać komukolwiek innemu. Ale… ty przecież znasz prawdę, Bron! Zabiłeś tego biednego człowieka na Waldenie. Musisz się poświęcić dla dobra ludzkości! Zostaniesz łagodnie potraktowany!

Hoddan potrząsnął głową. To było nieco zaskakujące, słuchać Dereca nudzącego w kółko na ten sam temat, po tym jak wokół Hoddana wydarzyło się tyle rzeczy. Jedna, to było raczej nie do pomyślenia, aby Derec naprawdę oczekiwał po nim, że podda się jego perswazji. Musiało chodzić o coś innego. Derec mógł być nawet tak bardzo zdenerwowany, że posunie się do czegoś desperackiego.

– Po co naprawdę przyszedłeś, Derec?

– Żeby cię błagać…

Wtedy, w mgnieniu oka, Derec wykonał histeryczny gest, i paralizator Hoddana zaszumiał. W chwili kiedy jego mięśnie porażone zostały wyładowaniem paralizatora, rękę Dereca opuścił jakiś mały przedmiot. Poleciał w stronę Hoddana, jednak nie do końca celnie. Upadł mniej więcej o stopę od zewnętrznej strony wejścia szalupy, zamiast wpaść do jej środka.

****

Kiedy Derec padał, trafiony wyładowaniem paralizatora, przedmiot eksplodował. Wydobył się z niego gęsty, duszący dym. Hoddan zniknął w jego kłębach. Kiedy ściana oparów rozwiała się nieco, na miejscu widać

było tylko leżącego na ziemi Dereca, i znacznie rzadszy obłoczek dymu dryfujący w stronę wciąż otwartego włazu statku.

Niemal pół godziny później w kierunku szalupy ostrożnie podkradło się kilka postaci. Ich dowódcą był Thal. Na jego twarzy widniała powaga i smutek. Za nim niepewnie podążało paru krzepkich przybocznych. Na skinięcie Thala, dwu z nich złapało Dereca za ręce i nogi, a następnie wyniosło go w stronę zamku.

– Myślę, że go dostał – ponuro stwierdził Thal.

Zerknął do środka. Pokręcił głową.

– Może był ranny i odczołgał się dalej, żeby umrzeć.

Zajrzał ponownie i jeszcze raz pokręcił przecząco głową.

– Nie ma po nim śladu.

Włócznik stojący tuż za Thalem zawołał:

– Brudne zagranie! Byłem z nim na Waldenie i wypłacił dobrą zdobycz! To dobry człowiek! Powinien być thanem! Dobry człowiek!

Thal wszedł do środka. Bardzo ostrożnie. Zmarszczył nos, czując ciągle obecny, delikatny zapach środków wybuchowych. Kolejny człowiek wszedł za nim. Jeszcze jeden.

– Słuchaj! – rzucił jeden z nich konspiracyjnym szeptem. – Dostaliśmy naszą część tej zdobyczy z Waldena. Ale on też miał w niej swój udział! Co z nim zrobił? Musi go trzymać gdzieś tutaj, w łodzi. Rozejrzyjmy się szybko! Czego Don Loris nie zobaczy, tego mu nie będzie żal!

– Ja najpierw idę dalej, szukać Hoddana – oznajmił z godnością Thal. – Nie musimy wynosić jego ciała na zewnątrz, aby Don Loris nie dowiedział się, że szukamy łupów, ale ja najpierw chcę go znaleźć.

Do szalupy wepchnęli się teraz kolejni ludzie. Cały tuzin. Ich włócznie przeszkadzały bardzo w poruszaniu się.

Pokrywa włazu łodzi zamknęła się cicho. Szalupa lekko się zatrzęsła. Ryk rakiet wzmógł się aż do poziomu grzmotu. Łódź szarpnęła się nagle i przechyliła. Wszyscy włócznicy zbili się w jeden zbity, wrzeszczący i przerażony kłąb, w rufowej części pomieszczeń szalupy.

Statek wzbił się ponownie w kosmos. W sterówce Hoddan powiedział kwaśno sam do siebie:

– Zaczynam popadać w rutynę. Muszę wymyślić jakiś inny sposób na okrętowanie piratów do załogi, bez porywania ich siłą. To powoli staje się nudne!

XI

Po drodze na Waldena, członkowie załogi Hoddana, stworzyli raczej napiętą atmosferę. Nie była to, w pełnym tego słowa znaczeniu, niechęć, ponieważ widać było wśród nich także dosyć wyraźny entuzjazm, związany z pomysłem wyruszenia na piracki rajd pod jego dowództwem. Jak do tej pory, jeśli wzięło się pod uwagę poprzednie tego rodzaju przedsięwzięcia, Hoddan jako przywódca był ziszczeniem modlitw darthiańskiego kawalera. Już choćby częściowe złupienie zamku Gheka, czyniło z niego bardzo pożądanego przywódcę. A siódemka jego „piratów", po powrocie z kosmosu, pokazywała wszystkim wokół pieniądze, których kwota równa była bogactwom legendarnego sezamu. Co prawda nikt już nie za bardzo wiedział, co to jest ten sezam, ale ciągle był to synonim bajecznego i nieskończonego bogactwa. Kiedy ludzie wyruszali z Hoddanem, powracali bogaci.

Tym niemniej atmosfera panująca w wyremontowanym jachcie była dosyć nieprzyjemna. Z szalupy na pokład jachtu przeszli kanałami ewakuacyjnymi, zachowując się zupełnie potulnie, ponieważ żaden z nich nie wiedział, jak wrócić na dół. Hoddan zostawił szalupę na orbicie Darth, włączając automatyczny nadajnik sygnałów pozycyjnych, aby po powrocie mógł ją bez trudu odnaleźć. Podobnie zrobił swego czasu na Krymie, z jachtem. Następnie obrał kurs prosto na Waldena i wszedł w nadszybkość.

Po kilku godzinach, zauważył że sprawy rozwijają się w niepokojącym kierunku. Jego podwładni ewidentnie byli nieszczęśliwi. Wyzierała z nich coraz wyraźniejsza chandra. Siedzieli po kątach, ze spuszczonymi głowami, rozpamiętując swoją niedolę. Potężni, muskularnie zbudowani mężczyźni, z długimi, sumiastymi, jasnymi wąsami – idealni kandydaci do roli piratów – kiedy tylko mieli chwilę czasu siedzieli i ronili łzy z oczu. Po dwunastu godzinach lotu, atmosfera na statku zmieniła się wręcz w żałobną. Włócznicy nie mieli ochoty nawet objadać się wiktuałami, które znajdowały się na jachcie. A kiedy darthiański szlachcic traci apetyt, coś musi być nie tak.

Hoddan zawołał Thala do sterowni.

– Co się dzieje z naszą bandą? – domagał się ze złością odpowiedzi. – Patrzą na mnie co najmniej tak, jakbym złamał im serca! Czy chcą wracać do domu?

Thal westchnął potężnie, co wskazywało na depresję, przy której mania samobójcza wyglądałaby wręcz na wesołość. Odrzekł patetycznym tonem.

– Nie możemy wracać. Nigdy już nie będziemy mogli wrócić na Darth. Jesteśmy ludźmi zgubionymi, których przeznaczeniem jest wieczna

tułaczka pomiędzy obcymi, a nasze zwłoki dryfować będą w pustce, pośród gwiazd.

– Co się stało? – naciskał Hoddan. – Zabieram was tylko na mały piracki rajdzik, po którym zdobycz powinna być dużo większa niż ostatnim razem!

Thal załkał. Hoddan ze zdziwieniem zauważył, że jego wąsate oblicze wykrzywione jest smutkiem i powilgotniałe od łez.

– To się stało na zamku – wyznał żałośnie Thal. – Ten człowiek, Derec z Waldena, rzucił w ciebie bombą. Wydawało się, że jesteś martwy. Don Loris jednak nie był tego pewien. Zastanawiał się co zrobić. Chciał kogoś wysłać, żeby się upewnić. Zgłosiła się lady Fani: „Ja wiem jak to sprawdzić!". Zawołała mnie i zapytała: „Thal, czy będziesz dla mnie walczył?". Don Loris niespodziewanie kiwnął zza jej pleców przyzwalająco głową. A więc musiałem się zgodzić: „Tak, moja lady Fani". Wtedy oznajmiła: „Dziękuję ci. Jestem napastowana przez Brona Hoddana". Cóż więc mogłem zrobić? Powiedziała każdemu z nas to samo, i każdy z nas musiał potwierdzić, że będzie dla niej walczyć. Każdemu powiedziała również, że była napastowana przez ciebie. Wtedy Don Loris wysłał nas, abyśmy znaleźli twoje ciało. A teraz jesteśmy zhańbieni!

****

Usta Hoddana otworzyły się i zamknęły, a potem otworzyły ponownie. Pamiętał ten element etykiety darthiańskiej. Jeśli dziewczyna poprosi mężczyznę, żeby dla niej walczył, a on się zgodzi, wtedy w ciągu następnego dnia i nocy musi stoczyć walkę z człowiekiem, przeciw któremu go wysłano, albo będzie zhańbiony. A hańba na Darth oznaczała, że człowiek, na którego spadła, mógł zostać obrabowany lub zabity przez każdego, kto miał na to ochotę, a gdyby spróbował stawić opór, zostałby powieszony przez władze. To było coś znacznie gorszego, niż wyjęcie spod prawa. Pociągało za sobą lekceważenie, pogardę i niesławę. To oznaczało również hańbę i upokorzenie, a przede wszystkim uznanie własnej degradacji. Zhańbiony człowiek stawał się niegodny w swoich własnych oczach. Tak więc Hoddan porwał ludzi, którzy mieli obowiązek podjęcia z nim walki. Jeśli go teraz zabiją, umrą w kosmosie, a jeżeli nie, będą za bardzo zhańbieni, aby żyć dalej. Poziom moralności na Darth, nie był może najwyższych lotów, ale etykieta była rzeczywistą siłą.

Hoddan musiał to przez chwilę przemyśleć. Nagle podniósł w górę wzrok.

– Niektórzy z nich – cierpko stwierdził – pewnie myślą, że nie ma innego wyjścia, niż doprowadzić to wszystko do końca, co?

– Tak – odparł ponuro Thal. – Wtedy wszyscy umrzemy.

– Hmm… - zastanawiał się Hoddan. – Zobowiązaliście się do walki. Jeżeli nie dacie rady mnie zabić, to nie wasza wina, czyż nie tak? Jeśli was pokonam, to jesteście czyści?

Thal odparł żałośnie:

– Słuszne słowa. Zbyt słuszne! Kiedy człowiek jest pokonany, to jest pokonany. Kiedy sprawa jest skończona, jego zwycięzca może go obrabować, albo może go oszczędzić, a wtedy on nie musi już ponownie walczyć ze swym pogromcą.

– Wyciągaj więc nóż – zażądał Hoddan. – Chodź do mnie.

Thal zdezorientowany wykonał polecenie. Hoddan uniósł paralizator i powiedział:

– Bzzz. Jesteś pokonany. Podszedłeś do mnie ze swoim nożem, a ja postrzeliłem cię z mojego paralizatora. Wszystko skończone. W porządku?

Thal gapił się na niego, jak osłupiały. Nagle cały się rozpromienił. Uniósł głowę, a jego plecy się wyprostowały. Wręcz napawał się uczuciem szczęścia. Niemal podskakiwał do góry. Praktycznie merdał nieistniejącym ogonem. Pokazano mu wyjście z beznadziejnej, jak mu się wydawało, sytuacji, kiedy sam nie potrafił nic wymyślić.

– Przysyłaj pojedynczo pozostałych – polecił mu Hoddan. – Zajmę się nimi. Acha, Thal… dlaczego lady Fani chciała, żebym mnie zabito?

Thal nie miał na to żadnego pomysłu, ale kompletnie się tym nie przejmował. Za to Hoddan tak. Wiadomość przyjął z oszołomieniem i zaczęło wzbierać w nim oburzenie. Taka szlachetna przyjaźń…

Wszedł i zasalutował jeden z włóczników. Hoddan ponownie przeszedł przez procedurę symbolicznego pojedynku, który zresztą w oczywisty sposób nie odbiegałby od rzeczywistości, gdyby cała rzecz wydarzyła się naprawdę. Następnie, po kolei, zjawiali się pozostali, i przechodzili przez ten sam proces. Dwóch z nich nie całkiem chwyciło, że to był tylko rytuał i musiał postrzelić ich w rękę, w której trzymali noże. Musiał potem w zapasach statku poszukać maści na pęcherze, jakie pojawiły się po postrzale z paralizatora z tak niewielkiej odległości. Bandażując poparzone miejsca, ponownie próbował znaleźć powód, dla którego lady Fani kazała rozsiekać go nożami o długich klingach, noszonymi przez wszystkich darthiańskich kawalerów. Nikt nie był w stanie oświecić go w tej materii.

Atmosfera na szczęście znacząco się poprawiła. Ponieważ każda z teoretycznych walk miała miejsce prywatnie, nikt nie czuł się w obowiązku, przyznawać się innym do kompromisu z etykietą. Ludzie Hoddana przestali ciągle rozmyślać. Powróciły im ogromne apetyty. Ci, którzy byli z nim na powierzchni Krymu, chętnie rozpuszczali wieści o monstrualnych kacach, jakich się tam nabawili. Okazało się, że Hoddan był wręcz czczony za rozmiar wręg statku, których mogli przytrzymywać się jego ludzie.

Pozostał jednak fakt, że lady Fani próbowała doprowadzić do jego śmierci. Niesamowicie go to zaintrygowało. Mały jacht pędził niestrudzenie przez kosmos, zmierzając na Waldena. On zaś głowił się, czym mógł obrazić Fani. Nie potrafił jednak niczego wymyślić. Zabrał się więc do pracy nad nowym urządzeniem elektronicznym, które umożliwiało jeszcze inną modyfikację napędu kosmicznego Lawlora. Między innymi, z pulpitu sterującego, wyłączone zostały całe grupy podzespołów elektronicznych, a kolejne zastąpione w dosyć złożony sposób. To było najtrudniejsze ze wszystkiego. Cała sprawa wymagała, aby zrobiona chałupniczym sposobem lampa elektronowa, działała w bardzo równomierny sposób. Ale

generalnie, sam pomysł był dosyć prosty. Pola siłowe napędu Lawlora oraz sieci lądowniczej, tworzone były przy pomocy dosyć podobnych generatorów, zaś pola siłowe piorunów kulistych, w zasadzie także należały do tej samej rodziny zjawisk. Przypuśćmy, że udałoby się zbudować generator pola, który znajdowałby się na każdym zdolnym do lotu statku, i był w stanie wytworzyć te wszystkie pokrewne i podobne do siebie pola siłowe. Jeśli statek mógłby wygenerować te same pola co sieć lądownicza, byłoby to przydatne dla piratów.

To, co obecnie planował Hoddan, nie było, co prawda, ani czystym ani po prostu aktem piractwa, ale mogło za taki zostać uznane. Im bardziej rozmyślał nad zobowiązaniami, które przyjął na siebie pomagając flocie emigrantów, tym bardziej wątpił, czy będzie potrafił je udźwignąć bez długich i wyczerpujących wysiłków. Przygotowywał się więc psychicznie do tego, że wysiłki te trwać będą przez znaczny czas. W mniejszym lub większym stopniu zdołał już się zmusić, do odłożenia swoich osobistych pragnień. Na przykład, Nedda. Chociaż tego, nie był tak całkiem pewien… Być może, po wszystkim…

****

Czas mijał nieubłaganie i Hoddan ukończył swoją elektroniczną robotę. Wychodził z nadszybkości, wykonywał obserwacje i korygował kurs statku. W końcu, nadeszła chwila gdy ognista kula, stanowiąca słońce Waldena, zaświeciła na panelach wizyjnych jasnym blaskiem. Obracała się dostojnie w niezgłębionej ciszy przestrzeni kosmicznej.

Hoddan dotarł do punktu położonego nieco powyżej limitu pięciu średnic Waldena. Z zaciekawieniem przełączył kontrolkę, która zamieniła napęd jego statku w fabrykę pól siłowych typu stosowanego przez sieci lądownicze. Podchodził powoli do Waldena i w pewnym momencie wyczuł charakterystyczną sztywność statku, gdy pole złapało go gdzieś pod dnem i utrzymywało w spoczynku. Skorygował nieco ustawienia, i poczuł, że statek reaguje. W przypadku jego nowego urządzenia, pola zamiast opuszczać statek, by mógł on wylądować, przyciągały planetę do statku. Po odwróceniu kierunku nastawy, zamiast wypychać statek na zewnątrz, w pustą przestrzeń, nowe pole odpychało planetę.

Oczywiście, w praktyce, nie robiło to żadnej różnicy. Skutek był po prostu taki, że jego jacht kosmiczny przenosił teraz ze sobą swoją własną sieć lądowniczą. Mógł więc wylądować wszędzie i wystartować zewsząd, nie korzystając z silników rakietowych. Ponadto, potrafił unosić się w powietrzu bez używania ich ciągu.

Hoddan był zadowolony. Sprowadził jacht w dół, na wysokość niemal czterystu mil. Tam go zatrzymał. Wszystko działało absolutnie zadowalająco. Był już w zasadzie całkiem pewien, że urządzenie pracuje tak jak powinno. Wtedy wywołał przez komunikator kosmiczny planetę:

– Wzywam ziemię – powiedział Hoddan. – Wzywam ziemię. Statek piracki wzywa ziemię!

Czekał na odpowiedź. Teraz nadeszła chwila, w której przekona się jakie efekty przyniosły jego ciężkie wysiłki włożone w planowanie. Oczywiście, że był pełen obaw. Na jego barkach spoczywało ciężkie brzemię odpowiedzialności. Wiązała się ona z liniowcem, który schwytał i splądrował, a potem przekazał emigrantom. Z jego ludźmi na jachcie, teraz entuzjastycznie ostrzącymi ostrza swoich dwustopowych noży, w oczekiwaniu na łupy. Był tym ludziom coś winien. Przez chwilę myślał także o lady Fani i zastanawiał się, jaką mógłby dać dziewczynie rekompensatę, za tak silnie zranienie jej uczuć, że aż próbowała poderżnąć mu gardło.

Dotarł do niego jękliwy i żałośnie nieszczęśliwy komunikat:

– *Statek piracki!* – odpowiedział żałośnie jakiś głos, – *otrzymaliśmy ostrzeżenie waszej floty. Proszę podać, gdzie zamierzasz wylądować, a weźmiemy namiary, by zapobiec zamętowi. Powtarzam, proszę podać, gdzie zamierzasz wylądować, a weźmiemy namiary, by zapobiec zamętowi…*

Hoddan złapał głęboki oddech ulgi. Określił miejsce – małe miasto pełne bogatych rezydencji, jakieś czterdzieści mil od stolicy planety. Ustawił przyrządy na bardzo powolne schodzenie. Wyszedł do swoich ludzi, czyniących przeraźliwy hałas, podczas ostrzenia noży.

– Lądujemy – surowo oznajmił Hoddan, – za około trzy-czwarte godziny. Schodzicie na ląd na brzeg i plądrujecie w grupach nie mniej niż trzyosobowych! Thal, ty zostaniesz na straży statku. Będziesz przyjmował łupy od pozostałych i pilnował, żeby nikt z Waldena nie dostał się na pokład. Macie nie tracić czasu, na jakieś tam okrucieństwa na ludziach!

Wrócił do sterowni. Przełączył komunikator na pasma komunikacji ogólnej i nasłuchiwał transmisji z dołu.

– *Specjalny Biuletyn Alarmowy!* – huczał czyjś głos. – *Piraci lądują w mieście Ensfield, czterdzieści mil od Miasta Walden. Ogłasza się mieszkańcom, aby natychmiast się ewakuowali, pozostawiając wszelkie działania policji. Powtarzam. Mieszkańcy Ensfield, mają się ewakuować, pozostawiając wszelkie działania policji. Proszę niczego nie zabierać ze sobą. Proszę niczego nie zabierać ze sobą. Natychmiast uciekać!*

Hoddan pokiwał głową z aprobatą. Głos huczał ponownie:

– *Specjalny Biuletyn Alarmowy! Piraci lądują ... ewakua ... nie brać niczego ze sobą.... Natychmiast uciekać...*

Zmienił kanał na inny. Podekscytowany głos szczekał:

– "*... Wydaje się, że jest tylko jeden statek piracki, który zlokalizowano unoszący się w nieznany sposób nad Ensfield. Wysyłamy na miejsce zespoły kamerzystów i będziemy próbowali przekazywać bezpośrednią relację na żywo, z miejsca lądowania piratów na Waldenie, ich rabunku miasta Ensfield i korków drogowych nieuniknionych podczas ucieczki obywateli przed zbliżającym się do ziemi pirackim statkiem. Aby zdobyć najważniejsze informacje o tym najbardziej ekscytującym wydarzeniu w historii planety, zapraszamy państwa do naszych magazynów.* – Natychmiast podjął inny głos. – *I proszę pamiętać, że pewnego dnia kiedy olbrzymia flota piracka na górze, wysłała komunikat*

do rządu planetarnego z ostrzeżeniem, że jej statki pojawią się, by plądrować rabować i zawiadamiając, że wszelki opór…

****

Hoddan z zadowoleniem poczuł, rozgrzewający serce ogień. Flota emigrantów jak najdokładniej spełniła obietnicę swojego przywódcy, przekazując na dół list z kosmosu, podczas swego pobytu na orbicie wokół Waldena. Emigranci, oczywiście, nie znali jego treści. Nie chcieli wysłać nikogo na planetę, z powodu pokusy popełnienia grzechu w społeczeństwie innym niż ich własne. Bez większych problemów, a przy tym dosyć przekonywująco, mogli więc sprawiać wrażenie pojawienia się monstrualnej potęgi pirackiej. Wystraszyli Waldena do szpiku kości. A potem polecieli sobie dalej, pozostawiając podobne informacje i podobne wrażenia na Krymie, Lohali, Tralee, Famaguście i we wszystkich systemach gwiezdnych Worka Węgla, dopóki nie skończy się im sterta zaadresowanych listów. Powinni wykonać tę drobną uprzejmość, z wdzięczności dla Hoddana.

A każda planeta, którą odwiedzą, miała pozostać w przekonaniu, że flota na górze złożona jest z krwiożerczych kosmicznych włóczęgów, którzy wkrótce mieli wysłać pojedyncze statki, aby zebrały łupy – oraz, że muszą one zostać wydane bez najmniejszego oporu. Takie łupieżcze wyprawy pojawiać się miały regularnie, i miały być przyjmowane z pokorą, pod karą niewyobrażalnej zemsty ze strony potężnej floty kosmicznej.

Teraz, kiedy jacht lądował na Waldenie, dla jego mieszkańców, reprezentował on tamto mityczne ale imponujące pirackie imperium wymyślone przez Hoddana. Z prawdziwą przyjemnością słuchał więc kolejnych transmisji. Kiedy znalazł się już dostatecznie nisko, nawet dostrzegał autostrady wypełnione zbiegami z miasta, które miało zostać złupione. Można było nawet zauważyć policję waldeńską, kierującą ruchem uciekinierów. Widział również inny ruch, tym razem w stronę miasta. Walden był najbardziej cywilizowaną planetą w Skupieniu Nurmi, a jego obywatele nie mieli żadnych problemów oprócz tego by stać ich było na trankwilizatory. Kiedy więc pojawiło się coś naprawdę ekscytującego, chcieli być na miejscu aby to zobaczyć.

Jacht zszedł poniżej pułapu chmur. Hoddan odpalił flary awaryjne, aby oświetlić miejsce lądowania. Siedząc w sterowni, obserwował swój własny statek, filmowany przez kamery, z których obraz transmitowany był do milionów domów. Robiło to naprawdę duże wrażenie. Lądowanie wyglądało jakby jakieś oślepiające oko gorejącego światła, opadało powoli pod ciemnym i tajemniczym statkiem kosmicznym. Do jego uszu dobiegał powtarzany przez dziesiątki głosów opis, przekazywany przez ekipy dziennikarskie z miejsca wydarzenia. Oglądał ludzi, którzy nie chcieli opuścić Ensfield, dokąd zmierzali żądni łupów przybysze. Wszyscy oni powstrzymywani byli przez policję, aktywnie pilnującą, aby obywatele

pozostawali poza obszarem, w którym piraci mieli wkrótce zacząć swoją straszliwą pracę.

Z przyjemnością obserwował również, ze swojej sterowni, jak kamery reporterów odważnie pokazywały pierwszy kontakt z ziemią jego statku; dramatycznie powolne otwieranie się jego luku wejściowego: pojawienie się w wejściu autentycznych piratów, uzbrojonych po zęby, okrutnie owłosionych, błyskających wokoło ze złości oczami, na obecnie milczące i opustoszałe ulice wydanego na ich łaskę miasta.

To była naprawdę wspaniała transmisja. Hoddan chciałby zostać tu i to wszystko oglądać. Niestety miał pracę do wykonania. Musiał nadzorować piracki rajd.

****

Jak się potem okazało, wszystko to było dosyć proste. Plądrujące grupy, po trzech piratów w każdej, przyczajone poruszały się wokoło w poszukiwaniu łupów. Trzęsący się ze strachu operatorzy filmowi, ośmielili się nawet pytać ich, drżącym głosem, czy zgodzą się pozować dla kamer programów informacyjnych. Takiej prośbie, prawdopodobnie, nie zdołałby się oprzeć żaden darthiański kawaler, nawet w trakcie aktu piractwa. Pozowali więc, przyjmując wygląd straszliwie złych zbójów.

Komentatorzy, dodając do rozkosznie wstrząsających obrazów swój światły komentarz, zauważyli, że piraci nosili strój Darthian. Zaznaczyli jednak skrupulatnie, że nie oznacza to bynajmniej, iż Darth w całości przekształciło się w siedlisko piratów, ale tylko to, że niektórzy jego obywatele przyłączyli się do floty pirackiej.

Ekipy obsługujące kamery zapytały ich wtedy przepraszająco, czy pozwolą im na filmowanie w trakcie aktów łupiestwa. Darthianie, warcząc dziko dla publiczności i czasami dodając nawet diabelskie "Ha!", z ochotą się na to zgodzili. Ekipy dziennikarskie pomogły im znaleźć najlepsze miejsca do grabieży, aby zrobić dobre zdjęcia. Piraci współpracowali we wspaniałym, dramatycznym stylu. Miliony widzów przy odbiornikach wizyjnych na całej planecie drżało w rozkosznym przerażeniu, kiedy piraci zabrali się za swoje niegodziwe przedsięwzięcie.

Niebawem policja nie była już w stanie powstrzymać natłoku gapiów. Otoczyli piratów ciasnym kręgiem. Niektórzy, co bardziej śmiali, prosili o autografy. Dziewczyny wpatrywały się w nich ze wszystkich stron, przerażonym, zafascynowanym wzrokiem. Młodzież uznała, że niesamowicie emocjonującym zajęciem, jest odnoszenie ładunków z łupami do pirackiego statku. Thal skarżył się ochrypłym głosem, że jacht jest już prawie przeładowany. Hoddan nakazał większą powściągliwość i wybieranie naprawdę cennych rzeczy, ale jego piraci pełnili teraz raczej funkcje kierownicze, niż prostych łupieżców. Ich romantyczni fani z Waldena sami rozbijali okna i przynosili skarby, żądając w nagrodę jedynie groźnych spojrzeń aprobaty.

W końcu Hoddan musiał ich odwołać. Piracki statek był wyładowany po same brzegi. Stał się on już wtedy ośrodkiem olbrzymiego poruszonego, podekscytowanego i rozentuzjazmowanego tłumu. Pomimo, że wezwał swoich ludzi do powrotu, jedna z trzyosobowych grup do tej pory jeszcze się nie pojawiła. Wziął więc ze sobą dwu ludzi i oczyścili sobie przejście przez tłum. Po znalezieniu poszukiwanej trójki, stwierdzili, że została ona przyparta do muru przez pełen entuzjazmu tłum rozhisteryzowanych dziewcząt, które walczyły między sobą, by porwać choć skrawek ich garderoby na pamiątkę po prawdziwych, żywych piratach plądrujących waldeńskie miasteczko!

Kiedy Hoddan zabierał ich z powrotem na statek, byli w straszliwej konfuzji, przechodzącej we wstyd. Ich ubrania wisiały całe w strzępach. By dostać się na statek, musieli wręcz wywalczyć sobie przejście przez tłum. Uwielbienie widzów ciągle rosło. Luk wejściowy udało mu się zamknąć jedynie z pomocą policji, która powstrzymała fanów piratów od chwytania palcami za pokrywę włazu.

Natychmiast po zamknięciu włazu, piracki jacht kosmiczny, wzbił się w górę, ku gwiazdom.

W godzinę później, wewnątrz statku, zaobserwować można było tylko niewielki spadek podekscytowania.

Wszyscy darthiańscy kawalerowie, cała załoga Hoddana, przez cały czas oglądała, podziwiała i przekopywała się przez, leżące dosłownie wszędzie, stosy łupów. Wypełniały one nawet kwatery mieszkalne. Groziło to wręcz wpływem na astrogację statku. Hoddan wyszedł ze sterowni i zirytował się niesłychanie.

– Skończyć mi z tym! – warknął. – Popakować mi gdzieś te rzeczy! Co wy sobie myślicie, że gdzie jesteście?

Thal spoglądał na niego rozbieganym wzrokiem, nie całkiem zdolny, do tego by oderwać swój wzrok i myśli od tej zupełnie niewyobrażalnej masy zdobyczy. Nagle w jego oczach pojawił się błysk inteligencji – tyle ile tylko mogło się tam pojawić. Uśmiechnął się i klepnął ręką w udo.

– Chłopcy! – zarechotał. – On nie wie, co dla niego mamy!

Jeden z ludzi podniósł wzrok. Potem drugi. Aż promienieli. Zerwali się na nogi, odkopując od siebie biżuterię. Thal poszedł ociężale do jednego z dwóch salonów, jakie były na jachcie. W drzwiach odwrócił się, z dumną miną.

– Przyszła do luku – oświadczył tryskając energią, – i powiedziała, że jesteśmy ubrani w takie rzeczy w jakich się chodzi na Darth. Czy pochodzimy stamtąd? Odpowiedziałem, że tak. Wtedy spytała, czy znam na Darth kogo, kto nazywa się Bron Hoddan? A ja odpowiedziałem, że tak, i że jeśli wejdzie na statek, to będzie mogła się z tobą spotkać. A oto ona!

Odblokował drzwi salonu, które były zamknięte od zewnątrz. Otworzył je. Zerknął do środka, chwycił coś i pociągnął. Hoddan był niemal chory z przerażenia. Jęknął gdy to coś w salonie zaszlochało i poddało się.

Thal wyciągnął z salonu Neddę. Nos i oczy dziewczyny były czerwone od przeraźliwego szlochu. Rozglądała się dokoła w najczystszej rozpaczy i przerażeniu. W tej chwili nie widziała Hoddana. Jej oczy wypełniały muskularne, wąsate pirackie postacie darthiańskich kawalerów, którzy

szczerzyli do niej zęby, co brała za szydercze naigrywanie się z jej sytuacji.

Płakała.

Hoddan przełknął ślinę, z dużą trudnością i słabo powiedział:

– Już w porządku, Nedda. To była pomyłka. Nic ci się nie stanie. Jesteś – i wiedział z rozpaczliwą pewnością, że to była prawda – ze mną zupełnie bezpieczna!

I rzeczywiście była.

XII

Hoddan, po drodze, korzystając z sieci lądowniczej, wylądował na Krymie, aby skonsultować się ze swymi prawnikami. Czuł pewien przypływ nadziei, spowodowany dobrymi wynikami rajdu na Waldena, ale do desperacji przywodziła go Nedda. Kiedy tylko upewniła się że pod jego ochroną jest bezpieczna, całkiem opanowała sytuację na statku. Okazała wszystkim tak przytłaczającą słodycz, że to go aż przerażało. Była chodzącą dobrocią i światłem między przestępcami, którzy pełni respektu nie wyrządzili jej żadnej krzywdy. Ona zaś tak osłodziła i rozjaśniła atmosferę kosmicznego jachtu, że ludzie Hoddana byli bliscy buntu.

– To nie o to chodzi, że nie uważam jej za miłą dziewczynę – wyjaśniał Hoddanowi prawie z płaczem jeden z jego wąsatych Darthian, – tylko że ona chce zrobić miłą dziewczynę także i ze mnie!

Hoddan sam trochę zaczynał unikać jej towarzystwa. Chętnie zostawiłby ją na Krymie, wyposażając w odpowiednie środki, wystarczające do powrotu na Waldena. Ale była tak rozczulająco bezradna. Gdyby wysadził ją na ląd, mogłaby się komuś zwierzyć ze swego porwania i z miłego zachowania piratów. W efekcie nikt więcej już by w nich nie uwierzył – co mogłoby mieć fatalne skutki w przyszłości.

Udał się do swoich prawników, rozmyślając nad tą sprawą. Otrzymane wiadomości zaskoczyły go, czy też, dokładniej mówiąc, wręcz wprawiły w osłupienie. Flota emigracyjna zatrzymała się na Krymie, po drodze na Waldena. Już przed jej pojawieniem, interesy Hoddana całkiem nieźle prosperowały. Tuż po jego poprzedniej wizycie, pojawiły się wieści o śmiałym rajdzie pirackim, zakończonym zdobyciem statku koło Waldena. Chodziło oczywiście o liniowiec, uprowadzony przez niego na Krym. Wszyscy kupcy i właściciele statków natychmiast ubezpieczyli swoje pojazdy i dobra przewożone transportem kosmicznym, po znacznie wyższych stawkach. Kupione na rachunek Hoddana akcje towarzystw ubezpieczeń od ryzyka, pomnożyły wielokrotnie swoją wartość. Posłuszni jego instrukcjom, prawnicy sprzedali je i trzymali całkiem sympatyczną fortunkę na funduszu powierniczym Hoddana.

Wtedy nad Krymem pojawiła się flota, z napisanym przez niego listem grożącym zniszczeniem planety, jeśli stawi ona opór pojedynczym statkom, które w przyszłości miały lądować i dokonywać grabieży. Wydawało się, że cały handel jest zdany na łaskę kosmicznych włóczęgów. Towarzystwa ubezpieczeniowe podjęły się wcześniej wynagrodzenia strat właścicieli statków i przewożonego w przestrzeni frachtu. Teraz, gdy bezprecedensowych rozmiarów pirata flota opanowała i niewątpliwie łupiła kosmiczne szlaki, przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe zaczęły zbankrutować. Właściciele ich akcji, sprzedawali je po każdej cenie, aby

tylko się ich pozbyć. Zgodnie instrukcjami Hoddana, jego prawnicy konsekwentnie je kupowali, chociaż z pewnym niedowierzaniem. Aby wykorzystać całe dostępne fundusze, musieli kupić nie tylko akcje wszystkich towarzystw ubezpieczeń od ryzyka na Krymie, ale także wszystkie akcje towarzystw spoza planety, które były w posiadaniu inwestorów z Krymu.

Mijał czas i z kosmosu przybywały do portu kolejne statki, w żaden sposób nie niepokojone przez piratów. Ładunki były dostarczane w stanie nienaruszonym. Klienci spostrzegli, że przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe nie załamały się i nadal były w stanie, w razie potrzeby, wypłacać odszkodowania. Przedłużali więc swoje umowy ubezpieczeniowe. Ponownie znalazło to swój finansowy wydźwięk w sytuacji towarzystw ubezpieczeniowych. Miały one więcej klientów niż kiedykolwiek, a nie więcej roszczeń niż zwykle. Nagle ich akcje zaczęły rosnąć, albo raczej rosły ceny, które ludzie skłonni byli za nie zapłacić, ponieważ Hoddan zabronił sprzedaży choćby jednej akcji po odlocie floty pirackiej.

Teraz, z nadzieją zapytał, czy był w stanie zwrócić pieniądze właścicielom statku, który przechwycił na orbicie Waldena? Mógł. Czy mógłby zrefundować im nawet potencjalne dochody, które uzyskaliby w czasie między utratą statki i nabyciem nowego? Mógł. Czy mógłby spłacić dostawców rigeliańskich futer, biżuterii z Cetis i właścicieli ładunku melacyntu, który sprzedał po dobrych cenach na Krymie? Mógł. A prawdę mówiąc, już to wszystko zrobił. Towarzystwa ubezpieczeniowe, których był właścicielem, już dawno wypłaciły odszkodowania za statek i jego ładunek, i raczej nadgorliwością byłoby ofiarowywać właścicielom dodatkowe spłaty.

Hoddan nagle wpadł w przerażenie. Nalegał na wypłatę pewnej premii, nie zważając, że jego prawnicy mieliby spory kłopot ze znalezieniem jakiejś prawnej fikcji, która by ją uzasadniała. Potem zaczął zastanawiać się nad swoją sytuacją. Nie był biznesmenem. Nie oczekiwał też, że pójdzie mu aż tak dobrze. Spodziewał się, że pewnie będzie musiał pracować przez całe lata, aby należycie odpłacić krzywdy wyrządzone przez niego właścicielom statku i kupcom, w wyniku akcji pomocy emigrantom z Colina. Ale wszystkie te plany były już zrealizowane, a on pozostał z fortuną i rozrastającym się imperium finansowym. Wcale mu się to nie podobało.

Z ponurą miną, wyjaśnił sprawy swoim adwokatom. W odpowiedzi wskazali, że ma obowiązki i zobowiązania, wynikające z natury jego niespodziewanego sukcesu. Jeśli teraz pozostawi rzeczy samym sobie, to prosperujący obecnie biznes ubezpieczeń od ryzyka wróci do swojego poprzedniego, znacznie skromniejszego statusu. Jego przedsiębiorstwa przyjęły dodatkowych pracowników. W każdym tygodniu pracowało dla niego więcej księgowych i urzędników, niż w poprzednim. Więcej kierowców, sekretarek, odźwiernych i sprzątaczek. Nawet więcej wiceprezesów! Byłoby to poważne uderzenie w gospodarkę Krymu, gdyby spowodował spadek zatrudnienia pozwalając swoim przedsiębiorstwom pójść w odstawkę. Spadek zatrudnienia spowodowałby załamanie handlu detalicznego, wzrost rezerw, recesję w przemyśle…

Hoddan myślał ponuro o swoim dziadku. Napisał do starszego pana list, który miała dostarczyć flota emigracyjna. Nie mógł przecież go rozczarować!

Z bólem serca przyjął radę swoich adwokatów, którzy natychmiast podjęli działania, aby przejąć czterdzieste czwarte, jak również czterdzieste piąte, i także szóste, piętra budynku, w którym znajdowały się ich biura. W biznesie kto nie maszeruje, ten ginie.

****

Hoddan natomiast udał się na Darth. Musiał odtransportować załogę i było jeszcze coś innego. Właściwie to nawet kilka różnych „coś innego". Przyleciał do systemu słonecznego Darth i wszedł swoim jachtem na kurs poszukujący, nasłuchując sygnałów wywoławczych, które powinna nadawać szalupa ratunkowa. Znalazł ją, głęboko w obrębie pola grawitacyjnego Darth. Manewrował właśnie, aby ustawić się przy niej, gdy nagle wszystko zalało oślepiające światło. Alarm rozdzwonił się przeraźliwie. Instrumenty wskazywały nieprawdopodobne rzeczy, a rakiety odpaliły szaleńczo i cały statek zawirował. Potem z komunikatora ryknął potężny głos:

– *Stać bez ruchu! Poddaj się, albo zostaniesz zestrzelony! Ale jeśli choćby drgniesz, dopadnę cię i wyrzucę w kosmos bez skafandra!*

Hoddan skrzywił się. Błędne ogniki wędrowały niemal po całym wnętrzu jego jachtu. Uderzenie wyładowaniem pioruna kulistego, nawet o rozmiarach ostrzegawczych, powoduje nieprzyjemne skutki. Po palcach Hoddana biegały mrówki, tak jakby przez dłuższy czas były zdrętwiałe. Pstryknął włącznikiem nadajnika i stwierdził z irytacją:

– Witaj, dziadku. Tu Bron. Długo na mnie czekasz?

Usłyszał, jak dziadek paskudnie zaklął. Kilka chwil później przytoczył się w jego stronę na ciągu rakietowym, strasznie poobijany, poczerniony, poobdzierany, stary statek kosmiczny, który zatrzymał się obok jachtu w gryzących kłębach dymu spalin rakietowych. Hoddan przerzucił przełącznik i użył pól sieci lądowniczej, z których w odmienny nieco sposób skorzystał na Waldenie. Statki stanęły razem, kanał ewakuacyjny do kanału ewakuacyjnego, z doskonałą precyzją. Usłyszał jak dziadek klnie ze zdumienia.

– To mała sztuczka, którą niedawno opracowałem, dziadku – powiedział Hoddan do nadajnika. – Chodź do mnie na pokład. Przekażę ci to.

Jego dziadek niebawem się pojawił, patrząc groźnym i podejrzliwym wzrokiem. Dokładnie przyjrzał się wszystkiemu na pokładzie, włączając w to walającą się w każdym wolnym miejscu zdobycz. Parsknął śmiechem.

– Wszystko uczciwie zdobyte – boleściwie oświadczył Hoddan. – Wydaje się, że mam niezły patent na kradzież. Nie jestem pewny co z tym zrobić.

Dziadek Hoddana spojrzał z kolei na wiszący na jednej ze ścian afisz. Widniał na nim figlarny napis: *„Pamiętaj! Tu jest kobieta!”*. Powiesiła go tam Nedda.

– Hmmm! – stwierdził dziadek. – Co na statku pirackim robi kobieta? To właśnie o tym mówił twój list!

– One włażą wszędzie – krzywiąc się odparł Hoddan, – jak myszy. Miałeś myszy na statku, co nie? Chodź do sterowni, to wszystko ci wyjaśnię.

Opowiedział wszystko, aż do chwili, gdy jego działania podjęte w celu spłacenia statku i ładunku zamieniły się w niechciany sukces, i teraz był odpowiedzialny za zatrudnienie niezliczonych rzesz księgowych, urzędników i innych podobnych ludzi w przedsiębiorstwach ubezpieczeniowych, które weszły w jego posiadanie. Istotny był również fakt, że ponieważ flota emigracyjna odwiedziła później mniej więcej pięćdziesiąt kolejnych planet, w sumie wszystkie one wymagałyby od czasu do czasu uwagi jakichś statków pirackich, aby uniknąć rozczarowań i szkód dla ich systemu ekonomicznego.

– Konieczność myślenia – stwierdził sentencjonalnie jego dziadek, – dokonuje cudów nawet w przypadku tak czułych sumień, takich jak twoje. Coś jeszcze?

Hoddan wyjaśnił sprawę swojej darthiańskiej załogi. Don Loris mógł żądać, aby uznano ich za pozbawionych honoru, jako że nie skrócili go o głowę. Hoddan musiał się tą sprawą zająć. No i oczywiście była Nedda… w pewnym stopniu, w jego opowieści znalazła się też Fani. Dziadek Hoddan po wysłuchaniu wszystkiego chrząknął.

– Udamy się na dół i porozmawiamy sobie z tym Donem Lorisem. – oświadczył wojowniczo. – Miałem już do czynienia z tego rodzaju ludźmi. Kiedy będziemy na dole, twój kuzyn Oliver rzuci okiem na to jak działa to nowe pole sieci. Zamontujemy je też na moim statku. Hmmm… jaki jest czas tam, na dole? Nigdy nie ląduj zbyt długo po świcie. Rano ludzie nie są w swojej najlepszej formie.

Hoddan popatrzył na powolnie obracającą się w dole Darth.

– Nie jest jeszcze zbyt późno, dziadku – powiedział. – Polecisz na dół ze mną?

Dziadek energicznie skinął głową, obdarzył dłuższym spojrzeniem przywiezione z Waldena łupy, i popełznął z powrotem przez kanał ewakuacyjny do swojego własnego statku.

****

Nie było jeszcze zbyt późno po świcie, w każdym razie nie w tej strefie czasowej, kiedy wartownik na blankach z zamku Dona Lorisa poczuł padający mu na głowę cień. Zerwał się na równe nogi i zaczął wpatrywać się w niebo. Potem włosy stanęły mu na głowie, niemal zrzucając z niej stalowy hełm. Gapił się, niezdolny do tego, by czymkolwiek ruszyć.

Ponad nim unosił się statek. Nie był to co prawda bardzo duży statek, ale przecież on nie był w stanie wydawać opinii w takich sprawach. Najgorsze, że nie było widać odrzutu rakiet. Powinien więc runąć z hukiem w dół i całym swoim ciężarem zwalić się prosto na niego. Na szczęście skończyło się to inaczej. Zamiast runąć, statek popłynął w powietrzu z delikatną precyzją, tak jakby lądował przy użyciu sieci i lekko osiadł na ziemi, mniej więcej pięćdziesiąt jardów od podstawy zamkowego muru.

Niemal chwilę potem rozległ się głośny pomruk. Stopniowo narastał do poziomu ryku, by dalej zmienić się w potężny grzmot. Wzmagał się jednak dalej, dochodząc do takiego natężenia hałasu, że kompletnie nic nie było słychać, i czuło się tylko głęboki, pulsujący łomot, jakby pudła rezonansowego. Kiedy w końcu nastała cisza, pośrodku dużego wypalonego placu, obok pierwszego statku, spoczywał również drugi.

Żaden z nich nie był szalupą. Statek, który wylądował po cichu, był mniejszym z nich, ale i tak był kilka razy większy od jedynego statku kosmicznego jaki dotychczas widziano na Darth poza portem kosmicznym. Wyglądał na nieco podobny do jachtu. Drugi, większych rozmiarów, statek był matowy, brudny i zniszczony przez działanie próżni kosmicznej, cały w łatach widocznych tu i tam na jego opancerzeniu.

Z poobijanego pojazdu opadła rampa wyjściowa. Starannie rozciągnęła się ponad wypaloną i ciągle jeszcze dymiącą ziemią. Otworzył się luk, z którego wyszła grupa ludzi, podążających za beztroską małą postacią z wojowniczo nastroszonymi bokobrodami. Za sobą ciągnęli jakieś zagadkowe urządzenie.

Hoddan wyszedł z jachtu. Jego dziadek przyciął zjadliwie:

– I to niby ma być zamek?

Machnął ręką w stronę masywnego stosu ociosanego szarego kamienia, z murami grubymi na dwadzieścia stóp i wysokimi na sześćdziesiąt.

– Tak, dziadku – odparł Hoddan.

– Hmm… – prychnął dziadek. – Jak dla mnie wygląda kiepsko. – Znów machnął ręką. – Pamiętasz swoich kuzynów.

Ludzie z poobijanego statku obdarzyli go zwykłymi, praktycznymi kiwnięciami głową. Hoddan nie widział ich od lat, ale wszyscy należeli do rodziny. Mieli na sobie zwyczajne, codzienne ubrania, jednak niesiona broń spoczywała swobodnie na ich ramionach. Ciągnęli za sobą jakieś tajemnicze urządzenie, nie zachowując żadnego szyku, czy specjalnego drylu, lecz w jakiś sposób wyglądali całkiem profesjonalnie.

Hoddan i jego dziadek ruszyli spacerkiem w kierunku bramy zamkowej, podczas gdy ich towarzysze pozostali nieco z tyłu. Kiedy podeszli do bramy, nic się nie wydarzyło. Nikt ich nie obwołał. Odczuwało się atmosferę poirytowanej odmowy, jakiegokolwiek kontaktu z osobami, które wylądowały w statkach kosmicznych.

– Może się przywitamy? – zapytał Hoddan.

– Nieee! – parsknął jego dziadek. – Znam ten typ ludzi! Tylko zrób im jakąś uprzejmość... – Kiwnął na swoich wnuków. – Otwórzcie mi to.

Któryś lekko zerwał pokrowiec z urządzenia, sięgnął do środka i pstryknął przełącznikami.

– Na statku, który zdobyliśmy – chrząknął dziadek Hoddana, – znaleźliśmy jednostkę przesyłu energii. Podłączyliśmy ją do napędu przestrzennego statku. Nie możemy co prawda teraz użyć napędu, ale za to mamy jego energię. Twój kuzyn Oliver to dla nas przygotował.

Zagadkowy przedmiot wydal z siebie złośliwy odgłos. Brama zamkowa zadrżała i w połowie wyleciała z zawiasów. Z urządzenia wydobył się kolejny dźwięk. Kamienie rozszczepiły się i zaczęły się zapadać. Hoddan patrzył z podziwem. Trzy jeszcze bardziej nieprzyjemne, ale nie takie głośne dźwięki. Połowa ściany z każdej strony bramy rozpadła się w gruz, zawalając się częściowo do wewnątrz, a częściowo na zewnątrz właściwych granic zamku.

Z blanków jakieś postacie zaczęły histerycznie wymachiwać rękoma. Dziadek Hoddan lekko ziewnął.

– Zawsze lubiłem rozmawiać z ludźmi – zauważył, – którzy martwią się tym, co mogę im zrobić ja, zamiast tym, co mogą mi zrobić oni.

Ludzie pojawili się także na poziomie ziemi. Wyszli z bramy wypadowej po jednej ze stron zamku. Byli wręcz serdeczni, kiedy dziadek Hoddana zaproponował, że dogodniej byłoby omawiać ich sprawy wewnątrz zamku, gdzie choćby łatwiej o krzesła, na których można sobie wygodnie usiąść.

****

Wkrótce wszyscy spoczęli obok kominka w wielkiej sali. Don Loris siedział, zdenerwowany i drżący, obok dziadka Hoddana. Pojawiła się również lady Fani, lodowato zimna i wyzywająca. Podeszła z chłodną godnością do miejsca obok ojca. Dziadek Hoddan obrzucił ją z bezczelnym, szacującym spojrzeniem.

– Niezła! – stwierdził krótko. – Całkiem niezła! – zwrócił się do Hoddana. – Ci przyboczni przyjdą?

– Są już w drodze – odrzekł Hoddan. Nie był szczęśliwy. Lady Fani wodziła po nim wzrokiem dokładnie tak, jakby w ogóle nie istniał.

Dookoła rozległ się echem brzęczący odgłos. Tuzin włóczników wmaszerował do wielkiej sali. Dźwigali ze sobą zdobycz. Od czasu do czasu coś upadało im na podłogę, a oni obojętnie ignorowali takie drobiazgi jako zgubione złote monety, odtaczające się spod ich stóp. Stali mieszkańcy zamku przyglądali się im z radosnym podziwem.

Przyszła z nimi Nedda. Lady Fani wykonała drobny, prawie niedostrzegalny ruch. Hoddan powiedział z rozpaczą:

– Fani, wiem, że mnie nienawidzisz, chociaż za nic nie mogę się domyślić dlaczego. Jest jednak pewna rzecz która… która musi zostać załatwiona. Zrobiliśmy rajd na Waldena… te łupy są właśnie stamtąd… i moi ludzie porwali tę dziewczynę… ma na imię Nedda… i zabrali ją na statek jako prezent dla mnie… ponieważ przyznała się, że mnie zna! Nedda jest w strasznym kłopocie, Fani! Jest sama i pozbawiona przyjaciół i… ktoś musi się o nią zatroszczyć! Jej ojciec w końcu po nią przybędzie, bez wątpienia, ale ktoś w międzyczasie musi się nią zająć, a ja nie mogę

tego zrobić! – Hoddan zaplątał się histerycznie w całej tej prostej sprawie. – Nie mogę!

Lady Fani spojrzała na Neddę. A Nedda przybrała wygląd dziewczyny tak niesamowicie słodkiej, że nikt inny chyba nie był w stanie tego tak zrobić.

– Ja ... bardzo moi przykro – dzielnie oznajmiła Nedda, – że z mojej przyczyny biedny Bron stał się piratem i wpadł w takie straszne kłopoty. Płaczę przez to każdej nocy zanim zasnę. On potraktował mnie jakbym była jego siostrą, a pozostali ludzie byli tacy delikatni i pełni szacunku, że ja ... ja myślę, że pękłoby mi serce gdyby zostali ukarani. Kiedy tylko pomyślę sobie o nich, zgubionych z powodu całej tej strasznej, beznadziejnej formalności…

– Na Darth – zauważyła lady Fani praktycznym tonem – nie jesteśmy zbyt formalni w takich sprawach. Po prostu zwykłe poderżnięcie komuś gardła, jest zazwyczaj całkowicie wystarczające. Ale Bron potraktował cię jak siostrę, czy tak? Thal?

Thal przełknął ślinę. Chwilę wcześniej szedł rozpromieniony, z rękoma pełnymi srebrnej zastawy, biżuterii, koronek i innych łupów z Ensfield. A teraz on desperacko potwierdził:

– Tak, lady Fani. Ale nie w taki sposób jak ja traktowałem swoją siostrę. Moje siostry, lady Fani, gryzły mnie kiedy były małe, dawały mi klapsy kiedy były większe i lekceważyły mnie kiedy urosłem. Jestem dla nich czuły! Ale gdyby któraś z moich sióstr kiedykolwiek zrobiła mi wykład, ponieważ nie zachowywałem się wykwintnie, albo potrząsała na mnie palcem, ponieważ nie zachowywałem się po dżentelmeńsku… lady Fani, udusiłbym ją na śmierć!

W oku lady Fani pojawił się wyraźny błysk, kiedy powiedziała ciepło do Hoddana:

– Oczywiście że zajmę się tym biedactwem! Może spać z moimi dwórkami i jestem pewna że któraś z nich znajdzie dla niej jakieś rzeczy, do ubrania. Będę się o nią troszczyła, dopóki nie przyleci liniowiec i nie będzie można odesłać jej z powrotem do rodziny. I kiedykolwiek będziesz chciał, możesz przyjść ją zobaczyć, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Oczy Hoddana zaczynały płonąć dzikim blaskiem. Jego dziadek głośno oczyścił swoje gardło. Hoddan powiedział z zawziętością:

– Ty, Fani, prosiłaś każdego z moich ludzi, aby dla ciebie walczyli. Powiedzieli mi to. Wysłałeś ich, by skrócili mnie o głowę. Nie zrobili tego. Ale oni nie stracili honoru! Nie zostali zhańbieni! Chcę, żeby to było jasne! To dobrzy ludzie! Nie są zhańbieni, dlatego że nie zdołali mnie zabić!

– Oczywiście że nie są – lady Fani słodko ustąpiła. – Czy ktoś o czymś takim tu mówił?

Hoddan otarł spocone czoło. Don Loris otworzył usta rozdrażniony. Dziadek Hoddana go uprzedził.

– Słyszałeś o tej wielkiej pirackiej flocie, który lata wokół tej planety? Co? To mojego wnuka. Ja sam, przeprowadziłem mu cały szwadron okrętów. Cudowny chłopiec, ten mój wnuk! Na tych statkach są naprawdę krwiożercze załogi, ale oni kochają tego chłopca!

– Bardzo – Don Loris z trudem złapał oddech. – Bardzo interesujące.

– On lubi twoich ludzi – zwierzył się dziadek Hoddana. – Skorzystał z nich już dwa razy. Mówi, że robią za miłych, dobrze wychowanych piratów. Ma zamiar dać im paralizatory i działo, podobne do tego, które rozbiło twoją bramę. Jedyni ludzie na Darth z taką bronią taką! Wystarczy tylko zdobyć port kosmiczny, uruchomić transmisję energii i upewnić się, że nikt inny nie dostanie paralizatorów. Można rządzić całym krajem. Twoi ludzie to kochają. Kochają także tego chłopaka! Pójdą za nim wszędzie. Łupy.

Don Loris cały zadrżał. Brzmiała w tym straszna prawda. On sam planował przecież zorganizowanie jedynej siły na Darth uzbrojonej w paralizatory. Wiedział, że jego ludzie skłaniali się do szacunku dla Hoddana, ponieważ podwładni tego ostatniego zdobywali zawsze obfite łupy. Don Loris był w bardzo, bardzo niewygodnej sytuacji. Znudzeni ludzie z poobijanego statku kosmicznego stali tuż obok, w jego wielkiej sali. Byli zupełnie niewzruszeni. Zdawał sobie sprawę, że byli pewni, iż są w stanie zniszczyć jego zamek, jeśli tylko będą chcieli.

– Ale ... jeżeli moi ludzie… – zadrżał Don Loris. – Co będzie ze mną?

– Pomniejszy problem – uprzejmie stwierdził dziadek Hoddana. – Zwykłe rozwiązanie polega na *pfft!* Poderżnięcie gardła. – Wstał. – Ale o tym, bez wątpienia, zdecyduje się później. Tak, Bron?

– Przyprowadziłem moich ludzi do domu – warknął Hoddan, – a Nedda ma zapewnioną opiekę. Kończmy z tym.

Ruszył raptownie w stronę najdalej położonych drzwi wielkiej sali. Dziadek energicznym krokiem poszedł za nim, a razem z nim podążyli nonszalanccy, solidnie uzbrojeni ludzie, którzy w większości przypadków byli kuzynami Hoddana.

Po wyjściu z zamku, Hoddan gniewnie powiedział:

– Dlaczego, dziadku, opowiedziałeś im taką niedorzeczną historię?

– Wcale nie jest taka niedorzeczna – odparł dziadek. – Jak dla mnie, brzmi nawet dosyć zabawnie! Jesteś trochę zmęczony, Bron. Dużo odpowiedzialności i takich tam rzeczy. Zrób sobie krótki odpoczynek. Ty i twój kuzyn Oliver idźcie i zamontujcie te nowe gadżety na moim statku. Ja zabiorę pozostałych chłopaków na przejażdżkę do tego miasteczka wokół portu kosmicznego. Chłopcy potrzebują trochę ruchu na lądzie i może będę z tego jakieś łupy. Twoja babcia lubi takie ręcznie tkane materiały. Spróbuję coś dla niej znaleźć.

Hoddan wzruszył ramionami. Jego dziadek stanowił prawa sam sobie. Hoddan widział swoich kuzynów wyprowadzających ze stajni zamkowych konie, i jadących luźną grupą, tak jakby robili sobie wycieczkę dla przyjemności. Właściwie, to tak przecież było. Thal służył im jako przewodnik.

****

Przez resztę tego miłego poranka, i część popołudnia, Hoddan wraz z kuzynem Oliverem pracowali nad napędem Lawlora poobijanego statku.

Hoddan był wielce podbudowany szacunkiem z jakim kuzyn odniósł się do jego urządzenia. On z kolei z niekłamanym podziwem spoglądał działo, zaprojektowane przez swego kuzyna. Wkrótce przeszli do wspólnych wspomnień z dzieciństwa. Takie odnowienie więzi rodzinnych było bardzo miłe.

Jeźdźcy wrócili o zachodzie słońca. Przyprowadzili ze sobą dodatkowe konie, z ładunkami. Dookoła rozlegały się radosne krzyki. Jego dziadek zajrzał na statek do Hoddana.

– Przyprowadziłem ze sobą towarzystwo – oznajmił. – Kiedy się tam pojawiliśmy, właśnie wylądował liniowiec. Przylecieli na nim twoi przyjaciele. Pewien całkiem sympatyczny facet, Bron. Dobrze też cię wspomina!

Za dziadkiem Hoddana podążała jakaś wysoka postać. Wysoka postać ze śnieżnobiałymi włosami. Przyjazny i rozluźniony ambasador międzygwiezdny z Waldena.

– Te konie mają strasznie ciężki chód, Hoddan. – przywitał się cierpko. – Chcę wygodne krzesło i drinka. Przeleciałem sporo lat świetlnych by cię zobaczyć, a w końcu okazało się, że to w ogóle nie było potrzebne. Rozmawiałem już z twoim dziadkiem.

– Miło pana widzieć, proszę pana – odparł Hoddan z rezerwą.

Kuzyn Oliver przyniósł szklaneczki, ambasador zatopił nos w jednej z nich i stwierdził z satysfakcją:

– Ach! Dobre! Zdolny człowiek, z tego twojego dziadka. Przyglądałem się, jak plądruje miasto. Piękna, profesjonalna robota! Nawet znalazł jakieś ręcznie tkane płótno dla twojej babci. Ale wróćmy do ciebie.

Hoddan rozsiadł się wygodniej. Dziadek tylko dmuchnął z zadowolenia i siedział cicho. Natomiast kuzyni aż zatarli ręce. Ambasador pomachał rękoma.

– Wyruszyłem tu – rzekł, – ponieważ wydawało mi się, że zaczynasz dziczeć. Ta flota kosmiczna, potem… Ja jednak wiem co nieco o twoich zdolnościach. Spodziewałem się, że znalazłeś jakiś sposób, aby wszystkich oszukać. Wiedziałem, że taka flota po prostu nie mogłaby istnieć. Nie w rzeczywistości! A propos, to co zrobiłeś z emigrantami, to była dobra robota. Niesamowicie ważna! Sedno sprawy polega jednak na tym, że po tym numerze z oszukańczą flotą, wcześniej czy później Patrol Kosmiczny, musi przytrzeć ci nosa. A ty zrobiłeś za dużo dobrej roboty, aby ktoś ją teraz popsuł!

Hoddan mrugnął

– Satysfakcja – oznajmił Ambasador, – to dobra rzecz. Ale zaspokojenie oznacza śmierć. Walden umierał za życia. Nikt tam nie był w stanie wyobrazić sobie większej satysfakcji niż zażycie dobrych prochów! Skończyłeś z tym! Wyjechałem z Waldena następnego dnia po twoim ataku na Ensfield. Młodzi ludzie już próbowali hodować sobie wąsy. Zakłady włókiennicze produkowały kolorowe tkaniny na różne części garderoby. Jubilerzy wyrabiali paralizatory nabijane ozdobnymi gwoździami i ornamentowane, noże darthiańskie jako broszki, a autorzy piosenek napisali osiem nowych, nadawanych na okrągło przez radio przebojów, o pirackich kochankach, pirackich królowych i ciemnych

statkach, które żeglują nocnymi szlakami. Jeszcze tego samego wieczora miały ruszyć trzy seriale wizyjne, z tematyką kosmicznych piratów w tle, a jeden z nich, jak twierdzono, miał zostać oparty na twoim życiu. Lepiej nie mogłeś się im przysłużyć, Hoddan! Krótko mówiąc, Walden odkrył ponownie jaką przyjemnością jest dostanie batów, za własną głupotę. Ludzie, którzy oglądali ten rajd na ekranach odbiorników wizyjnych doświadczyli takich emocji, których nigdy nie zamieniliby na żadne proszki uspokajające! A wszyscy ci, którzy tak naprawdę wymieszali się z piratami… Dobrze przysłużyłeś się społeczeństwu, Hoddan!

Hoddan odparł:

– Hmmm… – ponieważ nie mógł nic innego powiedzieć.

– Teraz, twój dziadek i ja gruntownie zbadamy sytuację! Ta dobra robota musi być kontynuowana. Wcześniej Służba Dyplomatyczna była zaniepokojona na całej linii. Teraz wreszcie możemy coś zrobić. Twój dziadek rozbuduje swoją infrastrukturę i zajmie się chwytaniem statków, lądowaniem na planetach i plądrowaniem, czyli generalnie będzie utrzymywać w ruchu piracki interes. Twoim zadaniem jest kontynuacja biznesu ubezpieczeniowego. Oczywiście piraci będą chwytać wyłącznie statki należące do ciebie. Żadnego oddziaływania na legalny handel. Koszty rajdów naziemnych będą spłacane przez międzyplanetarne towarzystwa ubezpieczeniowe przeciwko ryzyku piractwa, czyli też przez ciebie. W swoim czasie pewnie trzeba będzie wynająć pisarzy żeby robili dla kolejnych akcji atrakcyjne scenariusze, ale nie od razu. Oczywiście będziesz się ciągle bogacił, ale przecież nie ma żadnej w tym szkody, przynajmniej dopóki ponownie będziesz wprowadzał romantyzm, przygodę i heroiczną odwagę, w chylącej się ku upadkowi galaktyce. Dzikusy się nie pojawią, jeżeli wszędzie będzie wielu bohaterskich ludzi, twojego pokroju, którzy mogą im dać po łapach.

Hoddan zaprotestował zbolałym głosem:

– Wolałbym zająć się urządzeniami elektronicznymi. Mój kuzyn Oliver i ja mamy parę rzeczy, nad którymi chcielibyśmy popracować razem.

Dziadek Hoddana prychnął.

Na pokład jachtu, wszedł jeden z kuzynów. Podążał za nim Thal, cały aż jaśniejący. Doniósł wcześniej na zamek, o obrabowaniu miasteczka wokół portu kosmicznego, i Don Loris wpadł w straszliwą furię, ponieważ wydawało się, że nikt nie jest w stanie przeciwstawić się tym obcym. Teraz już jednak zmienił front o sto osiemdziesiąt stopni i wystosował spóźnione zaproszenie dla Hoddana, jego dziadka i ich gościa, międzygwiezdnego ambasadora – o którym dowiedział się od Thala – na obiad w zamku. Mogli przyprowadzić swoje własne straże.

****

Hoddan chciał odmówić, ale Ambasador i jego dziadek nalegali na wizytę. Ostatecznie więc siedział teraz z ponurą miną za długim stołem w kamiennej sali, oświetlonej przez potężnie dymiące pochodnie. Don Loris,

pomimo że wyraźnie poddenerwowany, zaprezentował profesjonalny konwersacyjny wdzięk. Usilnie próbował, zatrzeć fatalne wrażenie poprzednich działań, pokazując swą towarzyską ogładę. Lady Fani siedziała cicho z klejnotami na szyi. Przez większość czasu wpatrywała się w talerz. Rozmowa starszych, zeszła na głębsze tematy. Dyskutowali o sprawach administracji. Omawiali praktyczne kwestie polityczne. Debatowali o ekonomii.

Lady Fani wyglądała bardzo znudzoną, jako że gdy posiłek się skończył, rozmowa potoczyła jeszcze dalej w tym kierunku. Don Loris powiedział więc do niej:

– Moja droga musimy być tacy nudni! Młody Hoddan także nie wygląda na specjalnie zainteresowanego. Dlaczego więc oboje nie pójdziecie sobie na spacer po murach, i nie porozmawiacie o rzeczach bardziej odpowiednich dla ludzi w waszym wieku?

Hoddan wstał, nadal ponury. Fani, z westchnieniem uprzejmej rezygnacji, podniosła się, aby mu towarzyszyć. Niespodziewanie ambasador zatrzymał go w sali, mówiąc:

– A, Hoddan! Zapomniałem ci powiedzieć. Odkryli w końcu, co zabiło tego człowieka koło elektrowni! – Kiedy Hoddan nie okazywał żadnego śladu zrozumienia, ambasador wyjaśnił: – No, ten człowiek, o którym twój przyjaciel Derec myślał, że został zabity przez promienie śmierci. Myślał, że został porażony jakąś potężną siłą. Wiesz, on był po prostu pijany i wszedł na drzewo, aby uciec różowym, purpurowym i zielonym *duryas*, które, jak mu się wydawało, goniły go i chciały go przebić rogami. Wspiął się już wysoko, kiedy złamała się pod nim gałąź, a on spadł i się zabił. Postawię tę sprawę przed sądem, zaraz jak tylko znajdę się z powrotem na Waldenie. Nie ma więc żadnego powodu, aby chcieli cię zamykać w więzieniu. Jeśli chcesz, możesz nawet sprzedać Zarządowi Energii swój odbiornik!

– Dziękuję bardzo – uprzejmie odparł Hoddan. – Don Loris trzyma tutaj Dereca i policjanta z Waldena. Proszę im powiedzieć, że mogą udać się do domu.

Lady Fani już wyszła. Udał się za nią na blanki. Gwiazdy świeciły wyjątkowo jasno. Spacerowali. Pamiętając o tym, co mówili jego Darthianie, wydawało mu się, że nie jest zbyt mile widziany.

– Co ci powiedział ambasador? – spytała.

Bez specjalnej ochoty wyjaśnił jej całą sprawę. Dodał z bólem, że przestało to już mieć dla niego jakieś poważniejsze znaczenie. Mógłby teraz nawet wrócić na Waldena i, jeśli ambasador miał rację, dokonać tam doniosłych rzeczy w elektronice. Nie był tym jednak zainteresowany. To dziwne, iż kiedyś myślał, że takie rzeczy mogą uczynić go szczęśliwym.

– A mnie się kiedyś wydawało – rzekła lady Fani, z delikatną melancholią w głosie – że byłabym szczęśliwsza, gdybyś był martwy. Bardzo mnie rozgniewałeś. To nieistotne dlaczego! Doszłam jednak w końcu do wniosku, że to była pomyłka."

Hoddan rozmyślał nad znaczeniem jej słów. To nie do końca były przeprosiny, za próbę zgładzenia go. Ale przynajmniej wyglądało to na rezygnację z działań w tym kierunku, na przyszłość.

– A mówiąc o szczęściu – dodała odmiennym tonem, – ta Nedda… – zadrżał, a ona mówiła dalej: – Rozmawiałam z nią trochę. A potem posłałem po Gheka. Wiesz, jesteśmy teraz znowu w doskonałych stosunkach. Przedstawiłam go Neddzie. Była jak lody waniliowe z bezą i polane na wierzchu syropem klonowym. Pokochał to! Spoglądała na niego ze ślicznym smutkiem, powiedziała mu jak straszną rzeczą z jego strony było moje porwanie. Odpowiedział pokornie, że to dlatego, że nie był pod jej uszlachetniającym wpływem, ani nie marzył o jej istnieniu. Z kolei jej się to straszliwie spodobało! Pasują do siebie, jak truskawki i bita śmietana! Musiałam wyjść, albo przestać być damą. Myślę, że chyba ich wyswatałam.

Potem cicho dodała:

– Ale poważnie mówiąc, powinieneś być chyba niemal doskonale szczęśliwy. Masz wszystko, o czym zawsze mówiłeś, oprócz zachwycającej dziewczyny, z którą mógłbyś się ożenić.

Hoddan wił się jak piskorz.

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi – uprzejmie drążyła temat Fani, – i oddałeś mi kiedyś naprawdę wielką przysługę. Odwdzięczę ci się. Zbiorę kilka naprawdę zachwycających dziewczyn, abyś mógł je obejrzeć.

– Ja przecież wyjeżdżam – odrzekł Hoddan, zaalarmowany.

– Nie wiem jednej rzeczy, jakiego rodzaju kobiety lubisz. Nedda do nich nie należy.

Hoddan zadrżał.

– Ja również – stwierdziła Fani. – Jakiego rodzaju dziewczyny, powiedziałbyś, że ci pasują?

– Zachwycające – wykrztusił Hoddan ochrypłym głosem.

Lady Fani zatrzymała się i spojrzała w górę na jego twarz. Oznajmiła z aprobatą:

– Spodziewałam się, że któregoś dnia to słowo przyjdzie ci do głowy. Ech... co mężczyzna zwykle robi kiedy odkrywa, że dziewczyna jest zachwycająca?

Hoddan musiał to przez chwilę przemyśleć. Zaczął. Otoczył ją ręką, z dziwną niezręcznością. Potem pocałował, z początku jakby dziwiąc się sam sobie, a później z rosnącym entuzjazmem.

Niedaleko, na kamieniach rozległo się jakieś skrobanie. Kroki. Na blankach pojawił się Don Loris niepewnie rozglądając się wokoło w ciemnościach.

– Fani! – zawołał żałośnie. – Hoddan? Nasi goście wracają już do statków kosmicznych. Chciałbym pomówić z Hoddanem na ozdobności.

– Tak? – odparł Hoddan.

Don Loris rozglądał się usiłując coś zobaczyć w ciemności. Hoddan znowu pocałował Fani.

– Długo nad tym myślałem – powiedział Don Loris ugodowym tonem. – Popełniłem wiele błędów, mój drogi chłopcze, i dałem ci naprawdę dobre powody, aby mnie nie lubić, ale w głębi duszy zawsze miałem dla ciebie wiele szacunku. I ... ach ... to chyba jedyny sposób, w jaki mogę właściwie wyrazić to, jak bardzo cię podziwiam. Ach… Czy chciałbyś poślubić moją córkę?

Hoddan popatrzył w dół, w oczy Fani. Nie cofnęła się ani na milimetr.

– Co myślisz o tym pomyśle, Fani? – zapytał. – Czy zechciałabyś wyjść za mnie jutro rano?

– Oczywiście, że nie! – z oburzeniem odparła Fani. – Nawet bym nie pomyślała o czymś takim! Absolutnie nie mogę wyjść za ciebie wcześniej niż jutro popołudniu!

KONIEC